

JOSEPH H. ROSNY
STARSZY

Goncourtów z Akademii

KOT OLBRZYMI

TYGRYS
KZAMÓW
ROMANS Z CZASÓW
PIERWOTNYCH

z francuskiego przełożył
Ignacy Mrozowski

Krajowa Agencja Wydawnicza
Wydawnictwo „Białowieża”
Białystok 1990

CZEŚĆ PIERWSZA

Nowa Ziemia

Aun, syn Tura, miłował podwodną krainę. Łowił tam ślepe ryby lub raki zielonawe. Czynił to zwykle w towarzystwie Zura, syna Ziemi, ostatniego z Ludzi Bez Ramion, któremu udało się wymknąć z pogromu swej rasy, sprawionego przez Czerwonych Karłów.

Aun z Żurem całymi dniami brodzili nad brzegami wód płynących w podziemnych jaskiniach. Nieraz trzeba było pęłzać przez wąskie korytarze z porfiru, gnejsu lub bazaltu. Zur zapalał łuczywa z drzewa terpentynowego. Purpurowe światło odbijało się od kryształowych sklepień i wód niewyczerpanych. Oni zaś nachylali się, aby patrzeć na pływające, sinawe zwierzęta, szukali uporczywie przejść lub wędrowali dalej aż pod skalista ścianę, skąd wypływała rzeka. Zatrzymywali się długo przed nią. Pragnęli przebyć tę tajemniczą zaporę, z którą Ulhamrowie od siedmiu wiosen i sześciu pór gorących nie mogli się uporać.

Aun pochodził od Naoha, syna Lamparta, lecz zgodnie ze zwyczajem należał do brata matki. Wolał jednak Naoha, do którego był podobny z budowy ciała i wrażliwości zmysłów. Włosy miał gęste i zmierzwiłone jak grzywa żrebca, oczy koloru gliny. Był niebezpieczny dzięki swej sile, lecz bardziej jeszcze od Naoha był litościwy dla wroga, gdy widział go zwyciężonego, rozciągniętego na ziemi. Ulhamrowie podziw dla niego łączyli ze strachem przed nim. Polował przeważnie z Żurem, którego bezsilność, pomimo iż był zręczny w odnajdywaniu kamieni do krzesania ognia i w przygotowywaniu hubki, czyniła bezradnym wobec przeciwnika.

Zur miał kształty szczupłe, wydłużone jak jaszczurka, ramiona jego spadały tak stromo, że zdawało się, jakoby ręce wyrastały wprost z kadłuba. Taką bowiem była budowa Ludzi Bez Ramion od powstania rasy aż do czasu, kiedy zostali wytępieni przez Czerwonych Karłów. Pojmował wolniej, lecz wnikliwiej od Ulhamrów. Jednak ta głębia jego rozumu miała ulec zanikowi wraz z nim i odżyć dopiero po upływie tysiącleci w innych ludziach.

Bardziej od Auna kochał podwodną krainę. Jego przodkowie przebywali w okolicach pełnych wód, których część ginęła pod wyniosłościami gruntu lub przepadała w górach.

Pewnego poranka znaleźli się znowu na brzegu rzeki, gdzie zastał ich wschodzący, szkarłatny snop słoneczny. Zur zdawał sobie sprawę z przyjemności, jaką mu sprawiał widok toczących się wód, natomiast dla Auna uczucie to nie było jasne. Powędrowali w stronę jaskiń. Zatrzymali się przed pasmem wysokich i niedostępnych gór, których wierzchołki tworzyły długą, skalistą ścianę. Ciągnęła się ona z północy na południe, gdzie ginęła w przestrzeni i wznosiła zaporę nie do przebycia. Auna z Żurem pochłaniała żądza przedostania się przez nią, pragnęli/ tego również wszyscy Ulhamrowie. Przybywali oni z północo-zachodu, dążyli już od lat

ku wschodowi i na południe. Przyczyną tej wędrówki były kataklizmy nawiedzające ich dotychczasowe koczowiska. Przekonali się ponadto, iż w miarę pochodu ziemia stawała się coraz żyźniejsza i bardziej obfita w zdobycz, przyzwyczaili się więc do tej włóczędzy. Teraz pasmo gór, które stanęło na ich drodze zaczęło niecierpliwieć Ulhamrów.

Aun i Zur ułożyli się do odpoczynku w trzcinach pod czarnymi lipami. Na przeciwległym brzegu przeszły trzy ogromne, dobrodusze Mamuty. Pomknęły antylopy, Nosorożec potoczył się w pobliżu przylądka. Jakieś nieznane dotąd odruchy wewnętrzne poczęły niepokoić Auna. Jego dusza, bardziej skłonna do wędrówek od duszy bocianów, pragnęła zwyciężyć przestrzeń. I gdy powstał, zwrócił swe kroki w górę rzeki aż do groźnej gardzieli, z której wypływały jej nurty. Lot nietoperza przecinał półmrok jaskini; jakieś przelotne upojenie owładnęło młodzieńcem, odezwał się do Zura:

— Za górami są inne ziemie. Zur

odpowiedział:

— Rzeka płynie z ziemi słońca.

Jego mętny wzrok, podobny do spojrzenia gadów, zatrzymał się na błyszczących oczach Auna. Zur nadawał pewien konkretny cel pragnieniom Ulhamra. Teraz również umysłem obdarzonym przenikliwą wyobraźnią, swoistą dla Ludzi Bez Ramion, Zur przeczuwał, iż rzeki i strumienie mają swój początek.

Niebieskawy mrok poczerniał. Zur zapalił jedną z gałęzi zabranych ze sobą. Mogliby krążyć bez światła, tak dobrze znali okolicę. Długi czas szli naprzód, przechodzili przez korytarze, przebywali rozpadliny, a po zapadnięciu zmroku upiekli raki, posilili się i położyli spać.

Obudził ich jakiś wstrząs. Słysząc było staczanie się głazów, po czym znowu zaległa cisza. Niepokój ich minął równie szybko, jak powstał, znowu zasnęli. A kiedy rankiem ruszyli dalej, znaleźli drogę zawałoną nieznanymi im odłamkami skał.

'Wówczas Zura natchnęła fala wspomnień zapadłych niegdyś głęboko w pamięć.

— Było trzęsienie ziemi — powiedział.

Aun nie zrozumiał o co chodzi i nawet nie starał się o to. Myśl jego była żywa, śmiała, przelotna, całkowicie pochłonięta przez trudności pojawiające się nagle. Ogarnęło go zniecierpliwienie przyspieszające jego marsz tak, że ku końcowi drugiego dnia dotarli do ściany, na której kończyła się podziemna kraina.

Aby lepiej widzieć Zur zapalił łuczywo. Terpentynowe światło unosząc się po ścianie z gnejsu łączyło życie płomienia z tajemniczym życiem minerału.

Towarzysze, spostrzegłszy szeroką szczelinę, która utworzyła się w ścianie, wydali radosny okrzyk.

— Nowa ziemia — rzekł Zur.

Aun wysunął się naprzód i zbliżył się do otworu. Chociaż znane mu były niebezpieczeństwa będące skutkiem pękania bloków skalnych, pod wpływem gorączki jaka nim owładnęła, zagłębił się w szczelinę.

Pochód ich był uciążliwy, musieli co chwilę to pełzać, to wspinać się na głazy. Zur postępował za synem Tura, opanowało go jakieś niejasne uczucie tkliwości, które nakazywało dzielić trudy towarzysza i które przeobrażało jego roztropność w odwagę.

Przeście stało się tak wąskie, iż musieli posuwać się bokiem. Mieli wrażenie, że skała wydziela z siebie jakieś przytłaczające powietrze. Wreszcie ostry występ jeszcze bardziej zwęził przejście, położenie ich zdawało się bez wyjścia.

Wyciągnąwszy swój topór ciosany z nefrytu Aun jął z wściekłością walić nim, jakby raził wroga. Przeszkoda[^] drgnęła. Obaj wojownicy pojęli, iż można ją było oddzielić od skały.

Zur wstawił łuczywo w jakąś szparę i połączył się z Aunem we wspólnym wysiłku. Występ zachwiał się silniej, poczęli pchać go z całą mocą. Gnejs ustąpił, potoczyły się kamienie, dał się słyszeć głuchy łoskot, przejście było wolne.

Stało się szersze, mogli iść bez trudu, powietrze oczyściło się i znaleźli się w jaskini. Aun podniecony jął biec naprzód, póki nie otoczyły go ciemności. Zur bowiem zatrzymał się w tyle z łuczywem. Niedługo jednak pozostali na miejscu. Gorączkowa ciekawość Ulhamra owładnęła i Człowiekiem Bez Ramion, jęli pośpieszać dużymi krokami.

Wkrótce zaczęło przesączać się światło niby jutrzienka ii w miarę pochodu stawało się coraz jaśniejsze. Otwór jaskini prowadził do przejścia, które ryło się pomiędzy dwiema ścianami z granitu. Gdzieś w "górze widniała szafirowa smuga nieba.

— Aun i Zur przebyli górskie pasmo — zawołał radośnie syn Tura.

Wyprostował swą wyniosłą postać, przejmowało go niejasne, lecz głębokie poczucie dumy, unosił niewysłowiony zapal.

Bardziej skryta i bardziej marzycielska wrażliwość Zura podporządkowywała się wrażliwości towarzysza.

Ale ten wąski wąwóz, skryty gdzieś w górach, nadto jeszcze przypominał podziemną krainę pieczar. Aun pragnął ujrzeć znowu wolną przestrzeń, nie chciał więc wypoczywać. Wąwóz zdawał się nie mieć końca. Kiedy nareszcie dotarli do wylotu dzień chylił się ku końcowi, lecz marzenie ich było zniszczone.

Przed nimi widniało rozległe pastwisko, jakby wrzynające się w nieboskłon, z prawej i lewej strony wznosiły się góry. — groźny świat głązów, milczenia i burz, na pozór niezniszczalny.

Aun i Zur słyszeli kołatanie swych serc... Wiekuiste życie było przed nimi — źródło płodności ziemi; istnienie ludzi było zależne od czarnych bloków bazaltu, od szczytów granitowych, od zwałów porfiru, od otchłani, w której huczy rwący potok, i od cichych dolin, gdzie strumień snuje swą słodką pieśń, było zależne od hord świerków, od tłumu buków, od

roślinności pokrywającej żłobowiska po lodowcach zabłąkanych wśród szczytów, i od lawin złomów skalnych.

W tej krainie, gdzie kamień przyoblekał niesamowite kształty, zachodziło słońce. Nad brzegiem przepaści ukazały się chyłkiem muflony, stary Niedźwiedź na skale z granitu wpatrywał się w okalającą go ciszę, podczas gdy Orzeł łysy zawisł nieruchomo pod obłokiem o bursztynowych, strzępiastych rękach.

Żadna przygód dusza Auna i marzycielski umysł ostatniego z Ludzi Bez Ramion wchłaniały zew nowej ziemi.

Czerwony potwór

Czternaście dni trwał pochód Auna z Żurem. Jakaś wewnętrzna siła nie pozwalała im powracać do hordy, zanim nie odkryją sawann i lasów, gdzie Ulhamrowie znaleźliby w obfitości mięso i rośliny, jakimi karmią się istoty pionowe.

W górach żyć nie można. Wypędzają one człowieka pod koniec lata. Tam ziemia zaledwie runią zieloną się pokryje, gdy w tym samym czasie dolina już szumi świeżymi trawami lub listowiem.

Niejednokrotnie zapadał wieczór, a im nie udawało się upolować zdobyczy lub znaleźć dosyć korzeni dla zaspokojenia głodu. Szli ku wschodowi i południowi. Dziewiątego dnia buki zaczęły

się pojawiać gęściej od świerków, dalej liczniejszymi stały się dęby i kasztany. Aun i Zur wiedzieli, że zbliżają się do równiny. Zwierzęta krążyły w większej ilości, co wieczór mięsivo i korzenie piekły się przy ognisku, a koczownicy zasypiali pod mniej zimnymi niż dotąd gwiazdami.

Czternastego dnia zeszli na skraj górskiego pasma. Przed nimi rozciągała się bezkresna równina wzdłuż olbrzymiej rzeki. Stojąc na pochyłości bazaltowego przylądka wrzynającego się w sawannę spoglądali towarzysze na nową ziemię, której nigdy nie deptała stopa Ulhamrów ani Wahów. Tam, nisko, rosły nieznane im drzewa: bananowce, z których każdy stanowił oddzielny gaj, palmy o liściach kształtu ogromnych piór, dęby zielone i wyniosłe bambusy o bujnym listowiu. Niezliczone kwiecie rozsiewało jakąś dziwną radość, płodną miłość i spokojną rozkosz roślinności, na której spoczywa całe życie.

Aun z Żurem najchętniej śledzili zwierzęta. Zjawiały się lub znikwały, zależnie od falistości powierzchni, wysokości traw, trzciny, paproci, drzew lub bambusów. Było widać uciekające, lekkie stado antylop, przebiegające konie lub muły, pasące się garbate woły. U skrętu rzeki pokazywały się to jelenie, to byki, zgraja rudych psów otaczała antylozę, zdradziecko wśród traw pełzały grzechotniki, na wyniosłości rysowały się szpetne kontury trzech wielbłądów, pawie, bażanty i papugi polatywały na brzegu gaju palmowego, podczas gdy małpy kryły się między konarami, hipopotamy pogrążały się w rzece, a krokodyły unosiły się na niej niby pnie drzewne.

Ulham-rom nigdy już nie zabraknie mięsiva przy ognisku. Nadzieja dostatniego życia przejmowała koczowników radosnym dreszczem. W miarę, jak się zniżali z wyniosłości, powietrze stawało się tak gorące, iż kamienie paliły im stopy. Myśleli, że od równiny dzieliła ich już niewielka przestrzeń, tymczasem zatrzymała ich w drodze stroma skała wrzynająca się w równinę niczym przylądek morskiego wybrzeża.

Ulhamr wydał gniewny okrzyk niezadowolenia, lecz Wah rzekł:

— Ziemia ta jest pełna zasadzek! Aun i Zur nie mają dostatecznej ilości włóczni. Tu, w tym miejscu, żaden zwierz drapieżny nie dosięgnie nas.

Na przelęczy, z daleka zarysowało się cielsko Lwa. Aun zwrócił się do Zura:

— Zur powiedział, co należało! Obrobimy włócznie, maczugi i proce, aby razić nim zwierza i zwyciężać Pożeraczy Ludzi.

Na przylądku cienie stawały się dłuższe, światło przybrało kolor miodu. Aun z Żurem skierowali się ku młodemu dębowi dla zaopatrzenia się w niezbędną broń. Umieli robić oszczepy i maczugi, obrabiać róg, zaostriać kamienie i hartować w ogniu drewno. Odkąd opuścili jaskinię ich topory stepiły się, nie odnawiali swych narzędzi. Jakaś podświadoma mądrość pobudzała ich do uzbrojenia się potężniej, zanim wkroczą w tajemniczą i groźną krainę.

Ścinali gałęzie aż do chwili, kiedy słońce rozpostarło się w głębi nieboskłonu na podobieństwo olbrzymiego, czerwonego ogniska. Po czym pobierali rogi, kości i kamienie, z którymi przywędrowali z gór.

— Zapadnie noc — rzekł Aun. — Zaczniemy pracować ze świtem.

Zur zamierzał zapalić przy pomocy krzesiwa stos nagromadzonego chrustu, podczas gdy jego towarzysz nadziewał kawał mięsa ze stepowej kozy na ostry koł.

Przeciągły wrzask, brzmiący ni to jak ryk, ni to jak śmiech hien, przerwał ich zajęcie. Stanęli jak wryci i ujrzeli w odległości pięciuset kroków od przylądka jakieś nieznane im zwierzę. Miało wzrost Lamparta, sierść czerwoną, płomykowaną, ślepią szeroko osadzone i bardziej jarzące od ślepi Tygrysa, cztery długie, ostre kły wystawały spoza szczęk, budowa ciała znamionowała zwinność i szybkość.

Aun z Żurem zdawali sobie sprawę, że było ono z rasy mięsożernych, lecz nie przypominało żadnego z płowych zwierząt żerujących po tamtej stronie górskiego pasma. Wydawało im się mało groźne. Aun niejednokrotnie ością, maczugą lub włócznią

pokonywał podobne wielkością zwierzęta. Był bowiem równie szybki i silny jak Naoh, zwycięzca Szarego Niedźwiedzia i Tygrysa.

Więc krzyknął:

— Aun nie lęka się czerwonego zwierza!

Ryk powtórzył się, bardziej przejmujący i urywany — zadziwiło to wojowników.

— Głos ma potężniejszy od ciała — zauważył Zur — kły są ostrzejsze niż u innych mięsożerców.

— Aun powaliłby go jednym uderzeniem maczugi.

Zwierzę dało susa dwudziestołokciowego. Aun nachylony ujrzał teraz inną olbrzymią bestię podążającą kłusem u podnóża przylądka. O skórze gładkiej, bez sierści, miała nożyska podobne do młodych wierzb i ogromną głupawą paszczę. Był to hipopotam, groźnie pomrukując, zatrzymał się, rozdziawiając paszczę.

— Czerwony zwierz jest za mały, aby ubić hipopotama — rzekł Aun. — Hipopotam nie lęka się Lwa.

Zur patrzył w milczeniu. Pałaca ciekawość i nienasycona żądza walki, tkwiąca w ludziach, rozsadzała piersi towarzyszy.

Nagle, zebrawszy się w sobie, Macherodus skoczył. Spadł na kark hipopotama i wczepił się weń ostrymi pazurami. Gruboskóry, przeraźliwie rycząc, ruszył cwałem ku rzece. Lecz wszystko tnące kły przebiły już twardą skórę i dobrały się do warstwy mięsa... Rana w olbrzymim karku stawała się coraz głębsza. Macherodus z pomrukiem radości, upojony zwycięstwem, pił czerwony strumień.

Z początku hipopotam przyspieszał biegu, nie ryczał więcej, cały jego wysiłek zogniskował się w woli, - by dotrzeć do rzeki. Tam, pogrążając się w rodzinne ostoje, wyleczy swą ranę i zażyje jeszcze rozkoszy bytowania. Jego potworne łapy uderzały w sawannę i pomimo kołysań ciężkiego cielska podążał z szybkością równą szybkości jelenia lub stepowego osła...

Rzeka była tuż, jej wilgotny opar podniecał olbrzymia. Ale okrutne zębiska ryły nadal, otworzyła się nowa rana, hipopotam począł się chwiać... Krótkie nogi drżały, z paszczy potwornej wydobył się jęk; kły czerwonej bestii szarpały nieustannie...

W chwili gdy dobiegał do trzciny, zwyciężony, zakręcił się na miejscu — omdlewał... Chrapliwie wyrzucił z siebie powietrze i runął. Wówczas Macherodus, uniósłszy się na sprężystych łapach, wydał ryk, na którego echo zerwały się do ucieczki bawoły i jał pożerać swą żyjącą jeszcze zdobycz.

Aun i Zur przyglądali się w milczeniu. Czuli zbliżającą się krwiożerczą noc. Ich członki ogarniał bezwład; zdawali sobie niejasno sprawę, iż nowa ziemia była straszniejsza, bardziej pierwotna w swej naturze niż ta, na której koczowali Ulhamrowie. Była to ziemia, na której przebywały zwierzęta, które żyły jeszcze za czasów pierwszych ludzi. Głęboki mrok przeszłości zapadał wraz z zorzą wieczorną, a prastara rzeka toczyła poprzez sawannę swe purpurowe wody.

Ogień wśród nocy

Przygotowanie broni zajęło im osiem dni. Włócznie zostały zaopatrzone w krzemienne groty lub spiczaste zęby; każdy z nich posiadał ość z rogowym końcem. Dwie proce służyły do miotania kamieni na odległość, wreszcie dęby dostarczyły maczug, z których cięższa należała do Auna i była groźna dla największych na wet drapieżników.

Przy pomocy pasów, wyciętych ze skóry jelenia, spuścili się z wierzchołka wzgórza na równinę. Gdy znaleźli się na sawannie, zdało im się, że horda Ulhamrów pozostała za nimi gdzieś w nie-

zglębionej dali. Siła młodości i zdobywczy duch zwierząt pionowych porywały Auna. Dokoła niego pomykała niezliczona a możliwa zdobycz. Wystarczyło przyczać się w trawie, aby upolować kozła, jelenia, lub antylopę. Lecz nie zabijał na próżno trawożernych, albowiem mięso narasta powoli, a człowiek musi posilać się codziennie; gdy horda miała dostateczne zapasy, Naoh, wódz Ulhamrów, zabraniał polować.

Nowość otoczenia czarowała towarzyszy. Podglądali gawiała długości dwunastu łokci, z paszczą, co zdawała się nie mieć końca. Kołysał się na falach rzeki czaił na kępie lub-wśród trzcin przybrzeżnych. Między konarami przebiegały małpki, pokazując swe czarne kończyny i ludzkie torsy. Stadami krążyły byki stepowe, równie potężne jak Tury, nadstawiając rogi, zdolne rozpruć pierś Tygrysa i zmiażdżyć Lwa. Gayale, czarne byki stepów południowych, pokazywały swe mocarne kształty i wypukłe kłębły. Gepard zjawił się i znikł nagle za kępą gęstych krzaków. Sfora wilków w pogoni za jeleniem przeniknęła, chyża i złowroga, a rude psy z nosami przy ziemi tropiły jakiś ślad lub podnosząc swe wąskie pyski wyły urywanie. Niekiedy przerażony tapir porywał się ze swego błotnego legowiska i uciekał pod osłonę bananów.

Aun z Żurem zamienili się w słuch i węch, w ciągłej obawie przed jadowitymi kobrami i dużymi płowymi zwierzętami, które spały w swych kryjówkach lub między bambusami; jedynie ruda pantera w połowie dnia wychyliła się z jaskini na skalnej przełęczy, wpatrując się w ludzi swymi zielonymi oczyma.

Aun podniósł maczugę, prostując swą muskularną postać, lecz Zur, wspomniawszy Macherodusa, powstrzymał ramię towarzysza.

— Syn Tura jeszcze nie powinien walczyć.

Aun zrozumiał myśl Zura. Skoro czerwony zwierz okazał się groźniejszy od Lwa, to ruda pantera mogła być potężniejsza od Tygrysa. Naoh, Fauhm i Goun Sucha Kość uczą być równie roztroprnymi, jak odważnymi. Ulhamr jednak nie od razu opuścił maczugę, wykrzyknął:

— Aun nie lęka się pantery!

A że drapieźnik nie ruszał się z jaskini, ludzie powędrowali w dalszą drogę.

Szukali schronienia. W tej gorącej krainie, wśród nocy musiało się roić od mięsożerców, nawet przy ognisku wiele niebezpieczeństw groziło koczownikom. Ulhamrowie posiadali wprawę i zmysł poszukiwania miejsc spoczynku, umieli zabezpieczać jaskinie kamieniami, gałęziami i pniakami drzew, uzupełniać braki legowiska na odkrytych miejscach lub wykorzystywać występy skalne.

Jednak codzienne ich poszukiwania terenów dogodnych dla osiedlenia się Ulhamrów były, jak dotąd, daremne i co wieczór musieli oddalać się od rzeki.

Rozbłysły, pierwsze gwiazdy, gdy stanęli na wyniosłości, gdzie rosły jedynie kolczaste krzewy i nędzna trawa. Oparci o cypel szyfrowy, rozłożyli półkolem ognisko. Zamierzali czuwać kolejno. Aun, obdarzony delikatniejszym słuchem i wrażliwszym powonieniem, miał rozpocząć czaty — pierwsza bowiem połowa nocy była bardziej groźna.

Słaby wietrzyk przynosił ostrą woń zwierząt i upajające zapachy roślinności. Zmysły młodego Ulhamra chwytaly w swą lekką sieć wrzawę, płomienne blaski i wyziewy.

Pierwsze pokazały się szakale, skradały się ostrożnie. Ogień przyciągał je, a zarazem przestraszał. Stały chwilę nieruchomo, po czym skrobiąc lekko ziemię, jęły przybliżać się do tajemniczego zjawiska. Poza nimi stały się ich wydłużone cienie. Błyszczące oczy napępniały się czerwonym blaskiem, a spiczaste uszy prężyły się we wszystkich kierunkach. Przy najmniejszym poruszeniu Auna cofały się wszystkie razem. Gdy podnosił ręce, uciekały cicho skomlać. Aun nie lękał się ich, nawet gdy były w licznej gro-rnadzie, ale ich ostra woń przeszkadzała mu wyczuwać wyziewy innych zwierząt.

Aby nie trwonić swych środków obronnych, nazbierał kamieni, szakale rozbiegły się przy pierwszym pocisku. Po nich pojawiły się rude <psy, liczebność i nurtujący głód mogły je uczynić odważnymi. Krążyły gromadkami, to zatrzymując się nagle, to znów rzucając naprzód z warkotem podchwytywanym przez

inne, jakby prowadziły ze sobą rozmowę. Ogień osadził je na miejscu. Z ciekawością szakali wietrzyły mięso i woń dwóch ludzi. Pożądliwość ich mieszała się ze strachem.

Gdy Aun ciskał kamieniami cofały się; w mroku rozległo się złowrogie wycie. Stojąc poza linią rzutu, stawały się coraz zacieklejsze — wysyłały wywiadowców, którzy skradając się szukali wejść. Luki pomiędzy skrzydłami ogniska a cyplem wydawały się im za wąskie, powracały jednak do nich, węszyły z niepokojącą zawziętością. Czasami udawały natarcie lub ukryte za skałą wyły, spodziewając się wywołać tym popłoch, który odda im mięso w posiadanie.

Powoli powracały szakale, bardziej złowrogie, trzymając się jednak w pewnej odległości od rudych psów. Te zaś cofnęły się przed dwunastoma wilkami, które nadciągnęły od wschodu, po czym rozbiegły się, by przepuścić hieny biegnące niesamowitym klusem, kołyszące kurczowo stromymi zadami, śmiejąc się od czasu do czasu śmiechem starych kobiet. Dwa karłowate nietoperze wirowały na swych miękkich skrzydłach, wyżej jakiś nocny ptak o szerokich, niemal orlich skrzydłach szybował pod gwiazdami. Wokół ogniska roilo się od oślepionych ciem i chmar szeleszczących krówek. Oszołomione żuczki padały na szkarłatne główne. Dwie głowy małp brodatych widniały wśród bananów, podczas gdy puchacz błotny zawodził gdzieś na pagórku, a tukan swym ogromnym dziobem rozsuwał pierzaste liście palmy.

Auna ogarniał niepokój. Wpatrywał się w rozwarte paszcze, w kły spiczaste, w te wszystkie rozżarzone żrenice mieniające się błyskami karbunkułu.

Śmierć unosiła się w powietrzu. Wokoło było dość nagromadzonego pragnienia mordy, by zgładzić nawet pięćdziesięciu ludzi. Rude psy posiadały siłę całych hord; paszczęki hien były równie groźne jak Tygrysów, wilki rosłe i silnej budowy ukazywały swe muskularne karki, a nawet szakale mogły swymi ostrymi zębami rozszarpać Auna i Zura z szybkością, z jaką płomień spala drobną gałązkę. Oslupienie wywołane ogniem zatrzymywało te wszystkie wygłodzone zwierzęta, istniała w nich przebiegłość, lecz nie zuchwalstwo.

Oczekiwały one na jedno z tych wydarzeń, które wynagradza długie czuwanie lub wyczekiwanie. Od czasu do czasu nienawiść podszczywiała jedne na drugie. Skoro wilki wyły, szakale cofały się w cień, natomiast rude psy otwierały razem smukłe paszcze — wszystkie jednak ustępowały przed hienami. Nie były one zwolenniczkami narażania się niepotrzebnie i przyzwyczajone do zdobyczy obezwładnionej, omdlałej lub słabej, mało były groźne dla ludzi; pozostawały na miejscu podniecone obecnością innych zwierząt i tym dziwnym światłem, które wydobywało się z pełzających po ziemi płomieni.

W końcu zjawił się Lampart — Aun obudził Zura. Drapieznik przysiadł przed rudymi psami. Jego oczy barwy bursztynu śledziły płomienie, a poza nimi — proste postacie ludzi.

Oburzony Aun zawołał:

— Syn Tura zabił trzy Lamparty!

Zwierz wysunął łapy uzbrojone w pazury, wyciągnął swe gibkie ciało i zamiauczał. Był on dużych rozmiarów, rósłszy od Lampartów płomykowanych, znanych Ulhamrom. Skóra pokrywająca jego mięśnie tworzyła szerokie fałdy. Mógłby bez wysiłku przeskoczyć ognisko i dosięgnąć cypla, na którym znajdowali się ludzie. Zaniepokojony, starał się rozpoznać te pionowe istoty. Wyziewy i kształt ich przypominały mu gibony, lecz gibbon jest mniejszy i inaczej się zachowuje. W czerwonym świetle wydawały się wyższymi od byków południa, ich ruchy, dziwaczne kształty — nakazywały Lampartowi rozważę. Zresztą był sam, a Indzie zwróceniu doń byli w wyzywającej postawie.

Aun krzyknął głośnie, głos jego brzmiał jak głos potężnego przeciwnika. Lampart przeczołgał się na lewo, zatrzymał przed wąskim pasmem dzielącym ognisko od skały, po czym uskoczył w bok, cofając się. Kamień uderzył go w łeb. Zamiauczał z wściekłości, lecz oddalił się do tyłu. Zebrawszy się w sobie jakby do skoku rył pazurami ziemię, wreszcie zawróciwszy na miejscu, oddalił się, groźny, ku rzece. Część szakali poszła za nim. Rude psy i wilki okazywały znużenie, hieny zaś, rozszerzając krąg swego żerowiska, z rzadka ukazywały się w migających odblaskach...

Nagle zwierzęta jęły nasłuchiwać, wszystkie nozdrza zwróciły się ku zachodowi; nastawiły się spiczaste uszy. Krótkie poryki rozdarły ciszę, przyprowadzając o dreszcz ludzi ukrytych na cyplu. Po czym jakieś falujące ciało wspięło się w cieniu i spadło w kolisko światła. Rude psy rozbiegły się, jakaś zawzięta podnieta unieruchomiła wilki, rozżarzając ich ślepią, hieny przybywały klusem, dwa koty wiewiórkowate darły się w ciemnościach.

Aun z Żurem poznali to czerwone futro i te straszne kły.

Potwór przysiadł przed ogniskiem. Nie był większy od Lamparta, a nawet, wzrostem nie dorównywał największym hienom lecz jakaś tajemnicza potęga, uznana przez wszystkie inne zwierzęta, biła z jego ruchów i ogromnych oczu.

Aun z Żurem trzymali broń w pogotowiu. Syn Tura dzierzył! w prawej ręce ość, u jego nóg leżała maczuga. Zur, słabszy, wołaa włócznię. Obaj uważali Macherodusa za silniejszego od Tygrysa & może nawet za groźniejszego od owego olbrzymiego drapieżnika* przed którym ongiś Naohowi, Gawowi i Namowi udało siw umknąć na ziemiach Pożeraczy Ludzi. Wiedzieli już, że Macherodus może dawać dwudziestolokciowe susy — była to odległość większa od tej, która dzieliła go od cypla. Lecz na przeszkodzie stał ogień. Czerwony ogon bił o ziemię, grzmiący ryk przeszywał powietrze, natężone mięśnie obli ludzi przybierały twardość grał

nitu.

Aun odchylił się do rzutu ością, Macherodus jakby przewidując cios dał susa w bok, co opóźniło walkę, a Zur szepnął:

— Skoro zwierz zostanie ugodzony, natrze mimo ognia.

Aun, choć równie zręczny jak Naoh, nie mógł jednak ranić śmiertelnie wroga z odległości dwudziestu łokci. Posłuchał więc Zura i czekał.

Czerwony potwór stał przed ogniskiem. Z tej odległości była go lepiej widać. Sierść miał na piersiach jaśniejszą niż na grzbiecie zębiska lśniły niby onyks, a gdy zwracał łeb w kierunku cienia] ..ogień jego ślepi jaśniał jak świetliki.

Dwa sterczące kraje skały przeszkadzały zwierzęciu skoczyć a ludziom — miotać pociski.

Trzeba mu było posunąć się o jakieś trzy łokcie. Zamierzał też to uczynić. Po raz ostatni obrzucił spojrzeniem swych przeciwników, pierś jego wzbierała wściekłością, przeczuwał bowiem odwagę pionowych istot.

Wtem w szeregach rudych psów podniosła się wielka wrzawa. Wilki skłębiły się, hieny cofnęły pod bananowce. Na gwiezdny tle nieba zarysował się kształt potwornych rozmiarów, kierujący się w stronę ogniska. Wkrótce w czerwonym świetle ukazał się ciężki łeb z rogiem dłuższym od rogu bawołu. Skóra przypominała korę starych dębów, chropowate pnie podtrzymywały kadłub o ciężarze *co* najmniej sześciu koni. Zwierzę, krótko wzroczne, gniewne, biegło klusem. Wszystko ustępowało przed nim. Jeden z wilków w popłochu rzucony na drogę Nosorożca został zdeptany niby owad. Aun wiedział, że taki sam los spotkałby Lwa lub Niedźwiedzia Jaskiniowego. Zdawało się, że nawet ogień nie zatrzyma potwora. A jednak zatrzymał. Olbrzymie *cielsko* zakołysało się przed szkarłatnymi głowami, małe ślepia rozszerzyły się, róg godził w przestrzeń.

Wówczas Macherodus zagroził mu drogę. Przypadłszy piersią do ziemi, rozciągnął się niby olbrzymi gad, nieustannie miął cząc. Nieuchwytnie wspomnienia niepokojące gruboskórego rozwiały się, ustępując miejsca wściekłości. Na stepie, w puszczy czuł też na pustyni żadne istnienie nie mogło się ostać przed jego zwaB tą masą. Wszystko, co nie uciekało — zostawało zmiażdżone. Róg nastawił się w stronę czerwonego zwierza, ciężkie łapy znowł rozpoczęły bieg. Niósł się jak huragan. Jedynie skała lub Mami mogły go zatrzymać. Jeszcze dwa kroki — a z Macherodusa pozczł staną strzępy..., lecz Macherodus uskoczył w bok.

Olbrzym, niezwrotny cwałował prosto, aż do bananowców a tymczasem czerwony zwierz już siedział mu na łopacie. Zarzycffl złowrogo, wpił się weń pazurami i rozpoczął swe dzieło. Wiad<< ma mu arteria — znali ją już od tysiącleci jego przodkowie — była tuż pod fałdą skóry Nosorożca, grubszej od skóry starych cedrów, równie twardej jak skorupa żółwia, nieprzeniknionej dla kłów Tygrysa, Lwa i Kota Olbrzymiego — mieszkańca jaskiń. Je-

dynie ostre, długie zębiska Macherodusa umiały znaleźć do niej drogę.

Skóra i mięso otworzyły się, wytrysnął strumień krwi na wysokość dwóch stóp, potwór usiłował zrzucić z siebie drapieżnika, a nie mogąc tego osiągnąć, rzucił się na ziemię.

Macherodus nie dał się zaskoczyć. Usunął się na bok, pomrukując z rozkoszy, wyzywał do walki tę siłę. Nieomylny zmysł doświadczenia mówił mu, iż życie odpływa wraz z tym gorącym strumieniem i że należało jedynie czekać. Rude psy, hieny, szakale, koty wiewiórkowate zbliżały się do walczących z pożądlivością.

Zwyciężony olbrzym mógł stać się dla wszystkich pożywieniem dnia. Ani jedno z wielkich drapieżnych zwierząt nie dostarczało tyle żeru zgłodniałym bandom pasożytów podążających ich śladem, co Macherodus.

Jeszcze jeden wysiłek. Straszny róg natarł na wroga, pysk ociekający pianą wydawał chrapliwe dźwięki, rozpacz wstrząsnęła słabnącym cielskiem. I nadszedł koniec. Potok krwi ustał. Ginące siły pograżyły się w tajemnicy rzeczy minionych. Nosorożec zwa- lił się jak skała, a Macherodus pogłębiając ranę, która powaliła potwora, pożerał ciepłe mięso. Szakale zlizywały rozlaną po ziemi posokę, a rude psy, hieny i wilki oczekiwały pokornie, aż czerwony zwierz nasyci się.

Ludzie i Czerwony Zwierz

Po zwycięstwie Macherodusa Aun i Zur dołożyli gałęzi do ogniska, po czym Aun ułożył się do snu, podczas gdy jego towarzysz- stanął na czatach. Niebezpieczeństwo oddaliło się, krąg paszcz zagrażający ludziom tłoczył się teraz dokoła Nosorożca. Zur śledził gwiazdy, które niedawno świeciły ponad szczytami drzew hebanowych, a teraz zachodziły w kierunku rzeki. Bardziej trwożliwy od Auna, czuł się dziwnie pogrążony w nieznanym mu otoczeniu tej nowej krainy, gdzie płowy zwierz, nie przerastający wzrostem Lamparta, zabijał wielkie gruboskóre.

Zwycięzca nasycił się długo. Dla zabawy, z upodobania lub też z odziedziczonego nawyku, darł skórę w różnych kierunkach

i na coraz to innych miejscach. Zwierzęta słabsze, szakale i koty wiewiórkowate wślizgiwały się w wyszarpane otwory w ciele Nosorożca, nie zwracając uwagi na Macherodusa, lecz pomruk jego stawał się groźny, gdy rude psy, wilki, a szczególnie hieny za bardzo zacieśniały swój krąg.

Księżyc wschodził po przeciwległej stronie rzeki, kiedy drapieжник pozostawił swą zdobycz. Wówczas rzuciły się podniecone wilki, rude psy i hieny. Zdawało się, że nastąpi ogólny pogrom, kły błyskały jedne tuż obok drugich, przeraźliwe wycie rozlewało się po równinie. -"Ale w samym sercu tego żerowiska zapanowało zawieszenie broni, wilki znalazły się przy łopatkach i piersi, hieny kończyły rozpruwać brzuch, rude psy zaś parały się z zadem. Szakale i koty widząc, że dla nich nic nie pozostanie, oddaliły się.

Macherodus na krótką chwilę zwrócił łeb w stronę tego roju paszcz. Krew ociekała mu z warg, które niedbale oblizywał, pożeranie znużyło jego szczęki, ogarnęła go senność. Przemógł ją jednym skokiem, postąpił parę kroków w stronę ognia i tego pionowego stworzenia, które drażniło jego zmysły, po czym, ufny w swą niezwalczoną siłę, wyciągnął się na sawannie i zasnął.

Zur śledził go nieufnie. Zadawał sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby uciec korzystając z tego snu, ale przypuszczając, że zwierzę będzie spał długo, nie budził Auna.

Księżyc stawał się coraz mniejszy w miarę, jak przechodził ponad pagórkami, gasił swym blaskiem gwiazdy. Resztki Nosorożca znikaly wśród paszcz. Zbliżał się świt, kiedy syn Ludzi Bez Ramion dotknął piersi Auna.

— Brak drewna — rzekł, podczas gdy jego towarzysz rozprostowywał członki — czerwony zwierzę śpi. Aun i Zur powinni odejść.

Rosły Ulhamr rozglądał się po okolicy. Spozrzegł nieruchomo leżącego Macherodusa o paręset kroków od postoju. Ogarnęła go nagle nienawiść. Przypomniawszy sobie czerwone zwierzę ryjące przed ogniskiem, jego kły zatapiające się w skórę olbrzymiego trawożernego. Istnienie rasy ludzkiej i stworzeń służących jej za pożywienie było zagrożone przez nieznanego potwora.

— Czy Aun nie mógłby zabić zwierza podczas jego snu? — zapytał.

— Przebudziłby się — odpowiedział Zur — lepiej przejdźmy na drugą stronę skały.*

i Syn Tura wahał się. Moc nakazująca mu walkę była mocą, dzięki której powstał gatunek. Ani Fauhm, ani Naoh nie znieśli, ażeby drapieżnik tej miary czyhał na nich jak na zdobycz.

— Naoh ubił Tygrysię i Szarego Niedźwiedzia — rzekł po nuro Ulhamr.

— Tygryś i Niedźwiedź byliby uciekli przed Nosorożcem!

Ta odpowiedź uspokoiła wojownika. Przymocował swą broń i ujął prawicą maczugę. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na czerwonego zwierza, przekroczyli cypel i zeszli ze skały. Byli przygnębieni, albowiem źle spali i myśleli o hordzie zagubionej tam gdzieś za górami.

Świtało, białł się wschód, głosy drapieżników milkły nad wodami, liście i trawy zdawały się bardziej nieruchome.

Jakiś ryk rozdarł ciszę. Aun i Zur, odwróciwszy się, ujrzeli Macherodusa. Przypadek lub po prostu odejście ludzi zbudziło go, zmysły nakazywały iść śladem tych istot, które wstrząsnęły jego niemrawym umysłem.

— Aun powinien był zwalczyć czerwonego zwierza podczas jego snu — rzekł Ulhamr opatrując broń.

Ostry żal przeszył mu pierś. Wah, opuściwszy głowę, pojmował, iż ostrożność jego stała się zgubną i spoglądał z pokorą na Auna. Lecz ten nie miał doń urazy; jego szeroką pierś rozsadzała podnieta walki, a Zur stanął jakby częścią składową jego osoby. Z początku stali ramie przy ramieniu, łącząc swe siły, po czym Aun wydał swój okrzyk wojenny:

— Syn Tura i Zur przebiją czerwonego zwierza i połamią mu kości! -

Macherodus wcale się nie śpieszył, gdy pionowe zwierzęta zatrzymały się i on przystanął; patrzył, gdy odwiązywali proce z włóczniami i gdy dziwnie wyciągali swe członki. Tak, jak poprzednio, dziwiła go wrzawa składanych dźwięków; jał postępować drogą skośną, która go wcale nie zbliżała do nich.

— Czerwony zwierz boi się ludzi! — zawył Aun i jednocześnie podniósł ość i maczugę.

Odpowiedział mu przeciągły ryk —> Macherodus dał dwa olbrzymie susy. Zanim zdążył dać trzeciego, proce Auna i Zura zaświstały. Raniony włóczniami w kadłub i kark, drapieżnik runął zaciekle na ludzi. Syn Tura cisnął ością, która utkwiała w żebrach; pocisk Zura otarł się o twardą czaszkę. Zwierz był już na nich.

Jednym uderzeniem powalił Zura i zagłębił swe zębiska w jego piersi. Aun puścił w ruch maczugę. Dębowa pałka trafiła w próżnię. Macherodus cofnął się. Ulhamr i zwierz znaleźli się oko w oko. Aun uniknął pierwszego natarcia uskakując w bok; odparł drugie, zatoczywszy koło maczugą, która ześliznęła się po łapach zwierza. Kłęb mięśni uderzył weń gromem, przewrócił i potoczył się sam, niesiony rozpędem. W chwili gdy Macherodus wracał do natarcia człowiek powstał już na jedno kolano. Podczas gdy osłabiony Zur cisnął toporem, Aun spuścił maczugę, bijąc oburącz.

Zadudniła gruba czaszka, drapieżnik jął się kręcić wkoło, jatół by oślepić. Drugi cios obezwładnił mu kark. Wtedy Aun potrząsał mu zebra, połamał łapy, zmiażdżył szczęki. Długo jeszcze drgały mięśnie, tłukło się odsłonięte serce, trzeba było dwóch! uderzeń włócznią, by przyspieszyć skonanie, a Zur chrapliwym i słabym głosem wyszeptał:

— Aun zabił czerwonego zwierza. Aun jest silniejszy od; Fauhma. Aun jest równie silny jak Naoh, który zdobył ogień i Pożeraczy Ludzi.

Ulhamr upajał się słowami towarzysza, duma rozdymała mu nozdrza, przeminął już smutek, który go przytłaczał podczas nool nej ucieczki. Zwycięzca w nim podniecał się przygodą; zwrócił ku rannym zorzom i miłował szalenie nieznaną krainę.

Zur bełkotał dalej:

— Syn Tura będzie wodzem wśród ludzi!

Tu wydał jęk, oblicze jego stało się barwy gliny — omdlał! Aun widząc krew obficie płynącą z piersi rannego, zaniepokoił się jakby na widok krwi własnej — nieruchoma twarz przygnębiła go.

Przywiązanie straszne a słodkie drgało w nim. Czasy współ

nie przeżyte powracały w chaotycznych obrazach. Widział znowu te lasy, pastwiska, moczary i rzeki, gdzie łączyli swe wysiłki, gdzie jeden dla drugiego bywał żywą bronią.

Nazbierawszy liści i traw, Aun kamieniem utłukł je na miazgę i przyłożył na rany towarzysza, powieki Zura uniosły się. Zdziwiło go zrazu, że tu leżał, rozejrzał się dookoła szukając ognia, po czym wróciła mu pamięć — i powtórzył słowa, które poprzedziły jego omdlenie:

— Aun zostanie wodzem wśród ludzi! A

czując swe osłabienie, wyjęczał:

— Czerwony zwierz przebił pierś Zura...

Aun nie przestawał opatrywać ran. Tymczasem ogromne słońce wschodząc za rzeką, pochowały się nocne drapieżniki. Wśród konarów uganiały się małpy, kruki o białych łbach krakały nad szkieletem Nosorożca, dwa sępy zawisły w powietrzu, a trawożerne budziły się, pełne sił. Dla Ulhamra i. Waha minęła godzina niebezpieczeństw, duże drapieżniki-spały w swych legowiskach lub w dżungli.

Lecz i dzień bywa wrogiem, gdy światło jest ostre, a upał pali ziemię. Trzeba było przenieść Zura w cień. Aun jak wszyscy Ulham-rOwie instynktownie lubił jaskinie. Wzrokiem zbadał przestrzeń w nadziei odkrycia jakichś skał, lecz widział jedynie step, kolczaste krzaki, parę palm, grupy bananowców i kępy drzew hebanowych.

Więc umocowawszy liście i trawy na piersiach towarzysza, wziął go na plecy i ruszył w drogę. Pochód był uciążliwy, gdyż trzeba było dźwigać i broń, lecz Aun odziedziczył siłę Fauhma, Naoha i Włochatych. Szedł długo, uporczywie broniąc się przed znużeniem. Często układał Zura w cieniu i nie tracąc go z oczu wstępował na wyniosłość gruntu lub głaz, by rozejrzeć się po okolicy.

Ranek mijał, upał stawał się nie do zniesienia, a żadne pasmo skaliste nie ukazywało się.

— Zur ma pragnienie — powiedział Człowiek Bez Ramion, trawiony gorączką.

Syn Tura skierował się ku rzece. W tej upalnej godzinie można byłd na jakiejś wysepce zobaczyć jedynie długie, łuskowate ciało ga-wiała lub hipopotama, na chwilę wychylającego się z żółtych wód.

Rzeka daleko w przestrzeń toczyła swe żyzne wody, wokół których wyrosły prastare lasy, bujne trawy i żyły niezliczone zwierzęta. Rodzicielka życia miała też niezmordowana ruchliwość, tłumnie rwały jej fale, potoki, wodospady.

Aun garścią zaczerpnął wody i napoił rannego. Zapytał, za
niepokojony: k

— Czy Zur cierpi?

— Zur jest bardzo osłabiony, chciałby spać. Muskularna ręka Auna łagodnie spoczęła na głowie towarzysza.

— Aun przygotowuje schronisko!

Ulhamrowie umieli zabezpieczać się w lasach za pomocą splecionych gałęzi. Aun udał się na poszukiwanie lian, które obcinał toporem, po czym wybrał trzy palmy, rosnące na wzniesieniu, ponacinał je po bokach i poprzeciągał pomiędzy nimi giętkie łodygi. Tworzyło to ogrodzenie o trzech bokach, którego ściany, choć przeświecające, były jednak mocne i gibkie. Syn Tura pracował gorliwie i gdy spoczął, długie cienie dawno już kładły się na rzece. Trzeba było jeszcze nakryć schronisko lianami, dostatecznie grubymi, by mogły utrzymać ciężar drapieżnika, dając możliwość rozplatania mu kadłuba lub przebicia serca.

Gorączka Zura nie ustępowała, zielone błyski przeszywały jego źrenice, zasypiał na chwilę i budził się nagle, wymawiając słowa bez związku. Zwracał jednak uwagę na pracę Auna i dawał mu rady, albowiem Ludzie Bez Ramion byli w tym kierunku bardziej pomysłowi od Ulhamrów i innych plemion.

Zanim znowu zabrał się do roboty, Aun zjadł kawał mięsa upieczonego poprzedniego dnia. Następnie przymocował grube liany, służące za przykrycie kryjówki i obciął dwie duże gałęzie, by z nich utworzyć zaporę u wejścia.

Słońce zniżało się do najwyższych czubów drzew hebano-. wych, kiedy ludzie schronili się do szałas. Schronienie dawało możliwość obserwacji okolicy; przez wolne odstępy między lianami było wyraźnie widać rzekę, oddaloną o trzysta łokci.

Była to godzina tętniąca życiem. Potworne hipopotamy wypływały ze swych "podwodnych pastwisk i gromadziły się na wy-

żynie. Stado czarnych byków pasło się-na trawach z drugiej strony rzeki. Dostrzegało się mknące pod powierzchnią wody duże węgorze o łbach spiczastych. Spośród trzciny wysuwał się krokodyl o dwóch grzebieniach, paszcza jego zamykała się na smukłej szyi karłowatej antylopy; śliczne stworzenie konało w okrutnym pysku, który ciął urywanie, oddzielając głowę od kadłuba. Mały małpi lud szalał wśród gałęzi; bażanty, mieniające się szmaragdem, szafirem i złotem zapadały w trzciny, a srebrzyste czaple śnieżnym obłokiem pokrywały kępy pełne kwiecica.. Czasami jakieś stado dużych antylop lub kozłów uciekało w popłochu przed stadem rudych psów lub parą gepardów. Następnie zjawiły się konie o oczach szalonych, istnienia niepokojące i bujne. Ostrożność przeżyła ich mięśnie, zbliżyły się, często osadzając na zadach, co naruszało porządek tabunu, strzygły nerwowo uszami, w które każdy hałas bił na trwożę. Gajale wyciągniętą linią poważnie posuwały się wzdłuż gaju bambusowego.

Wtem przeleciał przeciągły dreszcz, zakotłowało się od gwałtownych susów. Pięć Lwów schodziło ku rzece.

Otoczyła je samotność. Przed płowymi drapieżnikami o szerokich piersiach odpływały trawożerne ,w głąb obszaru. Jedyne krokodyl urwawszy głowę swej zdobyczy pozostał. Nie wiadomo było, czy zwęszył niebezpieczeństwo. Jego twarde, łuskowate cielsko długości dwudziestu łokci a grubości platanu, jego ślepa bez wyrazu i bezmyślny łeb tworzyły jakąś okropną mieszaninę zwierzęcia i minerału. Jednak wiedziony niewytłumaczalnym czuciem zwrócił swą długą paszczę w stronę nadchodzących. Zawahał się, po czym chwyciwszy strasznymi szczękami ciało swej ofiary, pograżył się wśród lilii wodnych.

Dwa Lwy miały grzywy. Były to krępe samce o łbach niby głazy szyfrowe; ociążały w spokoju, rozprężyły się podczas łowów w dwudziestołokciowych susach. Lwice o łapach krótszych były bardziej gibkie i wydłużone, szły podejrzliwie. Wszystkie miały wielkie żółte oczy, patrzące niemal po ludzku. Przypatrywały się nikonącym w dali wspaniałym stadom. Piersi ich napelniło rozczarowanie, zatrzymały się mrużąc i porykując. Gromkie głosy

samców rozlegały się po powierzchni rzeki i dreszczem przejmowały wszystko, co żyło. Popłoch szerzył się wśród gajów palmowych, trzciny i bananowców, na skrajach zatok i przylądków aż po zbieg dopływu z rzeką. Między konarami chichotały zapamiętałe małpy.

Gdy minął gniew drapieżników, powędrowały dalej. Samce wdychały słaby podmuch, Lwice, bardziej podniecone, nachylały swe pyski ku ziemi. Jedna z nich zwietrzyła ludzi. Przyczołgała się do szałasu, na wpół ukrytego w wysokich trawach, inne podążyły za nią, Lwy pozostały w tyle.

Aun patrzył na zbliżające się płowe bestie;

Każda z nich była pięciokrotnie silniejsza od człowieka. Pazury miały ostrzejsze od włóczni, kły — skuteczniejsze od oszczepów. Pojął swą słabość człowieczą, ohydę samotności, żałował opuszczonej równiny, gdzie ludzie mieli potęgę liczebności.

Zur uniósł głowę. W jego ranionej piersi prerażenie mieszało się z bólem i rozpaczą, że nie może walczyć.

Pierwsza Lwica stanęła tuż przed nimi. Widziała niewyraźnie osobliwe zwierzęta ukryte za lianami, krążyła chytrze wokoło szałasu. Tak bliska, że syn Tura nie czuł już lęku, krew wojowników umiających ginąć pod pazurem, nie przestając walczyć, grała szumnie w jego żyłach; źrenice jego płonęły nie mniej silnie, jak ślepią Lwa i wymachując toporem, z głębi piersi rzucił swe wyzwanie:

— Aun rozrzuci wnętrzności Lwów!

Lecz Zur powiedział mu:

— Niechaj syn Tura zachowa ostrożność! Gdy płynie krew Lwów, nie boją się one więcej śmierci. Trzeba razić w nozdrza, wydając okrzyk wojenny!

Aun uznał mądrość Waha, wyższą nawet od mądrości Gouna Sucheja Kości. Przebiegłość przyćmiła ogień jego wzroku.

Lwica, stojąc teraz nieruchomo, usiłowała dojrzeć wyraźniej istotę wydającą ten groźny głos. Jeden z Lwów zaryczał, potem drugi. Aun odpowiedział potężnie, wszystkie drapieżniki znalazły się przed gniazdem z lian. Świadome podwójnej siły swych członków i liczby, zwlekały z natarciem, • zdobycz bowiem wyzywała je, sama pozostając osłonięta.

Pierwszą próbę przebycia przeszkody zrobiła najmłodsza z Lwic. Podeszła zupełnie blisko, powietrzyła i uderzyła łapą. Liana ugięła się, lecz nie zerwała, tymczasem tępy koniec o-szczepu uderzył ją silnie *po* nozdrzach. Odskoczyła w tył, miaucząc z wściekłości i bólu, jej towarzysze spoglądali na nią z niespokojnym zdziwieniem. Nastąpiła chwila przerwy. Wszystkie Lwy nieruchome, zdawały się już nie myśleć o ludziach. Lecz oto jeden z samców zamiauczał, zebrał się w olbrzymim skoku, i ruda masa spadła na pokrycie z lian, które się opuściło.

Aun, nachylony, wyczekiwał sposobności uderzenia w paszczę i wtedy trzykrotnie palnął po nozdrzach. Oszalały z bólu i jakby oślepiiony zwierzę potoczył się bezradnie i padłszy na step, oddalił się czołgając.

Syn Tura groził:

— Jeżeli który z Lwów jeszcze raz skoczy na głowy ludzi, Aun wyłupi im ślepie.

Ale Lwy stały zamyślane. Te, które nie nacierały, cofały się razem z nimi. Ukryte zwierzęta wydały się im zagadkowe i naprawdę groźne. Ani sposobem walki, ani głosem nie przypominały one tych zdobyczy, na jakie Lwy zwykły były wyczekiwać w zasadzkach lub napadać przy wodopoju. Nawet zadawane przez nich ciosy były im nieznane i osobliwie dokuczliwe. Lwy bały się podejść do szałasów, jednak uraza trzymała je uporczywie w pogotowiu. Przyczajone w wysokich trawach lub pod sklepieniem bananowców, czekały z niedbałą, ale straszną cierpliwością. Od czasu do czasu ten lub ów szedł napić się do rzeki; w dali poczęły się ukazywać trawożerne.

Zaroilo się od ptactwa. Na tle zalewisk, w zatokach widniały ibisy o czarnych głowach, marabuty śmiesznie podskakujące po wysepkach, kormorany nurkujące nagłym ruchem, stadko cyranek przelatujących chyłkiem, klucz żurawi lecących z wrzaskiem ponad gromadą białogłowych kruków, podczas gdy papugi, ukryte wśród palm, darły się przeraźliwie.

Z zachodu nadciągała powoli jakaś wrzawa. Jeden z Lwów wyciągnął łeb nad słuchując, następnie drząc na całym ciele po-

wstała Lwica. Wszystkie porykiwały, grzmot głosu samców rozdzierał powietrze.

Z kolei Aun jął nasłuchiwać, miał wrażenie, że nadchodzi jakieś stado, lecz uwagą znów powracał do drapieżników. Zaniepokojenie ich rosło, skupiły się koło szałasów i razem natarły. Głos Auna zatrzymał je. Te, które były ranione poprzednio w nozdrza, cofnęły się. Tętent idący z oddali potężniał. Syn Tura wiedział teraz, że istotnie zbliża się ku rzece jakieś ogromne stado. Myślał o Żubrach, które pasły się na nizinach, tam za górami, następnie o Mamutach, z którymi Naoh zawarł przymierze w krainie Pożeraczy Ludzi.

Zabrzmiały przenikliwe głosy stoni.

— To są Mamuty — zapewnił Aun.

Zur pomimo gorączki, która go trawiła, począł nadśluchować:

— Tak, to są Mamuty — powtórzył już mniej spokojnie.

Lwy powstawały. Na jedną chwilę duże ich łby zwróciły się ku zachodowi, po czym powolnym krokiem poszły w dół rzeki. Ich płowe cielska znikły w zaroślach.

Aun nie obawiał się Mamutów. Nie trują one ludzi -ani trawożernych, a nawet wilków lub Lampartów. Należy stać nieruchomo podczas ich pochodu i zachować milczenie. Ale czy to schronienie z lian nie rozdrażni ich przeciw ukrytym ludziom? Którykolwiek z olbrzymów jednym dotknięciem przerwie ogrodzenie, jednym ruchem zmiażdży syna Tura.

— Czy Aun z Żurem mają opuścić szałas? — zapytał Ul-hamr.

— Tak — odpowiedział Człowiek Bez Ramion.

Wówczas Aun odwiązał gałęzie zamykające wejście, wyczołgał się na równinę i pomógł wydobyć się Żurowi. Zatrzeszczały drzewa, zaczęły ukazywać się potworne kształty barwy gliny. Ogromne łby ze zwisającymi trąbami miały wygląd głazów. Stado złożone było z trzech oddziałów, poprzedzanych przez sześć olbrzymich samców. Tratowały ziemię, deptały krzewy, rozdzierały zasłony z bananowców. Skóra ich była

podobna do kory starych cedrów, nogi miały obwód ciała Auna, kadłuby — objętość dziesięciu Żubrów. Ulhamr rzekł:

— Są bez grzyw, kły mają prawie proste, wzrostem przewyższają największe Mamuty.

— To nie Mamuty! To są Ojcowie Mamutów! — powiedział Zur.

Ludzie Bez Ramion, znając swą słabość, wierzyli w doskonalszą moc życia przodków.

Aun silniej niż wobec Lwów zdawał sobie sprawę ze swej małości. Czuł się równie bezbronny, jak ibis przed krokodylem. Tkwiąca w nim duma ustąpiła, nieruchomy, z opuszczonymi ramionami stał przed towarzyszem i czekał.

Przodowniczy oddział znajdował się już blisko. Wodzowie — było ich sześciu — podchodzili do schroniska, brunatne ich oczy nie przestawały śledzić Auna, lecz nie okazywały nieufności; może znane im było pionowe zwierzę...

Zakończenie zbliżało się — śmierć lub życie. Jeżeli przodownicy nie zbczą i postąpią jeszcze o dziesięć kroków, ludzie zostaną zgnieci jak ćmy, a ogrodzenie z lian zniesione. Aun uporczywie wpatrywał się w największego z samców. Mógł mieć piętnaście łokci wysokości, był w stanie trąbą zdusić bawołu równie łatwo, jak pyton dusił kozła.

Zatrzymał się tuż przed ludźmi. Pozostali zrobili to samo. Tłum olbrzymów rozwinął się szerokim, kołyszącym się łukiem. Z maczugą u nóg, zwiesiwszy głowę, Aun oczekiwał swego przeznaczenia.

Wreszcie wódz zadał i zmienił kierunek na prawo od ogrodzenia.

Stado poszło za nim. Prasłonie jeden za drugim usuwały się, żaden z nich, nawet najmłodszy, nie dotknął ludzi ani ich schroniska. Długo drżała ziemia. Trawy zamieniły się w zieloną miazgę, trzciny i lotosy ginęły stratowane, hipopotamy uciekły, dwu-dziesięćłokciowy gawiał został odrzucony niby żaba; na pagórku pięć Lwów zwracało w stronę purpurowego słońca swe ryczące paszcze.

Stado weszło do rzeki. Fale burzyły się, trąby wciągały wodę i wyrzucały ją strumieniami, po czym te ruchome skały jęły się zanurzać, potworne czaszki i potężne grzbiety wydawały się bryłami głazów zatoczonych tu z gór przez lodowce, potoki i nawałnice.

— Naoh zawarł przymierze z Mamutami — wyszeptał Aun. — Czyżby syn Tura nie mógł zawrzeć przymierza z Prasloniami?

Dzień zamierał, Lwy znikły z pagórka, ciężkie czarne byki i lekkie kozły śpieszyły do nocnych kryjówek.

Po przeciwległej stronie rzeki, za wzgórzami, zapadało słońce, budziły się w swych legowiskach mięsożerne. Aun wszedł do szałas i pociągnął za sobą Człowieka Bez Ramion.

Gad olbrzymi

Upłynęły trzy dni. Lwy nie pokazywały się[^]więcej, a Prasło-nie odeszły w dół rzeki. Pod prażącymi promieniami słońca i mgłą nocną pogniecione trawy i [^]drzewa odnawiały swój „zielony miąższ. Wiekuiste życie, silniejsze od głodu wszystkich trawożer-ców, wytryskiwało z gleby i rozlewało się na wodach zatok. Zdobycz była tak obfita, iż wystarczyło Aunowi miotnąć włócznią lub uderzyć oszczepem, by zapewnić sobie codzienne pożywienie. Miał w'sobie coś z Naoha, co zabraniało mu zabijać więcej, niż tego wymagała potrzeba ludzkiego żołądka.

Febra i gorączka towarzysza dłuższy czas niepokoiły Auna. Ale rany goiły się i zielonawe błyski ustępowały z oczu chorego. Czwartego dnia był już radosny. Cień lian i palm rozlewał łagodną świeżość. Siedząc u wejścia do schroniska, Ulhamr i Człowiek Bez Ramion zażywali niezmaconego spokoju i rozkoszy dostatku. Życie zwierząt zaciekało ich. Wiedzieli, iż nie doznają głodu, a jednocześnie przyjemnie było im patrzeć na moc świata. Purpuro-

we czaple siadały wśród wodnych kasztanów, dwa czarne bociany wleciały z przeciwnego brzegu, marabut wyprawiał swe dziwaczne podskoki i widać było zwieszające się łapy klucza żółto-głowych żurawi. Gęsi o grubych tułowach i karminowe ibisy szukały przygód między lotosami.

Pyton wyłoniwszy się z ładu rozkręcał na brzegu swe gładkie cielsko, grube jak ciało człowieka i parę razy dłuższe.

Koczownicy ze wstrętem przyglądali się zagadkowemu potworowi, nieznanemu Ulhamrom. Choć mógł rozwijać szybkość dzika, pełzał ociężale, bez celu, jak odrętwiały, lepiej przysposobiony do życia nocnego niż do dziennego.

Aun z Żurem schronili się w szałasie z lian. Żadne wspomnienie nie dawało im możliwości wymiarkowania siły gada, ani czy zęby jego nie zawierają jadu, jak u węży napotykanym na zachodzie. Mógł być równie silny, jak Tygrys i równie jadowity, jak żmija. Powoli zbliżał się do ogrodzenia. Aun trzymał w pogotowiu maczugę i włócznię; nie myślał wydawać okrzyku wojennego. W dużych drapieżnikach czuł życie, podobne do swego życia, lecz to długie, śliskie cielsko, pozbawione kończyn, ten mały łeb, te oczy nieruchome były mu bardziej obce niż larwy lub glisty ziemne.

Naraz przy schronisku pyton wyprostował się i rozwarł paszczę o płaskich szczękach.

— Czy należy teraz uderzyć? — zapytał syn Tura.

Zur zawahał się. Ludzie Bez Ramion zabijali węże swej krainy, miażdżąc im głowy, lecz czymże były te węże w porównaniu z tym potworem?

— Zur nie wie — odrzekł — nie uderzyłby, zanim bestia nie napadnie na szałas.

Pyton łbem dotknął lian i usiłował wsunąć go przez otwór. Aun kolnął go ostrzem włóczni w szczękę. Gad rzucił się w tył, świszcząc przeciągle skręcił z zawrotną szybkością i uszedł w stronę rzeki. W tejże chwili młoda antylopa przebiegała równinę. Czy dlatego, że ją ujrzał, czy też uległ swej powolnej naturze, gad

znieruchomiał. Antylopa podniosła swe wypukłe czoło, wyziewy ludzi zaniepokoiły ją, więc oddaliła się od schroniska. I wówczas dopiero zobaczyła pytona. Przejęta dreszczem trwogi, z oczami utkwionymi w zimne ślepia, stanęła jak wryta. Trwało to chwilę — już gnała dalej. Lecz długie, miękkie cielsko pomknęło z szyb kością pantery. Antylopa potknęła się o kamień, zachwiała i wywróciła kozła pod natarciem gada. Podniosła się, jeszcze nie omotała i popędziła na oślep; nad krajem zatoczki zagroził jej drogę złowrogi potwór.

Drżąca, spłoszona, spojrzała na otaczającą ją przestrzeń. Tam było życie, życie traw, życie, które tak radośnie w skok przebiegało jej zwinne ciało. Dwa szczęśliwe susy i będzie ocalona. Usiłowała przesadzić przeszkodę. W tym momencie ugodziło ją straszliwe uderzenie, ogon pytona okręcił się dookoła jej zdyszanego tułowia. Trawożerne, czując dokonującą się śmierć, beknęło żałośnie. Chwilę jeszcze wiła się zgrabna istota w długim, zimnym uścisku, skarga przeszła w charczenie, zwiesiwszy głowę z rozwartym pyskiem i wysuniętym ozorem, ofiara wydała ostatnie tchnienie.

Wydarzenie to rozbudziło w Aunie osobliwą nienawiść. Lampart, wilki, Macherodus mogłyby zabić antylopę, nie wzruszając zupełnie Ulhamra, lecz zwycięstwo tego zimnego potwora zdawało się godzić w samych ludzi.

Dwa razy nachylał się chcąc wyjść ze schroniska; Zur go powstrzymał:

-rr- Syn Tura ma pod dostatkiem mięsa. Co pocniemy, jeśli on zostanie z kolei zraniony?

Aun ustąpił; niepojęty dla niego samego był ten gniew, palił go jak ogień rany. A cóż wiedział o sile wielkiego węża? Jedno uderzenie ogona przewracało antylopę i na pewno wywróciłoby człowieka...

Pozostał jednak ponury i szalas z lian stał mu się nieznośny.

— Aun z Żurem nie mogą tu żyć dłużej — powiedział, gdy pyton powlókł swą zdobycz w trzciny. — Ulhamrom potrzebna jest jaskinia.

— Zur wkrótce będzie mógł się podnieść!

CZEŚĆ DRUGA

Jaskinia kota olbrzymiego

Przeszły jeszcze dwa dni. Zur był osłabiony, ale mógł już iść, jego młoda krew szybko goiła rany. Aun na dłużej oddalał się od szałas, badał dół rzeki. Przeszedł około piętnastu łokci nie znalazłszy żadnego schronienia. Koło brzegu, tu i tam, wznosiły się skały, ale szczeliny pomiędzy nimi były nadto wąskie, by dać przytułek ludziom, a nawet rudym psom. Zur przemyślał nad wygrzebaniem dołu, jak to czynili Ludzie Bez Ramion. Lecz była to robota powolna i Ulhamrowie czuli wstręt do podobnych jam. Zadowolili się więc wzmocnieniem ogrodzenia z lian. Zręczniejszy'

w tej robocie od Auna, czynił je niedostępnym dla drapieżników, wszelako Prasłoń, Nosorożec, hipopotam lub stado dużych tra-wożerców mogło je przerwać, poza tym przyciągało ono łązęgów dżungli i zarośli.

Mijały dalsze dni. Zbliżał się koniec wiosny. Straszliwy żar spadał na rzekę, niezdrowe opary unosiły się ku gwiazdom i długo jeszcze po świtanu zasnuwały przestrzeń.

Jednego ranka Zur poczuł w sobie dostateczne siły, by puścić się w drogę. Rzekł do towarzysza, który niecierpliwie przyglądał się roślinności bujnie rozkrzewionej wokół schroniska.

— Syn Ziemi może już iść z Aunem.

Ulhamr powstał uradowany. Ranny, niby liana owinięta wokół jego ramion, krępował dotąd każdy ruch.

Mgły wlokły się jeszcze po wodach, młode hipopotamy my-czały, igrając koło zatoki, ptaki wiodły swe spieszne życie; Aun z Żurem skierowali się w dół rzeki. W miarę, jak wznosiło się słońce, szukali cienia. Należało pilnie baczyć, by nie nadebrać na żmije rozbudzone upałem, a także rozpoznawać wyziewy, by nie natknąć się na śpiącego w mroku drapieżnika. Koło południa spoczęli pod drzewami terpentynowymi. Mieli zapas suszonego mięsa i grzybów, które upiekli na ogniu z gałązek. Sam zapach gorącego mięsa radował Auna. Zur powoli wchłaniał różnorodne wonie. Ocieężałość oświadczyła wszystkim stworzeniom. Słychać było jedynie przeciągłe odgłosy wód i brzęk owadów, walki były zawieszane. Obaj ludzie oddawali się radości życia w poczuciu swej młodości.

Zur, jeszcze osłabiony, drzemał, podczas gdy syn Tura czuwał, lecz zmysły jego były wrażliwe na wszystkie zmiany w otoczeniu.

Gdy cienie coraz szerzej kłaść się poczęły na równinie, tworząc jakby wyspy, puścili się w drogę zatrzymując się aż o zmroku. Następne dni przeszły podobnie. Byli zmuszeni przebyć dżunglę, obejść mokradła, wpław przepłynąć przez rzekę, krążyć wśród zarośli. Osłabienie Zura minęło, szedł cierpliwie za swym barczystym towarzyszem. Przyjaźń ich była głęboka. Nigdy nie

bywało pomiędzy nimi powodów do kłótni lub urazy; dopełniali się wzajemnie. Siła Auna dawała Żurowi poczucie bezpieczeństwa i budziła podziw, Aun lubił przebiegłość Zura i tajemnice, które odziedziczył po przodkach Ludzi Bez Ramion.

Rankiem dziewiątego dnia ukazały się skały. Zdawały się dochodzić do samego brzegu rzeki, tworzyły pasmo ciągnące się na wiele tysięcy kroków. Przecinały je dwa strome pęknięcia. Najwyższe ze skał miały ponad trzysta łokci wysokości i ciągnęły się aż po kraj dżungli; w szczelinach wykuwały swe gniazda orły i sępy.

Na ten widok syn Tura wydał radosny okrzyk, albowiem podobnie jak przodkowie miłował skały, zwłaszcza gdy te znajdowały się w pobliżu wody. Spokojniejszy od niego Zur przyglądał się okolicy. Dostrzegli więcej granitowych wyniosłości, pod którymi, z braku jaskiń, mogła schronić się horda. Lecz miejsce, odpowiednie dla dużej groźnej gromady, bywa niedogodną kryjówką dla dwóch wojowników. Zatrzymywali się co chwile i bacznie wpatrywali w bazaltowe ściany, świadomi, że nieraz za szczeliną ukrywa się obszerna jaskinia.

Nareszcie bystre oko dostrzegło na wysokości człowieka pęknięcie, u podstawy szerokie na dwie dłonie i stopniowo rozszerzające się ku górze. By je osiągnąć należało podciągnąć się na wystającą kawędź, po czym wdrapać się na małą płaszczyznę; trzech ludzi mogło na niej stanąć.

Wojownicy z łatwością dosięgli krawędzi, ale aby dostać się na płaszczyznę, Aun musiał wejść na plecy Zura. Następnie Uli hamr bokiem wsunął się w szczelinę. Prześlizgiwał się w ten sposób na przestrzeni pięciu łokci, dalej przejście stawało się szersze.; Koczownik znalazł się w niskiej, obszernej pieczarze. Obchodził ją z wolna. Nagłe załamanie gruntu zatrzymało go, stroma pochyłość staczała się w ciemności. Przed rozpoczęciem dalszych poszukiwań Aun wołał mieć przy sobie Zura. Wyszedł i rzekł:

— Pieczara jest duża, ma może dwa wyjścia. Aun nie widział jeszcze jej krańca.

Nachyliwszy się, spuścił oszczep, za którego koniec uchwycił

Zur. Opierając się stopami o chropowatości ściany, wspiął się po niej, podczas gdy Aun cofał się ku szczelinie.

Gdy Zur stanął na płaszczyźnie, Ulhamr zaprowadził go na miejsce, gdzie się zaczynała spadzysta pochyłość; spuścili się po niej w dół. Gęstniejący mrok utrudniał ich wysiłek. Zaniepokojeni wyziewami drapieżników już mieli zawrócić, gdy ujrzeli w dole małe światelko.

— Jest drugie wyjście — wyszeptał Zur.

Aun niecierpliwie kiwnął głową, szli dalej. Pochyłość stawała się łagodniejsza. Światło, zrazu słabe, rosło w miarę posuwania się naprzód. Sączyło się ono przez krętą i długą szparę, nadto wąską, by dać przejście obu ludziom. Kilka nietoperzy krążyło cicho piszcząc. ^

— Aun i Zur zawładnęli pieczarą! — zawołał syn Tura.

Zur wsunął głowę w szparę. W tej chwili rozległ się ryk, z obszernego legowiska porwał się na nogi jakiś olbrzymi zwierz.

Nie można było powiedzieć, czy bardziej przypominał Lwa, czy też Tygrysa. Czarna grzywa porastała jego łeb, piersi miał rozłożyste jak czarny byk, długi, węzowaty w ruchach, acz krępy, przewyższał wzrostem i grubością mięśni wszystkich mięsożerców. Jego ogromne ślepie rzucały, zależnie od natężenia światła, ognie — to żółte, to zielone.

— Jest to Lew Skalny! — wyszeptał Zur.

Potwór, wspięty przed szczeliną, puszystym ogonem chlastał się po bokach.

Z kolei przyjrzał mu się Aun i rzekł:

— Jest to Tygrys z krainy Kzamów.

Chwycił oszczep, gotując się do rzutu przez wąski otwór. Już miał wydać okrzyk wojenny, lecz Zur zatrzymał jego wzniesioną prawicę.

— Aun nie może tak silnie miotać przez szczelinę, by zabić Lwa Skalnego, a nawet weń trafić!

Wskazywał na występy, które zmieniłyby kierunek lub zatrzymałyby lot pocisku. Ulhamr zrozumiał niebezpieczeństwo niepotrzebnego drażnienia zwierzęcia. Mógłby wyjść z legowiska

i udać się na poszukiwanie napastników. Jednak potwór uspokajał się i było prawdopodobne, że nie wybierze się na łowy w nadchodzącą noc; obfite resztki ze stepowego osła ociekały krwią na zidł mi pokrytej szkieletami.

— Być może Aun z Żurem będą mogli pozbyć się go podstępem — zamruczał Wah.

Przez chwilę było jeszcze słycać sapanie zwierza, po czym rozciągnął się niedbale w Swej kostnicy. Że nie znał strachu, gniew jego mijał szybko. Żadne stworzenie nie było dość śmiałe, by go zaczepić, jeden chyba ślepawy Nosorożec. Prasłoń nie wal-1 czyłby z nim, choć trwogi przed nim nie znał, wodzowie czarnych byków, bawołów i wielkich antylop, broniących swych stad przed Tygrysem lub Lwem, pierzchali na jego widok w popłochu. Potężną siłą przewyższał wszystkich drapieżników.

Istoty, które zwietrzył za bazaltową ścianą, przypominały! wonią różne gatunki małych, nędznych stworzeii, które miażdżył jednym draśnięciem pazura.

Aun z Żurem zawrócili do górnej części jaskini. Pomimo iż' niebezpieczeństwo nie było natychmiastowe, a ich zdolność przewidywania wydarzeń nie sięgała daleko, sąsiedztwo drapieżnika niepokoiło ich. Wprawdzie legowisko jego było po drugiej stronie! skały i zapewne nie będzie on polował podczas dnia, ale jakiś wyl padek mógł go postawić na ich drodze. Tak więc to bezpieczne schronisko, dostępne jedynie dla ludzi, nietoperzy i ptaków, staj wało się niepewne.

Postanowili jednak opuścić je dopiero po znalezieniu innego.

Syn Tura mówił:

— Aun z Żurem nie wyjdą, póki Tygrys Kzamów nie zaśnie w swym legowisku.

— Lew Skalny jest za ciężki, aby mógł łązić po drzewach —1 dorzucił Zur. — Dokoła jest dosyć listowia, w którym będzieirra mogli się ukryć.

Zaskoczenia podczas łowów nie obawiali się. Węch Auna mógł się równać z węchem szakali, a przebiegłość Zura nigdy nia drzemała.

Przez kilka dni nic nie zakłóciło im spokoju. Zur, kierując się pysiem swej rasy, robił zapasy korzeni i grzybów, Aun chętniej znosił mięso i drwa na ogień. Zapalano go na płaskim skalnym występie; wieczorami rzucał czerwone światło, niepokojące włóczęgów równiny, wampiry, sowy i orły.

Pożywienia mieli pod dostatkiem, zajadali radośnie, bezpieczni od czatujących na nich w dole, pełni wzdargy dla drapieżnego ptactwa, unoszącego się nad ich głowami

Zur parę razy dziennie podchodził do legowiska drapieżnika. Olbrzymi Kot nie okazywał gniewu ani zniecierpliwienia. Woń młodego wojownika stawała mu się swojska, nie zakłócała nawet jego snu. Zdarzało się, że w ciągu dnia wspinał się ku szczelinie i wtedy jego płomienne ślepią niewyraźnie rozpoznawały postać i twarz człowieka.

Po pewnym czasie syn Ziemi przemówił doń:

— »Aun i Zur nie są wrogami Skalnego Lwa.

Zwierz zdumiony mową składaną zamruczał i porwał pazurami bazalt.

— Skalny Lew jest silniejszy od Zura — mówił dalej wojownik. — Lecz Zur jest przebiegły. Gdyby Skalny Lew, syn Ziemi i syn Tura zawarli przymierze, nie wymknęłaby się im żadna zdobycz.

Przemawiał tak pod wpływem dawnych wspomnień. Ludzie Bez Ramion żyli obok drapieżników, które brały udział w ich łowach, a wśród Uihamrów Naoh, syn Lamparta, ongiś zawarł przymierze z Mamutami. Zur, potomek rasy zanikającej od szeregu pokoleń, tonął nieraz w marzeniach. Miał wiele więcej wspomnień niż jego towarzysze — i wspomnienia te w okresach odpoczynku i bezpieczeństwa, podniecane młodym życiem, snuły się dziwnie.

Po raz pierwszy znajdował się w stałym sąsiedztwie z niebezpiecznym drapieżnikiem. Na stepie, wśród borów, zwierz był niedostępny lub zagrażał istnieniu. Poza tym, gdy Zur przemyśliwał jakby to naśladować Naoha czy też któregoś ze swych przodków, Aun oraz inni towarzysze przerywali jego dumania. Nawet Naoh

nie próbował więcej żyć z Mamutami. Zostawszy wodzem hordy zapomniał o swej wędrówce z Namem i Gawem, troszcząc się by prowadzić Ulhamrów na ziemię sprzyjające ich bytowaniu. Horda była zanadto liczna i chciwa łowów, by zwierzęta mogły w jej pobliżu czuć się bezpieczne, trzymały się w oddaleniu i jedynie dzięki chytrności udawało się podejść je lub złapać w potrzask.

Tu, nachylając się przez szczelinę i wyciągając rękę, mógł Zuri dotknąć pyska Lwa Skalnego. Zapewne wolałby mieć do czynienia z mniej strasznym zwierzem, jednak wyobraźnia nie przestała wała pracować. Wreszcie przyszło przyzwyczajenie, które łączy stworzenia. Wszystko, co powtarzając się nie wyrządza krzywdy przestaje wydawać się groźne. Ta szeroka pierś, ten łeb podobny do głazu z granitu, ruchomy płomień ślepiów nie robiły więcej wrażenia na Żurze. Młodymi, czujnymi zmysłami poznawał, że i on dla mięsożercy przestał być obcy. Stawał się coraz mniej zdorj byczą, przestanie nią być zupełnie w miarę, jak jego woń bardziej się zmiesza z wyziewami legowiska.

Zbiżało się lato. Nastąpiły straszliwe upały. Spalały step na twardą skorupę, lecz wzmagały szaloną bujność lasów, dżungli i wilgotnych sawann, potęgując bezmierne życie zieloności zagarniającej brzegi wód w swe władanie. Wszelkie stworzenia mnożyły się niesłychanie. Robaki, żuki, skorpiony, owady i skorupiaki: roily się wśród liści, łądyg i kwiatów; lepkie ciała robaków, gaj dów i żab gromadziły się w każdej wklęsłości. Stada trawożerJ nych nadciągały z wysuszonych równin, mimo obecności wieli! kich drapieżników; Tygrysy i Lwy polowały w pobliżu pasma skalistego.

Aun i Zur wychodzili jedynie wczesnym rankiem i nie omiesz-j kali nigdy powracać przed wieczornym zmierzchem. Wyśledzili,! że czarny Lew z dwiema Lwicami zajął północną dżunglę widoćzl ną z ich skały, że para Tygrysów wtargnęła na obszar w widłach, rzeki. Gdy zapadła noc, słyszeli niekiedy przybliżający się ryk Lwa lub przejmujący krzyk Tygrysa. Kot Olbrzymi, zależnie od chwili, ciskał grzmot swego głosu.

Wtedy Zur i Aun przemyśliwali nad opuszczeniem schronie*

nia. Z ranną zorzą zapominali o tych ogłuszających rykach. Zdobywczy coraz obficie wpadała w zastawione przez nich zasadzki. Duże drapieżniki pijane krwią i mięsem zasypiały ze świtem.

Zur mówił: :

— Tam dalej są inne Tygrysy, inne Lwy i inne czerwone zwierzę. Czy Aun z Żurem znajdą równie dobrą jaskinię?

Syn Tura milczał. Dusza jego była bardziej koczownicza od duszy Zura, mimo woli pociągała go chęć oglądania nowych krain. Popęd ten dawał znać o sobie tylko chwilami, jak głód. W niektóre poranki schodził samotnie do ujścia dopływu, przyglądał się skałom, gdzie drzemały Lwy. Chwytała go nagle żądza walki lub potrzeba poznania sawann, obszarów łowieckich, zwierząt ukrytych po tamtej stronie kamiennej ściany. Z czasem znów szedł w górę rzeki, oddalając się o dwa do trzech tysięcy łokci od legowiska Lwów. Bywało, że przeprowiał się na przeciwległy brzeg, płynąc lub przeskakując z kamienia na kamień. Wówczas ogarniał go zapalony wędrowny, wpatrywał się w błękitną smugę puszczy, tam, w głębi widnokregu.

Podczas tych nieobecności Zur suszył na słońcu kawały mięsa lub powiększał zapasy korzeni. Chciał się obficie zaopatrzyć w pożywienie, by mieli zapewnioną swobodę ruchów i wypoczynku. W międzyczasie schodził do rozszczerzonej ściany i, o ile Kot jaskiniowy nie spał, przyzwyczajał go do swego głosu.

Jednego popołudnia, gdy cienie skał rozpostarły się aż poza rzeką, zaszło go, że Aun jeszcze nie powrócił. Ogarniała go nuda. Za pomocą skórzanych lin, które umożliwiłyby dotępnawet tam, gdzie jedynie ptactwo i wampiry mogły przebywać, spuścił się na dół ku rzece. Stado bawołów zagroziło mu drogę. Zur wiedział, że są one zmiennego usposobienia i że przy najmniejszym wyczuciu niebezpieczeństwa samce stają się groźne. Obszedł je kierując się kii zachodowi i już miał zawrócić na południe, gdy wtem z wysokich traw wynurzył się Nosorożec. Syn Ziemi wsunął się pod sklepienia bananowców. Ciężki potwór ruszył za nim. Wówczas wdrapał się na pagórek, okrążył długie bagnisko, pobłądził w zaroślach i znalazł się naprzeciw

pasma skał, lecz od strony, gdzie obrał sobie legowisko Kot Olbrzymi.

Nosorożec znikł. Zur rozglądał się po miejscu, na które dotychczas żaden z nich nie ośmielił się zapuścić. Pasma skał ciągnęło się przed nim, bardziej dzikie i postrzępione niż od strony rzeki. Dwa sępy niewidocznymi prawie ruchami skrzydeł zataczały kręgi wzlatując ku pienistym obłokom. Choć miało się ku schyłkowi dnia, jaskrawe światło zalewało ponure bazalty i niesamowicie bujną roślinność. Wah leżąc w cieniu usiłował wypatrzeć legowisko Kota Olbrzymiego. Powinno ono być tam, w czarnej rozpadlinie, gdzie nawet mrok zdawał się z granitu. Z lewej strony za gąszczem trzciny kryło się bagnisko, z prawej — porwana wyrwiskami ziemia z wysepkami pagórków, a w kierunku skał — zwały bazaltowe, tworzące niskie grzbieńce, obłamy ścian i stosy kamieni. Zwierz prawdopodobnie drzemał w oczekiwaniu chwili, gdy zaczną rozbrzmiewać głosy mięsożerców.

Nagle przerażenie zjeżyło włosy Zura. Tam, na najwyższym pagórku ukazał się krępy Lew. Nie był to Lew złoty jak te, które napadły na szalasa z lian, lecz czarny, rostry, nieznannej odmiany. Pod drzewem, gdzie spoczywał Zur, była tylko niska trawa. Lew zobaczył człowieka...

Zur leżał jak rażony piorunem. Nie posiadał siły i zwinności Auna, jego oszczep nie utkwiłby dość głęboko w twardej piersi, a maczuga nie potrafiłaby zmiażdżyć członków lub pogruchotać kręgow. Trzeba było uciekać. Niewielkie drzewo nie mogło służyć za schronienie. Tam dalej spostrzegł poszczerbioną ścianę, która doprowadziłaby go wąskim zakrętem do skalistego pasma niedostępnego dla mięsożernego.

Zebrał się w sobie, skoczył na najbliższy zwał, podczas gdy Lew rycząc gnał za nim z pagórka. Zur zniknął za głazami, niewidoczny dla drapieżnika, pośpieszał chwytając rękoma szczyby i wyłomy. Przebiegł tak więcej niż tysiąc łokci i wtedy dopiero obejrzał się. Nikt go nie gonił, widocznie Lew zawahał się. Być może przez lenistwo właściwe jego gatunkowi zaniechał pogoni. Zur pokrzepiony nadzieją skierował się ku ścianie. Wtem potężny

ryk wstrząsnął nim do głębi, spojrzawszy z ukosa poznał czarne, ponure zwierzę. Zbliżało się doń dużymi susami, bardziej zaciekle j podniecone niż żółte Lwy. Zur coraz wyraźniej słyszał jego oddech. Było za późno, by dotrzeć do skalnego pasma. Jeszcze parę susów i pionowe zwierzę poczuje trzeszczenie swych kości...

Lecz oto trzy wystające zręby zwróciły uwagę uciekającego. Sterczały niby odszczepy drzewa i dawały możliwość dosięgnąć przy pomocy czwartego zrębu wierzchołka zwału.

Dostać się tam mogło jedynie zwierzę posiadające ręce lub też lekki drapieżnik. Zur podskoczył i uchwycił się prawego zrębu. Pomagając sobie nogami i rękami dosięgnął drugiego, następnie trzeciego, czwartego. W końcu znalazł się na szczycie. Lew nadbiegał. Dał olbrzymiego susa i zsunął się. Prawie pionowa skała nie dawała żadnego oparcia mogącego podtrzymać jego ciężkie cielsko. Trzykrotnie ponawiał swój wysiłek, wreszcie rycząc gniewnie zaprzestał. Ustawił swój ogromny łeb na Zura, żółte ślepia i oczy brązowe skrzyżowały się, wyrażając nienawiść i trwogę.

Syn Ziemi zadawał sobie pytanie, czy należało mu zostać na tym szczycie, czy też zejść na drugą stronę zwału.

Aby dogonić człowieka, Lew miał dwie drogi do wyboru: jedną — przez równinę, drugą — wijącą się wkoło pasma skalnego.

Zur wahał się tak długo, póki drapieżnik stał nieruchomo. Z chwilą, gdy ten zaczął krążyć. Zur zsunął się ze skały i puścił się na północ. Nie biegł na oślep, przyglądał się pasmu skał w nadziei znalezienia jakiejś kryjówki. W oszołomionej głowie miał widok jaskini i postać Kota Olbrzymiego... Tymczasem czarny Lew znów był niewidoczny. Może z cierpliwością mięsożernych przyczaił się, a może nie spotrzegł przejść? Zur nie zastanawiał się nad tym. Nie znosząca zwłoki konieczność znalezienia schroniska zaważnęła jego wrażeniami, bezwiednie zbliżał się do skał.

Znajdował się od nich jakieś pięćdziesiąt kroków, gdy odczuł, że pogoń rozpoczęła się na nowo. Czarny Lew zawróciwszy znów dostrzegł człowieka, susy jego znaczyły się w wysokiej trawie głębokimi dołami, tymczasem wśród skał nic było widać żad-

nej dogodnej ścieżki. Zur biegł, kierowała nim jedynie podświadomość.

Ściana bazaltowa była tuż. Gromkie sapanie rosło wśród szelestu traw. Zur przystanął. Serce w zdyszanej piersi waliło dziko. Przed rozszerzonymi źrenicami wirowały obrazy rzeczywistości. Wokoło było życie, które miłował swym młodym ciałem, a które jeszcze tak niedawno zdawało się niezniszczalne; i śmierć tu była, możliwa w każdej chwili, gdy zbliżał się drapieżnik. Syn Ziemi czuł się słaby jak ibis w szponach orła. Był bez broni, miał jedynie swe kończyny, pozbawione pazurów. Kły Lwa rozłupią go równie łatwo, jak owoc.

Przeszła chwila wlokąca się jak zmierzch. Zur musi wybierać — tam czarny Lew, tu legowisko Kota Olbrzymiego. Czas naglił. Ten, co chce go pożreć, jest już tylko o sześć susów. Wówczas porwał się jednym szybkim skokiem: jeżeli zginąć, to w jaskini, obok ich schronienia.

Wpadł w bazaltową otchłań jak drobny ptak w paszczę węzową. Czarny Lew za nim.

W ciemności najpierw dwa poryki starty się ze sobą. Kątem oka Zur dostrzegł w czerwonym świetle rysującą się ciemną bryłę czarnego Lwa, a w głębi jaskini prostującą swe członki olbrzymią postać. Po czym nastąpiły dwa susy, starcie pazurów, trzask kłów... i Kot Olbrzymi był już zwycięzcą. Czarny Lew wyrócił kozła, potoczył się i świadomy, iż tej siły nic pokona, czołgając się uciekł z rozprutym bokiem. Zwycięzca, nieruchomy, z wysoko wzniesionym granitowym łbem, patrzył na ucieczkę natręta rzucając ku zachodowi swój grzmiący ryk.

Zur nie widział prawie walki. Wiedział jedynie, że zwyciężył ten, w którego legowisku on się znajduje. Nisko pochylony, oparty na dłoniach, czekał milczący, nieruchomy. Tak dalece poniechał myśli o walce, że nawet jego strach zamarł. Poddął się temu, co ma się stać, tak jak się poddawał cierpieniu, gdy Mache-rodus rozszarpał mu pierś. Olbrzym chwilę jeszcze pomrukiwał, po czym ocieężałym krokiem, liżąc zadraśnięcie zadane pazurem przeciwnika, wrócił do jaskini. Człowiek zgięty ku ziemi\ znajdo-

wał się na jego drodze. Kot Olbrzymi obwąchał go, położył nań łapę, grubą jak noga czarnego byka. Może poszarpać to dygoczące ciało, człowiek nie zrobi żadnego ruchu. Lecz zwierz wcale nie wykazywał agresji, oddech jego był spokojny. Zur odgadł, że po-1 znał woń, która codziennie wydzielala się z bazaltowej szczeliny.

W Zura wstąpiła nadzieja, w młodym ciele dokonywał się przewrót, który budzi życie i jego wiekiuste pragnienia. Spojrzał z dołu na potworną paszczę i przypominając sobie, iż Kot nieraz wsłuchiwał się w mowę składaną, wyszeptał:

— Zur jest jak antylopa pod pazurem Skalnego Lwa.

Zwierz sapnął silniej i ostrożnie cofnął łapę. Przyzwyczajenie, które istniało już między nimi wtedy, gdy rozdzielała ich skała, przybrało nową formę. Wah przeczuwał, że każda chwila pokoju polepsza jego położenie. Wszystko co trwa, trwa przez powtarzanie się. Jeżeli przed chwilą-mięsożerca nie pożarł człowieka, prawdopodobnie nie pożre go już nigdy. Zur nie będzie nadal zdobyczą, zawrze przymierze.

Czas mijał. Purpurowy stos słońca zapadnie wkrótce za, wzgórzami, a Kot Olbrzymi nie uderza. Słucha tego cieniowanego głosu, który się doń zwraca; przysiadłszy przed synem Ziemi, raz po raz obwąchuje go, by lepiej poznać, to znów, wciągnąwszy pazury, dotyka łapą ruchem tak miękkim, jak to czynił niegdyś w macierzystym barłogu igrając z równieśnikami. Błyski lęku przebiegały jeszcze pierś Zura, lecz każdy następny był słabszy od poprzedniego.

" Na wschodzie w obłoki chyłkiem wślizgiwał się cień, wejście do pieczary wypełniało się jakby szarofioletowym popiołem, zamigotały dwie gwiazdy i słaby podmuch musnął pasmo skał.

Wówczas Kot Olbrzymi powstał. W ślepiach gorzało straszliwe pragnienie łowów, żądza zdobyczy rozdymała mu nozdrza. Zur wiedział, iż znowu nadeszła chwila życia lub śmierci. Jeżeli zwierz weźmie go za jedno z tych drżących \trawozernych, które kryją się w dżungli, syn Ziemi nie ujrzy więcej Auna! Wielkie, dyszące cielsko kilkakrotnie powracało w stronę człowieka, zielenawe płomyki, otulone mrokiem, zatrzymywały się na drobnej

pionowej postaci. Miauknąwszy raz jeszcze, mięsożerca wypadł z pieczary i znikł zlewając się z nocą. Wojownik rzekł sam do siebie:

— Skalny Lew zawarł przymierze z Żurem!

Skierował się ku szczelinie i zawołał głośno:

— Aunie!

Niebawem usłyszał kroki towarzysza. Zapalone łuczywo rzucało swe rude blaski. Syn Tura dojrzał Zura w jaskini i wydał okrzyk przerażenia:

— Tygrys Kzamów rozszarpie Zura!

— Nie — odrzekł Wah.

Opowiedział wszystko o pogoni Lwa i ucieczce do jaskini. Aun słuchał zdumiony. Przygoda była straszna i słodka zarazem. Bardziej niezwykła od przygody Naoha z wodzem Mamutów. Dusza wędrowną rosła w nieustającym pragnieniu, by iść naprzód ku nowym, nieznanym wydarzeniom.

Rzekł z dumą:

— Aun i Zur równi są wodzowi Ulhamrów!

Niepokój ogarnął go znowu. Oznajmił:

— Zur nie może dłużej pozostawać w jaskini, wyjdę na jego spotkanie.

Obaj ludzie połączyli się na południowej stronie skalistego pasma, po czym rozpaliwszy ogień u wejścia do schroniska, rozkoszowali się pełnym bezpieczeństwem, a dookoła na każdym zakręcie zarośli czy dżungli mnożyły się zasadzki — i trwożne tra-wożerne przemykały w ciemnościach, kryły się w gąszczach lub ginęły pod pazurami drapieżników.

Tygrys i płomień

Odtąd Aun z Żurem często schodzili do szczeliny. Gdy Kot plbrzymi nie spał, pokazywali mu swe twarze i kształty, przemawiali doń po kolei. Zrazu niepokoiła go obecność Auna, przyśpieszała jego głęboki oddech, czasami parsknięciem okazywał nieufność lub gniew. Wreszcie przywykł łączyć obie wonie. Jeżeli podchodził do szczeliny, czynił to pociągnięty jakimś nieznanym uczuciem, a także by uniknąć nudy, samotności, która nawet dra pieźnikom nie jest obca.

V

Pewnego wieczora odezwał się Aun:

— Czas odnowić przymierze. Aun z Żurem zejda do jaskini, gdy Tygrys Kzamów powróci z pomyślnych łowów.

Zur zgodził się, choć mniej był skory w narażaniu swego życia niż towarzysz. Przymierze było jego dziełem, myślał o nim z zadowoleniem i mówił sobie, iż wolni będą od niebezpieczeństw, skoro upewnią się, że Skalny Lew nie jest dla nich groźny.

Kiedys z rana zobaczyli w jaskini ciało wielkiej antylopy. Udziec jej dostatecznie nasycił mięsożercę, spał ociężale, znużony pogonią i objedzony mięsem.

— Pójdziemy doń, skoro się przebudzi — rzekł Aun — przez dwie noce nie potrzebuje świeżej zdobyczy.

Przemysłiwali nad tym włócząc się w pobliżu rzeki lub spoczywając w cieniu bazaltów. Straszliwy żar spiekał piaski, podsycając nieokielznane życie na nizinach. Z rzadka ukazywały się na równinie jakieś chyłkiem przemykające kształty i wnet nikły. Kryły się orły i sępy, niewidoczne pozostawały żurawie i czaple, od czasu do czasu wychylał się z wody hipopotam i spiesznie pogrążał z powrotem lub bezwładnie niesione falą przepływały ga-wiale...

Koło południa Aun z Żurem spoczęli. Później, siedząc na krawędzi, oddali się marzeniom. Skała, zrazu rozpalona, stawała się w miarę rosnących cieni coraz chłodniejsza, powiał lekki podmuch głaszcząc nagie piersi ludzi. Był w nich nawał nie dających się wyrazić rzeczy — widzeń, uczuć. Więc rozkosz młodości i dostatku, nagły smutek, tęsknota za oddaloną hordą, przygody łowieckie, wędrówki Ulhamrów na południow-schód, pasmo gór, podziemna rzeka i podniecające przygody na nieznannej ziemi.

Pod przymkniętymi powiekami Aun znów widział rude psy, wilki i hieny w jaskrawym świetle ogniska, czerwonego zwierza pożerającego Nosorożca i siebie zabijającego Macherodusa. Żywiej zabiło młode serce, zaszumiała radość zwycięstwa, niepohamowana żądza nowych dokonań natężyła wszystkie mięśnie Ul-hamra. Widział Lwy krążące wokół szałasów z lian, Prasłonie i stratowaną przez nich ziemię, pytona pożerającego antylopę.

Podobne, a jednak odmienne, obrazy nawiedzały Zura. Z upodobaniem rozmyślał o Kocie Olbrzymim. Aun też o nim myślał, niecierpliwie wyczekując zmroku.

Czerwieniło się słońce, gdy zeszli w głąb jaskini. Zwierz ju| nie spał, zabrał się do antylopy, której obgryzał łopatkę.

— Idźmy doń! — rzekł Aun.

Syn Ziemi uległ życzeniu Ulhamra. Odwaga jego zagrzewała się po wolniej, umiał jednak raz powziętego postanowienia bronić równie mężnie jak Aun. Powróciwszy na krawędź skalną, spuścili się na dół. Ptactwo różnorodne darło się przeraźliwie, samotny gibbon włókł się po ziemi i wnet skoczył między czuby palm.

O zachodzie Aun z Żurem, okrążywszy skały, znaleźli się vJ poblizu pieczary.

Wówczas rzekł Aun:

— Pójdę naprzód.

Chciał jak zwykle piersią swą osłonić Zura, pierwszy spotkać się z niebezpieczeństwem. Lecz tym razem Zur oparł się, mówiąc:

— Lew Skalny zna mnie lepiej, dobrze będzie, jeśli pomiędzy nim a Aunem stanę ja.

W ich wzajemnym stosunku nie było pychy. Każdy lubił pomysłowość drugiego, czerpiąc z niej pewność obrony.

— Idź — wyrzekł.

Lewą ręką ujął maczugę, prawą zaś swój najtwardszy oszczep. W tej chwili lepiej od Zura pojmował grożące im niebezpieczeństwo. Spojrzeli na siebie. Z bazaltowego szczytu orzeł rzucał swój krzyk "wojenny, sześć ogromnych, czarnych byków uciekało za wzgórze. Syn Ziemi szedł powoli, jego postać zarysowała się na chwilę na tle mrocznego otworu. Znikł. I znowu znalazł się oko w oko z przepotężnym zwierzem. Ten przerwał swą ucztę, zielonawe ognie spoczęły na Człowieku Bez Ramion. Zur prze-i mawiał półgłosem:

— Ludzie przychodzą odnowić przymierze. Nadejdzie pora deszczów, zdobycz stanie się rzadsza i trudniejsza do pojmania. Wówczas Lew Skalny będzie miał przy sobie przebiegłość Auna i Zura.

Kot Olbrzymi przymykał i rozwierał powieki, po czym pod-; szedł do człowieka. Łeb jego otarł się o ramię Zura, wojownik

przesunął ręką po szorstkiej grzywie. W najdzikszych zwierzętach, skoro legnie na nich ręką, budzi się ufność. W sercu syna Ziemi nie było już lęku. Powtórzył parokrotnie ten sam ruch, pogładził nawet długi grzbiet. Drapieżnik nie ruszył się z miejsca, mrucał łagodnie.

Jednak Zur wahał się jeszcze z przywołaniem towarzysza, gdy wtem u wejścia do pieczary ukazał się cień. Był to Aun, trzymający ciągle maczugę i oszczep. Potwór przestał mruścić, wysunął pysk, błyskając kłami. Skóra na jego czaszce zmarszczyła się, mięśnie naprężyły, zielonawe światła oczu gorzały...

— Aun jest także sprzymierzeńcem Lwa Skalnego — wymamrotał Człowiek Bez Ramion — Aun z Żurem żyją razem w górnej jaskini.

Drapieżnik skoczył. Ulhamr ścisnął maczugę, lecz Zur zasłonił sobą towarzysza i potężna płowa pierś przestała falować. Przymierze było dokonane.

Powracali w następnych dniach, Kot przywykł do ich widoku i pragnął ich obecności. Ciągła samotność była mu wstrętą, był młody. Od urodzenia aż do ostatniej jesieni bytował z podobnymi sobie. Tam w dole rzeki zajmował wraz ze swą samicą legowisko nad brzegiem jeziora. Jego małe zaczynały już polować. Pewnej nocy jezioro wyrwało się ze swych brzegów. Wody hucząc rozlały się po zaroślach, nawałnica zniosła gaj palmowy, rwący potok zmiażdżył matkę z potomstwem. Samiec unoszony wraz z dużymi drzewami, rzucony został na suszę. Dawne legowisko było pod wodą. Początkowo zwierz szukał go z cierpliwą zaciekłością i uporem. Podczas deszczów jesiennych rykiem przywoływał swój gatunek. Świeże jeszcze widzenia snuły się po jego niemrawym mózgu. Dni mijały, Kot Olbrzymi odnalazł pasmo skaliste i tu schronił się przed spadającymi z nieba falami. Od ponurego smutku zapadły jego boki. Po przebudzeniu obwąchiwał pieczarę, a gdy powracał ze zdobyczą rozglądał się wokoło, jakby szukając tych, co ongiś razem z nim ją rozdierali. Z biegiem czasu zacierały się wspomnienia, przyzwyczaił się do braku swojskich wyciewów koło siebie, lecz ciążyła mu nuda samotności.

Jednego wieczora Aun z Żurem towarzyszyli mu podczas łowów. Weszli wszyscy troje w dżunglę, którą księżyc w połowie swej drogi oblewał światłem jaspisu. Straszliwa woń Kota budziła trawożerne zaszyte w swych barłogach. Wszystko cofało się w niedostępną głębię lub właziło na drzewa. Trzymające się stadami porozumiewały się w tajemniczy sposób. Otoczony żyjącymi istotami, znajdował się jakby na pustyni. Tej olbrzymiej masie przeciwstawiły się czujne zmysły, przebiegłość, zwinność i lekkość słabych. Mógł jednym ruchem zabić osła stepowego, antylopę, dzika czy jelenia, jednym susem obalić konia, a nawet byka czarnego, lecz one wszystkie umiały zaszywać się w niezglębione ostępy puszczy lub wichrem przebiegać przestrzeń. Sprzymierzeńcem Kota była niesłychana obfitość zwierzyny krążącej we wszystkich kierunkach równiny, puszczy i dżungli.

Mimo to drapieżnik często o świcie powracał na skaliste pasmo znudzony, zmęczony i głodny.

Owej nocy na próżno usiłował schwytać kozła lub antylopę. Jego ostra i silna woń, wzmożona słabszymi wyziewami ludzi, rozszerzyła obszar, którego krańców nie przekraczała zwierzyna.

W końcu zaczął się u zbiegu dżungli i moczaru. Od olbrzymich kwiatów szły przedziwne zapachy, ziemię czuć było piżmem i próchnicą. Ludzie cofnęli się i ukryli, jeden wśród trzciny, drugi w gaju bambusowym. Wszystko ucichło. Ogromne żaby skrzeczały niczym gawiale, z oddali niósł się szybki pęd jakiegoś stada, puchacz przeleciał na swych bezszelestnych skrzydłach, po czym ukazał się dzik ryjący kłami ziemię.

Był to gruby odyniec otęgim karku i cienkich nogach; posuwał się gniewnie parskając i mruczając. Znał swą siłę, niemrawa odwaga ożywiła jego ciało najeżone lśniąca szczecina. Zmuszał do cofania Lamparty, lekceważył hieny, płoszył wilki i rude psy/ Lwu nawet stawilby czoła, gdyby ucieczka okazała się niemożliwą lub w rozjuszeniu wywołanym zadana raną. Świadomość licznych zwycięstw nad napastnikami osłabiła jego czujność.

Odyniec doszedł do trzciny, w których zaszył się Zur; po-| czuwszy woń, stanął nagle. Zapach przypominał mu jakąś małpę,

nie mu zatem nie groziło. Kwiknął groźnie i zwrócił się w stronę bambusów. Wtedy, chcąc go zagnać ku Kotu Olbrzymiemu, Aun wydał okrzyk wojenny, pochwycony natychmiast przez syna Ziemi. Dzik cofnął się, nie ze strachu, lecz z przeczności. Zasadzka tkwi w każdej rzeczy nieznaney; ani gibbon, ani inne małpy nie miały tak dziwnego głosu. Przy drugim okrzyku rzucił się w kierunku czatującego drapieżnika. Porwała się olbrzymia bryła, dzik z wściekłością nastawił kły, lecz zwierz, który nań spadł miał ciężar niemal bawołu. Runął z poszarpanym bokiem, dwie szczęki z granitu utonęły w jego krtani, popłynęły purpurowe strumienie. Dzik charczał w trawie.

Gdy zdobycz znalazła się w pieczarze, Aun zapragnął upewnić się, czy przymierze było zupełne. Chwycił topór i odrąbał udziec dzika; mięsożerca nie okazał sprzeciwu.

Ludzie wiedzieli, że siła ich stała się równą sile hordy.

Niejednokrotnie jeszcze polowali z drapieżnikiem. Często od dalali się na znaczną odległość od legowiska, gdyż zdobycz córa bardziej unikała zbliżania się do straszliwego gospodarza skał. Ser ce Auna podniecało się. Pragnął wycieczek jeszcze dalszych, tra wiła go gorączka ciekawości. Jednego ranka rzekł do Zura:

— Byłoby dobrze poznać inne obszary łowieckie. Być może dużo zwierzyny oddali się jesienią. Czy Zur chce mi towarzyszy poza legowisko Tygrysów?

Zur nigdy nie odmawiał swego współdziałania. Ciekawość jego, choć mniej ruchliwa, była jednak silna, podscyciała jego młodość.

— Pójdziemy na ziemie, przez które przepływa rzeka — od powiedział.

Naostrzyli swą broń, uwędzili suszonego mięsa, napiekli korzeni i powędrowali, podczas gdy słońce ogromne i czerwieńsze od miedzi wychylało się zza rzeki. Zur z przykrością opuszczał jaskinię. Zażył w niej bezpieczeństwa i dostatku, zawarł w niej przymierze z Kotem Olbrzymim. Ale dusza Auna. wyprzedzała jego własne kroki ku niezbadanym jeszcze ziemiom.

Do połowy dnia i po odpoczynku, niezbędnym wobec ostro-

ści słońca, posuwali się bez troski. Ostry wzrok Auna i jego węch rudego psa odkrywały obecność gadów. Mięsożerne spały, jedynie owady zamęcały pochód. Muchy o czerwonych łebkach brzęczały nieznośnie i tysiącami leciały za wonią mięsa. Stepowe osy o kłujących żądłach wzbijały się w cieniu, trzeba było się strzec dużych szerszeni, których sześć lub siedem mogło zabić człowieka, a „a postojach obawiać się sąsiedztwa termitów.

Było późno, gdy dotarli do miejsca połączenia się dwóch rzek. Aun znał dużą rzekę, przeprowiał się przez nią nieraz. Kierował krokami Zura w wąwozie z głazów odwiecznych i wyprowadził na obszar łowiecki Tygrysów. Tu zaczynały się niebezpieczeństwa.

W ciągu dnia Lew spoczywa w swym legowisku, podobnie jak ludzie, woli schronienie stałe, które może w każdej chwili odszukać. Tygrys, zaś krąży po okolicy; łowy i włóczęga warunkują wybór leża, zadowala się miejscami, które wzbudziłyby wstręt w innych drapieżnikach. Toteż człowiek nie może przewidzieć jego ruchów i nie wie jaką obrać drogę, by go uniknąć.

Ulhamr i syn Ziemi postępowali w pewnym od siebie oddaleniu, by rozszerzyć pole widzenia. Z początku była im pomocną obecność trawożernych; ani małe antylopy, ani danielle, ani czarne byki nie pasłyby się w pobliżu Tygrysów. Lecz gdy otoczyła ich pustka, koczownicy popadli w gorączkowy niepokój. Była to okolica niejednostajna, gdzie dżungla przechodziła na przemian w szerokie polany, sawannę, bagniste rozłogi lub grodziła zwartą ścianą bananowców i palm.

Aun uważał, że lepiej będzie skrócić ku rzece pokrytej licznymi wysepkami. Na łądzie samotność stawała się coraz głębsza, roiło się za to w świetle wód. Długie gawiale pruły wodę pomiędzy wyspami, hordy płetwonogich i brodzących pluskały się, senne pytony rozwijały swe śliskie ogony.

— Zbliżyliśmy się do Tygrysów — rzekł cicho Zur.

Aun uważnie, z wolna szedł naprzód. Dżungla, zrazu oddalona od rzeki, zbliżała się do niej, najeżona kolcami i zasnuta lianami.

Syn Ziemi rzekł, zatrzymując się:

— Tędy chodzą Tygrysy poić się w rzece.

Wskazywał na rozchylenia w zaroślach i na liczne ślady. Zur przyglądał się im badawczo, wydzielala się z nich ostra woń. Wy, szeptał:

— Przeszły tędy.

Przebiegł go dreszcz. Aun przezornie odczepił swój oszczep. Zdawało się, że coś z drapieżników pozostało wraz z ich wyziewami.

§

Z gęstwiny dochodziły jakieś trzaski. Obaj ludzie zniechęceni mieli niby drzewa. Wszelka ucieczka stawała się zbędna. Jeżeli drapieżniki były blisko, nie pozostawało nic prócz walki. Lecz nic się nie ukazywało i Aun, wietrząc lekki powiew idący od dżungli, rzekł:

— Tygrysy są jeszcze daleko.

Poszli dalej śpiesząc, by jak najrychlej przekroczyć ten niebezpieczny pas. Wkrótce dżungla zetknęła się z rzeką i tu stała się tak niedostępna, że ludzie zmuszeni byli zboczyć i wejść między bambusy.

Dotarli wreszcie do jakiejś wydmy, na której pasło się kilka trawozernych. Zmrok zapadał, więc poczęli oglądać się za miejscem odpowiednim na obozowisko. Jak okiem sięgnąć nie było widać ani jednej skały, przedostanie się na wyspę okazało się nie do pomyślenia; wydma otulona była dżunglą — minąłby wieczóiffł zanim by dotarli do wód.

Zur odkrył grupę bambusów. Było ich siedem rosnących tuż obok siebie. Tworzyły rodzaj ogrodzenia. Odstępy między trzaskami drzewami były tak małe, że człowiek nie mógł się przez nie przecisnąć, między dwoma innymi Aun i Zur mogli się bokierjł wśliznąć, ale dla Lwa lub Tygrysa przejście było za wąskie. Ostali nie wreszcie, u podstaw oddalone od siebie więcej niż łokieć szal rokości, łączyły się w górze. Należało załatać ten otwór gałęziami i lianami na wysokość dwa razy wyższą od Auna.

Pospiesznie nałamali młodych bambusów i pędów lian — syn' Tura obrabiał je, podczas gdy Zur, zręczniejszy, przeplatał je i umocowywał tak, jak to czynili jego przodkowie.

Zapadał zmierzch, gdy zakończyli swą pracę. Żadna podejrzana postać nie pojawiała się na pustkowiu. Rozniecili ogień i upiekli suszonego mięsa i korzeni. Posilali się zadowoleni. Wysiętek spotęgował ich głód, czuli się dumni i szczęśliwi ze swego człowieczeństwa. Żadne ze zwierząt, nawet te, które najdoskonalej umiały urządzać swe legowiska, nie potrafiłyby tak szybko przygotować schroniska i tak go zabezpieczyć od drapieżników.

Miesiąc przeszedłszy połowę swej drogi zniżał się ku zachodowi, kilka gwiazd migotało nad pustkowiem. Zur zadawał sobie pytanie, jacy to ludzie zapalali je co wieczór. Były zadziwiająco małe. Rzekłbyś koniuszki żarzącego się łuczywa, podczas gdy słońce i księżyc były podobne do ogniska z kilku gałęzi. Ale że gorzały tak długo, znaczy to, że ich płomień jest bez przerwy podsycany. Zur usiłował dojrzeć tych, co dorzucali dREW i nie mógł pojąć, dlaczego pozostali niewidoczni. Niekiedy zastanawiał się nad żarem słońca, mocniejszym, gdy znajduje się u szczytu nieba niż wieczorem, gdy zniża się ku ziemi i staje się ogromne. Myśli te prędko zniechęcały i nużyły Zura. Porzucał je, a nawet zapominał o nich zupełnie. Tego wieczora patrzył na obłoki objęte płomieniami zachodzącego słońca. Było tam więcej ognia, niż gdyby połączono jednej nocy wszystkie ognie, jakie Ulhamrowie rozpalali w ciągu zimy. A jednak tyle ogni daje mniej światła i ciepła niż słońce. Zur ważył to w swej myśli, był tym prawie przerażony. Nikt spomiędzy Ludzi Bez Ramion ani Ulhamrów nie przejmował się tym zjawiskiem. Odezwał się odruchowo:

— Co za ludzie zapalają niebo wieczorem, gdy słońce odchodzi?

Aun, gdy przestał rozmyślać o Tygrysach, popadł w odrętwienie, które jednak nie przeszkadzało mu spostrzegać zmysłami wszystkich niebezpieczeństw nocy. Pytanie Zura obudziło go. Nie było ono dla niego od razu zrozumiałe, ale i nie zadziwiło, albowiem Zur miał pomysł obce innym ludziom.

Wzniósł głowę ku niebu wpatrując się w gwiazdy.

— Gzy Zur mówi o małych ogniach, które znajdują się tam w górze?

— Nie. Zur mówi o dużych czerwonych i żółtych ogniach, które zagaiły. Czy to hordy je zapalają? Wówczas te hordy byłyby liczniejsze od Ulhamrów, Kzamów i Czerwonych Karłów!

Aun zmarszczył czoło. Począł sobie wyobrazać te istoty, ukryte tam wysoko; myśl ta była mu niemiła.

— Noc gasi te ognie — wymówił niechętnie. — A wszak nasze świecą silniej w nocy!

Odpowiedź ta zakłopotła syna Ziemi, myślał o niej jeszcze wtedy, gdy już Aun zapomniał o zgoła nie obchodzącym go pytaniu.

Tymczasem powiew stawał się chłodniejszy, niósł dalsze od-| głosy. Chyże zwierzęta przebiegały pustkowie i znikaly. Niektóre zaciekawione zatrzymywały się przed ogniskiem, którego światło stawało się coraz bardziej szkarłatne. Pięć czy sześć rudych psów skradało się wietrząc zapach pieczonego mięsa, lecz szybko odeszły. Nagle wypadły z dżungli antylopy, pędziły cwałem.

Aun powstał, nastawił uszy i nozdrza, wyszeptał:

— Pora wejść do schroniska!

Dorzucił jeszcze:

— Tygrys jest blisko!

Wśliznęli się przez wąski odstęp pomiędzy dwoma bambusami.

Rozsunęły się zarośla. W srebrzysto-popielatym świetle ukazało się przegowate zwierzę. Objętości Lwa, miało cielsko dłuższe, | bardziej gibkie, osadzone na krótszych łapach. Ulhamrowie i Lu-3 dzie Bez Ramion bali się go więcej niż innych drapieżników. Lew był mniej przebiegły, mniej zawzięty i powolniejszy, Macherodusa nie znano po tamtej stronie skał, a spośród Ulhamrów jedy nie Naoh, Goun Sucha Kość i dwóch postarzałych wojowników spotkało Kota Olbrzymiego.

Tygrys nie śpieszył się, posuwał się, gibki, wspaniały; widok płomieni zatrzymał go. Podniósł swój ciężki łeb, ukazując jasną pierą i ślepią jarzące się jak świetliki. Był to jeden z większych okazów, jakie Aun z Żurem widzieli. Syn Tura pomimo niepokoju przyśpieszającego bieg krwi, podziwiał go, miał bowiem szcze-

gólne upodobanie do potężnych zwierząt, nawet gdy były mu wrogie.

Zauważył jednak:

— Tygrys Kzamów jest silniejszy od niego. Zur dodał:

— Jest on zaledwie Lampartem wobec Lwa Skalnego! Bądź co bądź czuli, że dla człowieka Tygrys ten był równie groźny, jak ich płowy towarzysz z pieczary.

Tygrys stał chwilę nieruchomy, zaskoczony sytuacją, po czym zaczął podchodzić bokiem. Obawiał się ognia, uciekał przed nim, gdy od pioruna płonęła sawanna, ale ten podobny był do światła gorejących pod koniec nocy. Zatrzymał się tak blisko, że jał odczuwać żar, zauważył drganie płomieni, słyszał trzask i szum. Nieufność zwierza rosła, krążył wokoło ogniska w pewnej odległości i natknął się na bambusy. Zwietrył i prawie równocześnie ujrzał ludzi. Parsknął i wydał raz za razem dwa ryknięcia brzmiące jak wrzask rudych psów.

Aun bez namysłu odpowiedział mu swoim okrzykiem wojennym. Tygrys zadrżał zdumiony, przypatrywał się przeciwnikom. Wydali mu się słabi. Woń ich przypominała lekką zdobycz, a postaci zdawały się być cokolwiek tylko większe od wilków.

Otóż wszystkie stworzenia, które stawały mu opór były ogromne. Te w każdym razie były mu nie znane. I Tygrys, w pełni sił, otrzaskany z niespodziankami, kierował się rozwagą. Bliskość ognia przydawała tajemniczości dziwnym istotom.

Poszedł z wolna do bambusów, okrążył je. Tylokrotne przebieganie dżungli wydoskonalilo w nim poczucie odległości, poczucie, które umożliwiło mu jednym nieomylnym susem dosięgnąć zdobycz. Znał również odporność bambusów. Nie usiłował przebić się przez wąską przeszkodę, zatrzymał się jedynie przed wiązaniem z lian i gałęzi. Dotknął ich pazurami próbując cieńsze z nich zerwać, lecz o mało nie raził go oszczep Auna.

Cofnął się porykując, stanął niepewny. Natarcie to czynilo nieznanę zwierzę bardziej niesamowitym. Jego gniew rósł, wściekłe sapanie rwało się do gardzieli. Zebrawszy całą swą szybkość,

natarł. Tym razem oszczep ugodził go z boku w szczękę, kołysanie gałęzi i ruchy zwierza utrudniały celowanie. Napastnik zmiarkował odporność przeszkody i odwagę człowieka, ponownie się cofnął, przypadł do ziemi i czekał...

Nie była to godzina łowów. Tygrys miał pragnienie. Gdyby nie ogień, byłby się najpierw udał do rzeki. Po chwili, gdy mijał gniew, odczuł tę suchość gruczołów, którą jedynie mogła uśmierzyć świeża woda...

Miaucząc przeciągle wyprostował swe członki, dwukrotnie obszedł schronisko i oddalił się. Aun z Zurem widzieli, jak dążąc do rzeki znikł w zaroślach.

— Powróci! — rzekł Zur. — Może z Tygrysią.

— Ani jedna liana nie została porwana — odrzekł syn Tura.

Rozmyślali jakiś czas o groźnej przygodzie, lecz dusze ich nie lękały się przyszłości. Byli pewni, że bezpieczna kryjówka nadal ich osłoni. Nawet czuwanie uznali za zbędne, legli na ziemi i zapadli w głęboki sen.

Natarcie tygrysa

Aun przebudził się w środku nocy. Księżyc odchodził za dżungłę zachodnią. Jego blask różowił opary nagromadzone wśród listowia, popielaty mrok otulał pustkowie, koło siedmiu bambusów ogień zamierał.

Zrazu wojownik dostrzegł jedynie nieruchomą roślinność, ale powonienie zwiastowało czyjąś obecność. Po chwili poruszył się jakiś cień, oderwał od kępy palm i jął się ostrożnie zbliżać. Aun, skoro tylko otworzył oczy, wiedział, że był to Tygrys, patrzył nań z obawą i gniewem. Pieniło się w nim zuchwalstwo niby fale spowodowane huraganem. Mimo uznawanej przewagi Tygrysa nad człowiekiem i lęku zacząjonego gdzieś w głębi duszy, Aun

pragnął walki. Czyż Naoh nie powalił Szarego Niedźwiedzia i Tygryscy? A on sam czyż nie zabił Macherodusa, pogromcę No-■ sorożca? Ogarniający go szal mijał, tkwiąca w nim rozwaga przodków chłodziła krew; wiedział doskonale, że Naoh, Fauhm i Włochaci jedynie w obronie życia porwaliby się na Tygrysa.

Zresztą obok niego budziła się druga rozważa. Z kolei syn Ziemi dowiedział się o straszliwej obecności Tygrysa. Patrzył na towarzysza podnoszącego maczugę i rzekł:

— Tygrys nie znalazł zdobyczy.

— Jeżeli się zbliży, Aun ciśnie weń włócznią i oszczepem.

Niebezpiecznie jest ranić Tygrysa. Wściekłość jego jest groźniejsza od wściekłości Lwa.

— A jeżeli nie zechce oddalić się od schronienia?

— Aun i Zur mają zapasy na dwa dni.

— Nie mają wody. I czemużby Tygryśca nie miała się połączyć z nim?

Zur nie dał odpowiedzi. Myślał o tym samym, wiedział, że drapieżniki nieraz kolejno czatują na nie dającą się łatwo podejść zwierzynę. Po chwili wahania rzekł:

— Od nastania nocy Tygrys jest sam, Tygryśca jest może daleko na pustkowiu. ►

Aun nie zdawał sobie dostatecznie sprawy z przyszłości, by się upierać. Całą jego uwagę pochłoniął Tygrys, który podszedł na pięćdziesiąt łokci od bambusów. Było wyraźnie widać jego krótką paszczę ze sterzącą po bokach twardą sierścią, ślepią jarzyły się silniej niż poprzednio. Od czasu do czasu rozlegał się po pustkowiu groźny poryk. Tygrys przysunął się jeszcze bliżej, zaczął chodzić wzdłuż i wszerz, to znów okręgać schronisko z cierpliwością przerażającą — jakby oczekując, że rozsunie się przeszkoda lub rozluźnią wiązania z lian i bambusów. Obaj ludzie, ilekroć się zbliżył, poczynali drżeć w obawie, że nadzieja Tygrysa się ziści. W końcu przycałił się wśród suchych traw. Stamtąd śledził wszystko uważnie, raz po raz szeroko rozwierając paszczę, w gasnącym świetle ogniska lśniły potężne kły.

— Będzie tu jeszcze z rana — mówił Aun.

Zur milczał. Spoglądał na dwie małe gałązki terpentynowe, które złożył przy ognisku — lubił bowiem mieć zawsze pod ręką suche drzewo. Rozłupał wzdłuż najcieńszą z nich i zgarnął żdźbła.

— Zur nie będzie rozniecał ognia! — zawołał syn Tura z naganą.

— Nie ma wiatru, ziemia schroniska jest goła, a bambusy młode — zauważył Zur krzesząc ogień. — Żurowi potrzebny jest tylko mały płomień.

Aun dalej nie nalegał. Patrzył, jak płomyki ogarniały żdźbła, od których jego towarzysz zapalał koniec wici terpentynowej, wnet zajęła się żywym światłem. Wówczas, nachyliwszy się ku jednemu z otworów, syn Ziemi rzucił tym łuczywem w stronę Tygrysa. Płomień opisał łuk i spadł między suche trawy. Była to część pustkowia najbardziej wysuszona, a nocne opary jeszcze nie osiadły. ■■

Tygrys powstał na widok świetlanego pocisku znikającego wśród największych łądyg. Aun śmiał się z cicha — Zur wyczekiwał, zadając sobie pytanie, czy nie trzeba zapalić nowej wici.

Po trawach biegły czerwone iskierki. Tygrys legł znowu...

Po krótkim wahaniu Zur przygotował drugą gałązkę terpentynową. Ogień począł pożerać jej koniec, gdy opodał wzbil się kłęb sinawego dymu, potem zaznaczyła się smuga światła. Zwierz zerwał się z rykiem, już gotował się do skoku, gdy Zur rzucił drugie łuczywo.

Tygrys, trafiony w pierś, szalał, to kręcąc się na miejscu, to wyprawiając dziwaczne susy. Ogień z suchym trzaskiem biegł wśród roślinności, rozsypywał się snopami i otoczył drapieżni ka... Wtedy mięsożerca z wściekłą skargą przesadził płomienie i umknął.

— Nie powróci więcej — twierdził Zur — żadne zwierzę,, powtórnie nie. przychodzi na miejsce, gdzie zostało poparzone.

Aun był zachwycony chytrą siłą towarzysza. Śmiech jego nie był teraz cichy, rozbrzmiewał po pustkowiu jak okrzyk wojenny.

— Zur jest bardziej przebiegły niż Goun Sucha Kość — mówił w uniesieniu.

I jego muskularna ręka spoczęła na ramieniu syna Ziemi.

Tygrys nie powrócił. Aun z Żurem spali do świtu. Mgła okrywała pustkowie i dżungłę, cisza i spokój trwały do wschodu słońca. Po czym ocknęły się zwierzęta. Rozgłośna wrzawa szła od rzeki i niezliczonych drzew. Syn Tura wyszedł ze schroniska, rozejrzał się po równinie. Powietrze było czyste, wolne od wszelkich podejrzanych woni; wolno przechodzące stado kóz uspokoiło go.

Powrócił do Zura i rzekł:

— Pójdziemy dalej w drogę, zwrócimy się początkowo ku zachodowi, by nie spotkać Tygrysa.

Gdy zorza ranna miała się ku końcowi podążyli w obranym kierunku. Wiotkie opary rozsuwały się powoli i ginęły w ciemniejących niebiosach. Zrazu rzadko spotykane zwierzęta nadciągały teraz liczniej. Aun raz po raz wdychał powietrze. Szalony żar przenikał przyrodę, muchy o łebkach czerwonych dokuczały nie, znośnie, ostre promienie słońca poprzez listowie wpijały się w ciało niby termity, małpy wystawiały swe wykrzywione twarze, a papugi wrzeszczały przejmująco i zapamiętale.

— Grzmoty zaryczą nad lasem — przemówił syn Ziemi.

Aun zatrzymał się, by spojrzeć na zachód. Przed nimi była polana, w głębi — bezobłoczny pas nieba barwy lazulitu. Obaj ludzie czuli szerzący się w przestrzeni niepokój, lęk przed czymś niewiadomym.

Trwało to dosyć długo. Aun i Zur dążyli skośnie ku rzece, idąc śladem utworzonym przez różnorodność roślin. W połowie dnia burza była jeszcze daleko. Nie rozniecali ognia, zjedli mięso upieczone poprzedniego dnia i spoczęli, lecz napastliwe owady nie dawały im spokoju.

Gdy ruszali w drogę, na zachodzie ukazały się pierwsze mgły. Mleczna białość rozlewała się na lazurze, rozległ się trwożny bek baranów stepowych i ryk bawołów, grzechotniki mknęły wśród traw...

Przez chwilę wojownicy wahali się, czy iść dalej. Lecz postój nie był wskazany. Tysiącletnie drzewa nadto wysoko wznosiły

swe czuby, ziemia była gąbczasta, nie dostrzegali żadnego schronienia przed pociskami żywiołu, który zacznie niszczyć puszcza. Od czasu do czasu po wyniosłych konarach przebiegały z szumem fal rzecznych świetlane prądy, niekiedy tworzyły wiry szarpiające listowie, następowała po nich ciężka, dusząca cisza. Zasłona z oparów wzbijała się w górę niby kłęby dymu jaśniejące na skraju. Po czym krainę drzew jęły przeszywać szalone, zielonawe błyskawice. Tworzyły się bardzo daleko od Auna i Zura i towarzyszące im grzmoty nie wznagły łoskotu zawieruchy. W miarę jak ołowiana ściana ogarniająca połowę nieba zasnuwać poczęła wschód, rosła trwoga, stworzenia kryły się. Czasami przebiegało jakieś spłoszone zwierzę szukające osłony lub zabrzęczał owad ulatujący ku swej kryjówce w korze drzewa. Życie stworzeń otoczone było innym życiem, które rozsiane stwarza i zasila puszcze, lecz rozpętane — niweczy drzewo, trawę i zwierzę.

Towarzysze znali to dzikie rozchukanie żywiołu. Aun myślał jedynie o schronieniu, Zur od czasu do czasu podnosił głowę przypuszczając, iż jakieś potworne bestie rozszalały się wśród obłoków. Dawały się już słyszeć ich ryki. Z oddali brzmiały one ponuro, jak głosy Lwów ukrytych za górami. Następnie przechodziły w grzmot, towarzyszyły im oślepiające blaski. Szmer źródła wznagał się do łoskotu rwącego po głazach potoku. Dżungla pod naporem deszczu zamieniała się w jezioro, poprzedzone bagniskiem. We mgle oparów nie można było dojrzeć żadnego ukrycia, raz po raz były pioruny. Pod sklepienie bananowca obok ludzi wczołgał się Lampart, małpy zawodziły żałośnie. Woda lała się strumieniami, jak gdyby tam w niebiosach jakiś ocean porwał swe zapory, nawałnica gnała niosąc zapachy roślin i burzy... W ciągu godziny jezioro wezbrało, przepelniły się bagna, jedno z nich rozlało się zagarniając puszcze.

Koczownicy musieli się cofać, ale nadbiegały nowe wody. Ryk fal łączył się z łoskotem gromów, porwali się do ucieczki, na oślep, ku wschodowi.

Rozjuszony płynny żywioł napastował ich; gdy z trudem u-niknęli jednych fal, wnet niespodzianie nadlatywały inne. Aun cwałował jak żrebiec, a Zur biegł za nim pochylony, prawie nie

odrywając nóg od ziemi, na sposób Ludzi Bez Ramion. Oddalwszy się dostatecznie od powodzi, powędrowali znowu na wschód w nadziei odnalezienia rzeki.

Przebyli pustkowie, przemykali poprzez leśne ściany bambusów, palm i lian. Zatopiony moczar zmusił ich do skierowania się na północ. Nawałnica ścichła, świst wichury stawał się mniej gromki i nareszcie dotarli do polany, gdzie płynął potok, utworzony przez ulewę.

Tu zatrzymali się, chcąc zdać sobie sprawę z głębokości wód.

W tej chwili piorun strzaskał grupę drzew hebanowych. Po drugiej stronie polany w ogromnych podskokach porwało się jakieś wydłużone cielsko, niby oszalałe, Aun i Zur poznali Tygrysa. Kręcił się w miejscu przerażony, po czym, przystanąwszy ujrzał pionowe stworzenia.

Aun odgadywał zmysłami, że był to ten sam, który krążył wokoło ich schroniska, a Zur, skoro ujrzał opaloną sierść na pierśsiach, był tego pewien. Tygrys, choć mniej wyraźnie, również rozpoznał tę zdobycz, którą ogień, zasłona z lian i pożar traw czy niły tak osobliwą. Odnajdował ją w chwili, gdy inny ogień poraził drzewo hebanowe. Jej obraz w połączeniu z groźnymi wydarzeniami zachwiał zuchwałstwem drapieżnika. ♦

Ludzie i zwierzę stali nieruchomo. Dzielili ich zbyt mała odległość, by ucieczka była możliwą. Już Aun odczepił oszczep, Zur w obawie, by odwrót jego nie wywołał pogoni, także gotował się do walki.

I pierwszy miotnął włócznią. Zaświstała ponad wodą i ugodziła drapieżnika koło prawego ślepią. Z okropnym rykiem zebrał się do skoku, ale krew mąciła wzrok, sus nie miał tej straszliwej nieomyślności, która skazywała na śmierć każdą bliską zdobycz. Długie ciało stoczyło się w potok, zawiroowało i uczepiło się brzegu. Aun pośpieszył, oszczep jego uderzył w pierś u nasady łopatki. Oszalały potwór wspiął się na brzeg i natarł na ludzi. Kulał, bieg jego nie był szybki, druga włócznia Zurą wbiła się w jego bok, podczas gdy syn Tura ranił kark.

Po czym z wysoko podniesionymi maczugami czekali. Aun)

przyjął natarcie na wprost i spuścił broń na czaszkę. Wah odskoczywszy w bok mierzył w kręgi. Ostry pazur rozdarł pierś Ul-hamra, lecz ten w porę cofnął się. Maczuga trzasnęła po nozdrzach, powstrzymując na chwilę zwierza. Zanim zebrał się do ponownego skoku, zadudniła po raz trzeci z taką siłą, że Tygrys znieruchomiał, jakby popadł w sen. Wtedy obaj towarzysze jęli raz za razem miażdżyć jego kręgi i członki.

Ogromne cielsko zważyło się w straszliwych drganiach, a gdy syn Tura wybił mu lewe ślepię, zwierz był już na łasce ludzi.

Ostrze włóczni otworzyło mu serce.

Puszcza Lemuryjska

Następne dni przeszły pogodnie. Wojownicy posuwali się śmiało naprzód; płynęła tam rzeka szerokości jeziora. Czuli się szczęśliwi i beztroscy, nie zapominając jednak o przezorności; wspomnienie przeżytych niedawno groźnych przygód w dżungli i nad rzeką sprawiało im przyjemność. Z łatwością! znajdowali miejsca dla spoczynku to w skałach, to w dziuplach drzew prastarych, to wreszcie w gąszczach pełnych kolców tak mocnych, że po zabezpieczeniu otworu w przejściu, które sobie toporem utorowali, mogli drwić z drapieżników.

Zatrzymało ich dopiero jezioro i zmusiło do oddalenia się od rzeki. Znaleźli się u podnóża pasma górskiego. Nie było ono wysokie. Wspinali się nań przez ćwierć dnia i dotarli do płaskowyżu zaczynającego się sawanną, która dalej przechodziła w las. Płaskowyż ów ciągnął się z północo-wschodu na południo-zachód. Z północo-zachodniej strony górowała nad nim skalista ściana, skąd wypływały dwie mniejsze rzeki zasilające nowe jezioro.

Aun z Żurem doszli do lasu przed zapadającym zmierzchem. Skała z porfiru dała im pewną kryjówkę w jamie, do której dostęp zagrodzili gałęziami. Po czym rozpalili ognisko na sawannie i upiekli przy nim dużą jaszczurkę. Upał był tu mniejszy niż na równinie, z pobliskich gór szedł ochładzający wietrzyk. Po tylu gorących wieczorach obaj ludzie rozkoszowali się łagodnym powietrzem, wspominając dawne z hordą czuwania. Wdychanie tego powietrza było im jednakowo prawie miłe, jak zaspokajanie głodu. Rozlewny poszum lasu przypominał odgłosy w dali toczących się wód. Dolatywały miauczenia drapieżników, złowieszcze śmiechy hien lub wycia rudych psów.

Nagle wzmogła się wrzawa i między drzewami ukazały się niesamowite postacie. Podobne były do psów i do Czerwonych Karłów. W ich niespokojnych twarzach błyszczały okrągłe, blisko osadzone oczy, łapy miały zakończone dłońmi.

Aun i Zur poznali je. Były to pawiany o sierści zielonej na grzbiecie, żółtawej na piersiach, z twarzami płonącymi jak zachód słońca. Przyglądały się ogniowi. Syn Ziemi nie czuł do nich niechęci. Uważał je poniekąd za podobne sobie istoty, w równej mierze jak Pożeraczy Ludzi. Aun podzielał jego wierzenie. Od czasu wstąpienia na nową ziemię spotykali je prawie codziennie, wiedzieli, że są nieszkodliwe. Jednak podobieństwo do Czerwonych Karłów było niepokojące.

W giniących blaskach dnia naliczyli około dwudziestu sztuk. Popatrzawszy przez chwilę na płomienie, małpy jęły skakać z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo z zawrotną szybkością i znów podglądały osobliwe widowisko. Wreszcie jeden duży samiec —> rosły jak wilk — zsunął się powoli na ziemię i podszedł do ognia.!

Postąpił jeszcze na jakieś dziesięć łokci, zatrzymał się i wydał coś w rodzaju cichej skargi czy przywoływania. Aun, pomny zdraj Czerwonych Karłów, nie wyższych od pawianów, zamierzył się oszczepem. Usłyszawszy skargę, opuścił go. Małpa po chwili znowu zrobiła parę kroków. Po czym stanęła, jak gdyby u celu wędrówki, unieruchomiona w równej mierze strachem i ciekawością.

Za nią rozległo się wycie, następnie drugie, na szczycie pagórka ukazały się trzy wilki. A że biegly pod wiatr, ani ludzie, ani pawian nie zauważyli ich nadejścia.

Małpa chciała powrócić na drzewo. Najszybszy z wilków zagroził jej drogę, dwa inne odcięły odwrót. Wolną jedynie była droga w stronę ognia. Rosły pawian stał bezradny, jego towarzysze wrzeszczeli rozpaczliwie. Wtedy zwrócił swą przerażoną twarz ku ognisku i wobec zacieśniającego się ostroka utworzonego przez wilki, oszalały rzucił się ku ludziom.

Gdy dopadł ogniska, drapieżniki zbiegły się za nim, najzwinniejszy oddalony był już tylko o parę łokci. Pawian wydał jęk jakby przedśmiertny. Pomiędzy srogimi płomieniami a pożeraczami mięsa nie było już wolnej przestrzeni. Czekala go niechybna śmierć... Zwrócił swój wzrok na las, ten szumiący przestwór zieleni, w którym z taką łatwością mógłby umknąć przed zębami napastników i powtórnie strwożona jego twarz błagała ludzi.

Zur' powstał, mierząc oszczepem. Poczucie gatunku zawrzało w nim, podskoczył do małpy. Wilk cofnął się przed pionową postacią. Z kolei podniósł się Aun, wilki zawyły, odsunęły się nieco, nie dając jednak za wygraną. Aun rzucił pogardliwie kamieniem; Najbliżej stojący wilk, ugodzony w łopatkę, połączył się z pozostałymi.

— Wilki nie są godne oszczepu i włóczni — szydził syn Tura.

Wśród konarów tam i z powrotem rzucały się pawiany, podczas gdy osaczony bez ruchu patrzył na swych zbawców. Jego długie ręce drżały. Przyczajony lęk trwał w jego piersi. Obawiał

się nieznanego ognia, wilków, tych postaci wyniosłych i tego o-sobliwego głosu, tak różnego od innych głosów słyszanych w stepie i w puszczy. Z wolna ścichło bicie jego serca i okrągłe oczy z upodobaniem spoczęły na ludziach. Zaczynał nabierać ufności, Gdy silny nie uderza od razu, słaby po pewnym czasie wierzy, że nie będzie uderzać wcale. Teraz pawian czuł strach jedynie przed ogniem i wilkami. A nawet widząc, że płomienie nie wychodzą poza stos ułożony z gałęzi, oswoił się i z ogniem.

Aun z Żurem, odeгнаwszy wilki, bacznie przyjrzeni się przybyszowi; siedział jak dziecko, małe ręce i płaska prawie pierś uzupełniały to podobieństwo.

— Wilki nie pożrą Zielonego Karła — powiedział Aun ze śmiechem, na którego dźwięk małpa drgnęła.

— Aun i Zur doprowadzą go do drzew — dorzucił Wah.

Gdy się doń zbliżali, począł znów drzeć całym ciałem. Lecz powolność ruchów, głosy, które utraciły grożącą wilkom szorstkość brzmienia, uspokoiły pawiana; coś tkliwego połączyło te trzy istoty. Dla Auna i Zura pozyskanie nowego towarzysza było radością, która podniecała ich ciekawość i czyniła życie mniej dzi kim,

i

Pływały chwile. Wilki nie przestawały czuć, urywanym wyciem wyrażały swą wściekłość na ogień, ludzi i na tę możliwą zdobycz, która im się wymykała nie dzięki własnej chytryści lub zwinności, lecz przez jakiś niezrozumiały współdział.

Wreszcie oddaliły się, stopniowo zlewały się z nocą, a ponieważ uchodziły pod wiatr, powrót ich nie mógł być niedostrze-żony.

Pawian pozostał. Przywykał do ogniska. Z gór szedł chłodny wiatr, a przezyste niebo chłonoło gorące oddechy, więc zwierz, naśladowując ludzi, radował się ciepłym tchnieniem płomieni.

Po czym wydał lekki okrzyk, długo popatrzył na ludzi i skoczył ku drzewom.

Aun z Żurem żałowali jego odejścia.

Nazajutrz obaj ludzie pogrążyli się w puszcze. Zadziwiła ich ogromem drzew i gąszczem zarośli. Wężów było mniej niż na

równinie, na wierzchołkach krakały gromady białogłowych kruków; czarne byki przebiegały polanę, w widłach konarów ukazywały się ciemne Niedźwiedzie, niekiedy u schyłku dnia pojawił się Lampart — lecz nie ośmielał się napastować ludzi. Dalej ciągnęły się hordy brodatych małp z długimi ogonami, zbierały się grupami wśród gałęzi, krzyżąc przeraźliwie; znana im była radość wspólnego bytowania i uczucie bezpieczeństwa, gdy wspólnie broni się swych istnień i obszarów.

Na czwartą noc Aun zwiertzył jakąś osobliwą woń. Odkąd weszli na nową ziemię, tak przypominającej woni człowieka nie spotkali. Zadrżał, niepokój zjeżył mu włosy. Mniej straszne wydałyby mu się wyziewy Tygrysa, Lwa, Macherodusa i Kota Olbrzymiego.

Zbudził Zura w przewidywaniu walki, obaj wyteżyli zmysły. Wah, którego powonienie było mniej wyczulone, zwiertzył jedynie jakiś nieokreślony zapach. Aun, szeroko rozdmymając nozdrza, orzekł:

— Wyziewy przypominają Kzamów.

Kzamowie byli najdzikszyimi spomiędzy ludzi. Sierść lisia kępami obrastała ich twarze i ciała, mieli długie ręce, niczym Ludzie Drzew, uda kanciaste i nadmiernie rozwinięte duże palce u stóp. Pożerali zwyciężonych Ulhamrów tak, jak ongiś pożerali Ludzi Bez Ramion.

Po pewnym czasie woń zdawała się słabnąć, widocznie tajemnicze istoty oddalały się. Lecz nagle zaostrzyła się i Zur wyszeptał:

— Syn Tura mówi prawdę, jest to jakby woń Kzamów.

Trwożliwy niepokój przyśpieszał oddech Auna. Maczuga leżała u jego stóp, przygotował procę, by móc miotać włócznią na dalszą odległość.

Teraz upewnił się, że istot było więcej, wyziewy dochodziły z dwóch stron. Rzekł:

— Widzą nas, a sami są dla nas niewidoczni. Trzeba abyśmy ich również dostrzegli!

Zur, powolniejszy od Ulhamra, zawahał się.

— Oświetla nas ogień — ciągnął dalej Aun.

Podniósł maczugę. Wah usiłował przeniknąć ciemności, nie mógł jednak nic dojrzeć i pojmując, że obcy ludzie mogli spaść na nich niespodziewanie, przyznał towarzyszowi słuszność.

Syn Tura począł oddalać się, Zur szedł za nim w milczeniu. Nachyleni badali każdy zakręt przystając od czasu do czasu. Aun zasnuł otaczającą go przestrzeń czułą siecią wzroku, słuchu, a szczególnie powonienia. W jednej ręce dzierżył maczugę, a w drugiej procę z założoną do rzutu włócznią. Idąc dalej nabierał przekonania, że nie było tam więcej nad dwie istoty.

Coś zaszeleściło, zakolysał się krzak i po ziemi przeleciało lekkie drganie czyjegoś biegu. Aun z Żurem dostrzegli poprzez gałęzie jakąś postać, lecz tak niewyraźną, że nie mogli orzec, czy była ona pozioma, czy pionowa. Sądząc jednak po biegu — było to stworzenie dwunożne; pawian, małpa brodata, a nawet gibbon nie uciekałby w ten sposób.

Aun, zniżając głos, rzekł:

— To są ludzie.

Zatrzymali się przejęci. Ciemności nabierały grozy. I nagle wobec niebezpieczeństwa Aun rzucił swe wyzwanie wojenne. Usłyszeli drugi bieg, równoległy do pierwszego, po czym kroki i wyziewy słabły. Ulhamr rzucił się naprzód, Zur zapytał:

— Czemu Aun wydał swój okrzyk wojenny? Może ludzie ci nie chcą z nami walczyć.

— Idzie od nich woń Kzamów!

— Woń Ludzi o Błękitnej Sierści też jest podobna do niej.

Ta uwaga uderzyła Ulhamra. Zmysł rozwagi zatrzymał go na miejscu, długo wietrzył otaczające go ciemności i przemówił:

— Są już daleko!

— Znają las, a my go nie znamy! — mówił Zur — tej nocy nie pokażą się więcej. Trzeba czekać do rana.

Aun nic nie odpowiedział. Zrobił parę kroków na lewo i przypadł do ziemi. Wszelkie rodzaje szmerów stały się bardziej wyczuwalne i wśród nich syn Tura z trudnością odróżniał odgłos biegu nieznanych istot. Przycichał... już zamarł, podchodziły żerujące rude psy.

— Ludzie Leśni nie odważyli się walczyć! — rzekł wstając — a może poszli powiadomić swych braci?

Koczownicy powrócili do ogniska, podsycili go chrustem, na serca ich legł kamień niepokoju. Cisza ogarnęła krainę drzew, niebezpieczeństwo zdało się bardzo dalekie i Ulhamr zasnął. Zur czuwał przy szkarłatnych płomieniach.

Ludzie Leśni

Dzień osiągnął pełnię, a oni trwali w niepewności, czy wędrować dalej, czy zawrócić. Zur, mniej spragniony przygód, ma» rzył o powrocie nad brzeg rzeki, do skalnego pasma, gdzie przymierze zawarte z Kotem Olbrzymim czyniło ich niepokonanymi. Lecz Aun porwany żądzą dokonania zapoczątkowanego dzieła wzdragał się przed tym. Przemówił:

— Jeżeli stąd odejdziemy, czyż Ludzie Leśni nie będą umieli iść naszymi śladami? I czyż nie ma ich więcej na ziemiach, które przebyliśmy?

Powody te Zur uważał za słuszne. Wiedział-doskonale, że lu-

dzie bardziej od szakali, wilków i rudych psów potrafią tropić wroga. Jedynie ptaki lotem swym ogarniają większe przestrzenie. Jeżeli dotychczas nie natknęli się na żadną hordę, nie oznaczało to, by jej nie było na prawo lub na lewo od nich lub by jej nie spotkali w powrotnej drodze.

Zur zdał się na los szczęścia. Bardziej przewidujący od Auna, mniej skory do wałki, równy mu był odwagą, a przewyższał w godzeniu się z przeznaczeniem. Ta ostatnia cecha była swoista Ludziom Bez Ramion. Gdyby nie Aun byłby zupełnie samotny, wszystkie radości miały związek z ich przymierzem — i żadna trwoga nie dawała się porównać z nudą życia bez towarzysza.

Dzień minął spokojnie, obrali miejsce postoju w niczym nie zmaconej ciszy.

Znajdowali się w głębi puszczy. Trzy ogromne głązy przedstawiały dostateczne schronisko, które należało jedynie opatrzyć cierniami. Aun z Żurem upiekli udzieojelenia, którego smak lubili, po czym ułożyli się do snu pod gwiaździstym niebem. Świt był bliski, gdy zbudził się Aun. Ujrzał Waha nad słuchującego w kierunku południowym.

— Czy Zur usłyszał przechodzącego Lwa lub Tygrysa? Zur zaprzeczył, doleciała go tylko jakaś podejrzana woń. I Aun głęboko wciągnął powietrze i oświadczył:

— Ludzie Leśni powrócili!

Odchylił ogrodzenie z cierni i powoli skierował się na południe. Woń ulatniała się, był to ślad pozostawiony przez te tajemnicze stworzenia. Pościg w ciemnościach był niemożliwy. Obaj ludzie powrócili do kryjówki w oczekiwaniu dnia. Rozpoczął się on na wschodzie w szarawych mgłach. Jakieś ptaszę zakwiliło wydymając swe drobne gardziółko-kobzę. Rozpłomieniały się stopniowo obłoki. Ognie wschodzącego słońca, zrazu niewyraźnie, poczęły wślizgiwać się między chmury; rozlały się w jeziora z bursztynu, w rzeki ze szmaragdu. Tworzyły się purpurowe szczyty, które ginęły nad krainą drzew. Poprzez gęstwinę ujrzeli szkarłatne słońce.

Wtedy Wah i Ulhamr wyruszyli w drogę. Skierowali się na

południe. Zdecydowali się na pościg za tajemniczym wrogiem/ mimo grożącego im niespodziewanego napadu. Rozumieli, że na-J leży poznać naturę i siłę tych istot, by móc przygotować obronę; i tu ostrożność Zura zgadzała się z zapalem Auna.

Szli szybko nie zatrzymywani przez przeszkody. Napotykali ścieżki wydeptane przez pojedyncze osobniki lub hordy. Aun *m* dalszym ciągu badał wyziewy, które przez dłuższy czas ledwie wyczuwalne, koło południa stały się znów ostre. Aun niecierpli-.' wie przyśpieszał kroku. Las był teraz rzadszy. Ukazało się pustko-; wie z rozrzuconymi gdzieniegdzie pojedynczymi drzewami, krzakami, kępami paproci i zdradliwymi bagnami. Ulhamr zawahał się chwilę, lecz doleciała go wzmożona woń i nagle krzyknął; na miękkiej ziemi ujrzał świeże zupełnie ślady, Pozostawiły je stopy rozszerzone, o pięciu równych palcach, były bardziej podobne do stóp ludzkich niż do małpich.

Nachylony ku ziemi syn Tura długo przyglądał się tym śla-; dom i rzekł:

— Ludzie Leśni są w pobliżu, nie dotarli jeszcze do lasu.^f

Towarzysze poszli dalej. Byli niespokojni, okrążali każdy krzak, nim się do niego zbliżyli. Po przebyciu trzech do czterech tysięcy kroków Aun wskazał na gąszcz zarośli, mówiąc cicho:

— Są tam!

Przejmował ich dreszcz, a w serca ogarnięte uczuciem wzajemnego zrozumienia, wzmocnionym wspólnie przeżytymi dniami i mi, wdzierał się głęboki niepokój. Nic nie zdradzało siły wroga.; Wiadome było tylko, że wrogów jest dwóch. Aun uważał siebie za siłę równą Naohowi, najmocniejszemu ze wszystkich Ulham-rów, ale Zur był jednym z najsłabszych; prawie każdy z wojowni[^] ków wywijał cięższą maczugą i ruchy miał szybsze. Należało z|9 tem tak pokierować walką, by ją prowadzić z pewnego oddalenia.;' O ile przeciwnicy nie posiadają proc przewaga będzie po stronie Ulhamra i Waha:

— Czy Zur jest gotów do walki? — spytał Aun z zaniepokojoną troskliwością.

— Zur jest gotów... ale trzeba spróbować, czy riie dałoby się

zawrzeć przymierza z Ludźmi Leśnymi, jak to niegdyś uczynili Wahowie z Ulhamrami.

— Obie hordy walczyły z Czerwonymi Karłami.

Aun szedł na przedzie, miał bowiem lepsze powonienie i pragnął wytrzymać pierwsze natarcie. Domagało się tego wrodzone mu, nieustraszone męstwo oraz obawa utracenia towarzysza.

Zbliżywszy się o sto kroków jęli okrażać zarośla, zatrzymując się niekiedy, by uważnie badać rzadziej porośnięte przestrzenie. Pomiędzy łodygami i wśród listowia nie mogli dojrzeć żadnych kształtów zwierzęcych.

W końcu Ulhamr zawołał donośnym głosem:

— Ludzie Leśni myślą, iż się ukryli, ale my znamy ich kryjówek. Aun i Zur są silni, zabili czerwonego potwora i Tygrysa.

Gęstwina strzegła swej tajemnicy, żaden szelest nie przerwał ciszy, słychać było jeno lekkie poszumy drzew, brzęczenie czerwonych much i daleki śpiew jakiegoś ptaka. Aun tracił cierpliwość:

— Ulhamrowie mają węch szakali, a słuch wilków. Dwóch Ludzi Leśnych ukryło się tam w krzakach!

Klucz żółtogłowych żurawi zleciał w pobliże moczaru porośniętego lotosami. Nad szczytami drzew na skrzydłach nieruchomych ważył się sokół, a w dali, w jarzącym- świetle spalającym trawy, przemknęło stado antylop. Strach, rozważa, a może przebiegłość doradzały nieznanym istotom zachować milczenie.

Aun przygotował włócznię i procę, lecz po chwili ją zbierał cienkie gałęzie i prostować je. Zur go naśladował.

Zakończyli te przygotowania, niepewni, co począć dalej. Zur wolałby czekać, nawet Aun był pełen wątpliwości... Myśl o czyhającym niebezpieczeństwie była mu coraz bardziej nieznośna, założył jedną z gałązek na procę i wprawił ją w ruch; pocisk poleciał, lecz nie wywołał wrażenia. Trzykrotnie ponawiali miotanie — równie bezskutecznie. Po piątym rzucie dał się słyszeć przytłumiony krzyk, rozchyliły się gałęzie i spoza krzaków wyskoczyło jakieś obrośnięte stworzenie.

Podobnie jak Aun i Zur trzymało się na dwóch nogach,

grzbiet miało pałakowaty, ramiona równie strome jak Waha, wysuwały się ku przodowi, pierś miało wystającą — psią, głowę grubą z ciężką paszczką i niskim czołem, spiczaste uszy przypominały jednocześnie uszy psów i ludzi; kępa włosów tworzyła na głowie rodzaj czuba, boki jej pokryte były krótką, najeżoną szczecinią, długość rąk była mniejsza niż u małp. Przybysz trzymał w garści ostro zakończony kamień...

Był niższy od Ulhamrów, lecz wyższy od Czerwonych Karłów, odznaczał się suchymi wydatnymi mięśniami. Jego okrągłe oczy zatrzymały się przez chwilę na wojownikach, gniewnie na-marszczył czoło, słysząc było zgrzyt silnych szczęk.

Aun z Żurem przypatrywali się tej postaci śledząc jej ruchy. Ostatnie ich wątpliwości rozproszyły się. Istota stojąca przed nimi była człowiekiem. Kamień trzymany w dłoni był obrobiony. Stała na tylnych łapach pewniej od Ludzi o Błękitnej Sierści. W ruchach jej było coś nieuchwytnego, czego nie posiadały żadne gatunki małp...

Zur stał w niepewności, ale rosły Ulhamr, porównując broń przeciwnika ze swoją maczugą, włóczniami i oszczepem, a własną wyniosłą postać — z tym krępy kształtem, pojął swą przewagę. Postąpił parę kroków naprzód, wołając:

— Syn Tura i syn Ziemi nie chcą zabijać Człowieka Leśnego!

Odpowiedział mu głos chrapliwy, podobny do pomruku Niedźwiedzia; były w nim jednak zaczątki mowy składanej. Jednocześnie rozległ się inny głos, cieńszy, i ukazała się druga postać. Drobniejsza, o wąskiej piersi, wydętym brzuchu i pałakowatych nogach, patrzyła okrągłymi, -ruchliwymi oczami; pod wpływem lękliwej napastliwości rozchyłała szczęki.

Auna ogarnęła wesołość. Wskazał na swą broń, uniósł muskularne ramiona.

— Czy człowiek i kobieta o dużej sierści, mogliby walczyć przeciw Aunowi?

Śmiech jego zadziwił tamtych — trwoga powoli ustępowała. Na obrzękłych twarzach pojawiło się zaciekawienie, wtedy łagodnie zaczął przemawiać Zur:

— Czemużby Ludzie Włochaci nie mieli zawrzeć przymierza z Ulhamrem i Wahem? Puszcza ciągnie się bezkresna, żer jest obfity. ..

Czuł, że nie mogli go rozumieć, ale tak jak Aun, wierzył w potęgę słowa składanego. Nie omylił się. Włochaci ciekawie nadstawiali uszu i z wolna zrodziła się w nich ufność.

Gdy Zur zamilkł, nad słuchiwali jeszcze chwilę, po czym kobieta wydała dźwięki, które, choć mało różniące się do zwierzęcych, posiadały jednak rytm mowy ludzkiej. Aun zaśmiał się dobroduszenie i złożywszy broń u swych stóp, jął im dawać przyjazne znaki. Teraz śmiała się i kobieta śmiechem suchym, urywanym, niewprawnym; mężczyzna zawtórował jej niezdarne.

Wówczas Ulhamr i Wah podeszli do krzaków. Szli wolno, zatrzymując się, dźwigali jedynie maczugi. Włochaci patrzyli na idących, to cofając, to gotując się do ucieczki; na śmiech Ulhamra wracali z powrotem. Nareszcie znaleźli się o dwa kroki od siebie.

Była to chwila rozstrzygająca. Tępe twarze tubylców wykrzywiały podejrzliwość, przewracali oczyma, a czoła ich pokrywały się fałą zmarszczek. Mężczyzna odruchowo podniósł kamień, lecz Aun wskazując na swą ogromną maczugę rzekł śmiejąc się: -;

— Co znaczy ten mały kamień. Człowieka Włochatego w porównaniu z wielką maczugą?

A Wah głosem śpiewnym dodał:

— Aun i Zur nie są Lwami ani Tygrysami!

Obawy pierzchły. Kobieta uczyniła pierwszy krok. Dotknęła ramienia Zura, coś przy tym bełkocąc. A że żaden czyn wrogi nie nastąpił, niebezpieczeństwo wydawało się już nieprawdopodobne. Zwierzęca ufność, którą rodzi każde nieszkodliwe zbliżenie, powoli wzmagala się. Zur podał kawał suszonego mięsa, które chwycił i pożarł mężczyzna, kobieta otrzymała od Auna pieczone korzenie.

Nim skończył się dzień była już między nimi zażyłość sprawiająca wrażenie długich miesięcy wspólnego bytowania.

Ogień zgoła nie przeraził nowych towarzyszy, patrzyli, jak

pełzał wzdłuż gałęzi i prędko przywykli ogrzewać przy nim swe! członki. Powiał chłodny wiatr, od nagrzanej ziemi szły ku niebio- ! som poprzez czyste powietrze promienie ciepła. Koczownicy ra- < dowali się widząc te dziwne istoty przykucnięte koło ogniska. Przypominało im to wieczory spędzane z hordą. Czuli płynące ' z liczebności gromady współbraci poczucie bezpieczeństwa...

Zur usiłował zrozumieć nieokreślone dźwięki i znaki, którymi- posiłkowali się nowi towarzysze.. Doszedł, iż coś w rodzaju słowa Rah mogło oznaczać imię, a kobieta wabiła się Wao; chciał i też dowiedzieć się od nich, czy w lesie byli jeszcze inni ludzie i czy tworzyli hordę. Wielokrotnie wymieniane znaki miały ze sobą pewną łączność, lecz częściej te błyski porozumienia rozpraszały się, gubiły...

Podczas następnych dni zażyłość złączyła ich silniej. Włochata para pozbyła się obaw. W ich mózgach, znacznie słabiej rozwiniętych, jak u Auna i Zura, ustaliło się przyzwyczajenie. Posiadali wrodzoną łagodność, skłonność do ulegania, która ustępowała objawom brutalności jedynie wtedy, gdy ogarniał ich gniew lub strach. Poddawali się przewadze Ulhamra i zmyślnej cierpliwości Zura. Wrażliwością zmysłów dorównywali synowi Tura. Pewna właściwość wzroku pozwalała im widzieć w nocy równie dobrze jak Panterze. Łazili po drzewach ze zręcznością małp. Mięso spo- ; żywali chętnie, lecz umieli poprzestawać na młodych liściach, łądygach, trawach, surowych korzeniach i grzybach.

Ongiś w puszczech trzeciej epoki ich lemuryjscy przodkowie) wynaleźli- mowę i z grubsza obrabiali kamienie. Rozproszyli się po świecie. I podczas gdy jedni nauczyli się posługiwać ogniem, gdy inni odkryli umiejętność wydobywania go z kamienia i suchego drzewa, a narzędzia i broń udoskonalały zręczniejsze ręce, oni, by- j tując w bardziej umiarkowanych i obfitych w zdobycz okolicach, pozostali takimi samymi Lemuryj czy kami jak dawniej. Ich mowaj nie ulegając poprzez tysiąclecia żadnym zmianom zatraciła może niektóre dźwięki, jednak porozumiewawcze ruchy rąk, choć za-i wsze podobne, objawiały zdolność przystosowania się do nowych Warunków.

W razie potrzeby stawiali czoła nawet Lampartowi, Panterze, wilkom lub rudym psom, które rzadko ich zaczepiały. Zwinność w łażeniu po drzewach chroniła ich często przed Lwem i Tygrysem, których obecność wyczuwali z daleka. Różnorodność pożywienia sprawiała, że prawie nie znali głodu. Nawet w zimie z łatwością odnajdywali korzenie i grzyby jadalne. O dojmujących chłodach, które znieść musieli Ulhamrowie, Wahowie, Czerwone Karły i Kzamowie po tamtej stronie gór, na ziemiach północy i zachodu, nie mieli pojęcia.

Był to jednak zmierzch gatunku, niegdyś licznie zamieszkującego dżunglę i puszcę. Na wschodzie i południu wytepiły ich jakieś tajemnicze przyczyny. Inni ludzie, silniejsi od nich, lepiej władający słowem, bronią i ogniem, wyparli Ludzi Lemuryjskich na płaskowyż. Od tysiąca lat zwycięzcy z rzadka, dwa, trzy razy w ciągu trwania jednego pokolenia, nachodzili ten obszar; nie zatrzymywali się tu jednak dłużej. Gdy się zjawiali, pierwotni ludzie zapadali w głąb puszczy. Były to okresy trwogi, której wspomnienie wżerało się w ich zmysły i jedyne chwile, w których życie Ludzi Lemuryjskich stawało się smutne.

Rahowi i Wao obcą dotąd była ta zmienność losu. Byli młodzi, nie ucierpieli od najścia. Parę razy widzieli na skraju płaskowyżu ognie obozowisk. To niewyraźne wspomnienie przekazywane przez przodków odżyło u ogniska Auna i Zura.

Tymczasem Zur i Wao coraz lepiej zaczęli się rozumieć. Wah, już wiedział, że w puszczy jest więcej Lemuryjczyków i uprzedził o tym Auna. Syn Tura przyjął tę wiadomość obojętnie. Sądził, że przez przymierze zawarte z Rahem uniknie walk z innymi ludźmi jego plemienia i że oni nie odważą się go zaczepić.

Zur nie podzielał tej pewności. Lemuryjczyków uważał za mało skłonnych do walki — Rah i Wao nic polowali na drapieżne zwierzęta — ale obawiał się, by ludzie ich hordy nie myśleli, że wojownicy chcą ich napaść.

Był wieczór, płomienie płąsały wzdłuż suchych gałęzi. Rah z Wao przyglądali się z błogim zadowoleniem i nauczeni przez Zura, bawili się dorzucaniem chrustu do ogniska. Myśliwi byli

zajęci obracaniem nadzianego na pałkę uda daniela. Rozkoszny zapach pieczonego mięsa już się rozchodził. Na płaskim kamieniu prażyły się grzyby. Poprzez sklepienia konarów widniały w otoczeniu gwiazd ostre rożki księżycy.

Kiedy pożywienie było już gotowe, Aun podsunął jedną część Lemuryjczykom, resztą zaś podzielił się z towarzyszem. Chociaż schronisko nie było specjalnie przygotowane, czuli się bezpieczni. Dookoła rosły drzewa o pniach zbyt wysokich, by Tygrys mógł się na nie wdrapać, na których zaś zdążyliby się ukryć przed natarciem drapieżnika.

Ogarnął ich słodki spokój. Żaden brak ufności nie rozdzielał tych pierwotnych istot. Nieszkodliwi jedni dla drugich, gotowi wspólnie bronić się przed zasadzkami świata, zażywali wielkiej radości, wypoczynku i obfitego pokarmu.

Nagle Aun z Rahem, a po chwili Wao zadrżeli. Powiała jakaś ulotna woń. Lemuryjczycy wydali dźwięk podobny do śmiechu. Ulhamr zaniepokojony rzekł do Zura:

— Oto nowi ludzie są w pobliżu.

Wah zwrócił się do kobiety. Wysunęła głowę, jej widzące w ciemnościach oczy wpatrywały się w mrok. Dotknął jej ramienia i głosem oraz znakami pytał. Zadawane pytanie było jasne, wydarzenia czyniły go jeszcze bardziej przejrzystym. Wao, podniósłszy głowę, wyciągnęła ramiona i skinęła twierdząco.

— Aun ma słuszność — powiedział syn Ziemi — inni Ludzie Leśni przybyli!

Ulhamr powstał, Rah poczołgał się w trawy, nastąpiło lekkie zamieszanie. Podejrzenie zacisnęło szczękę Auna, zmarszczyło brwi Zura. Tymczasem Rah posuwał się dalej. Zur odwołał go; twarz Lemuryjczyka wyrażała niepewność istot chwiejnych, pragnął biec do swoich, lecz lękał się Auna.

Po krótkiej przerwie syn Tura chwycił broń i poszedł w kierunku wzmagających się i coraz liczniejszych wyziewów. Wojownik liczył, że w zaroślach znajduje się sześciu lub siedmiu ludzi, przyśpieszył biegu. Nagle uderzyła go woń zupełnie bliska i równie nagle rozproszyła się. W szarawym świetle, sącącym się przez

konary. Ulhamr ujrzał przelotne zarysy jakichś postaci. Wojownik puścił się ze zdwojoną szybkością, hamowany niekiedy w swym pędzie przez splątane zarośla. Naraz przystanął. Przed nim na szerokości dwustu łokci rozpościerała się wodna powierzchnia; poruszył się świat żab, jedne porывwały się do skoku, inne między lotosami zawodziły starczymi, rozbitymi głosami; miesiąc rzucał długie drgające smugi światła.

Na przeciwny brzeg jęły wyskakiwać niewyraźne kształty ludzkie, wynurzały się jakby spośród wodorostów. Aun zwrócił się do nich:

— Syn Tura i syn Ziemi są sprzymierzeńcami Ludzi Leśnych!

Na ten potężny głos nieznanne istoty stanęły, by przyjrzeć się wołającemu. Następnie zaczęły wydawać ponure okrzyki i potrząsać swymi ostrymi kamieniami. Już zamierzały dalsze natarcie na południe, gdy z kolei pokazał się Rah. Przemówił do ludzi swego plemienia, wskazał na Auna kładąc ręce na jego piersi. Odpowiedziały skrzeczące głosy i gwałtowne ruchy rąk. Widzącymi w ciemnościach oczami dokładnie rozróżniali Lemuryjczyka i Ulhamra; dla Raha ani jeden z ich ruchów nie był stracony.

Wrzawa doszła do szczytu, gdy ujrzeni Wao z Żurem. Zapanowała przerwa.

— W jaki sposób Ludzie Włochaci przebyli moczar? — za wołał Aun.

Wahowi udało się wytłumaczyć to pytanie Wao, która śmiejąc się poszła na lewo i pociągnęła go za sobą. Wtedy pod przezroczystą tonią Zur ujrzał ciemniejszą smugę. Wao weszła do wody pograżając się powyżej kolan, powędrowała tym podwodnym szlakiem. Aun bez wahania poszedł za nią, Rah kroczył przed Żurem.

Na Lemuryjczyków napłynęła nowa fala lęku, w ślad za jedną z kobiet rzucili się do ucieczki. Przenikliwym głosem przemówił do nich Rah. Samiec, osobliwy wśród innych ze względu na krępą budowę, opamiętał się pierwszy; stopniowo wszyscy przestali umykać. Ustawili się długą łamaną linią.

Wylądowaniu Auna towarzyszył nowy popłoch — szybko przerwany. Rah dotarłszy do brzegu wysunął się naprzód. Krępy czekał. Chwila była przejmująca, oczy Lemuryjczyków zbiegły się na rosłej postaci Ulhamra. Niektórzy z nich spotykali Ludzi Ognia i pamiętali, że żaden z nich nie był tak ogromny. Przypominali sobie obrazy nieubłaganych pogromców. Rah po swojemu dodawał im otuchy i Krępy po chwili wzdragania zniósł dotknięcie dłoni Auna na swym ramieniu. Nadciągnął Zur, dawał znaki przymierza, których wyuczył się od Wao. Wtedy poryw radości ogarnął te biedne istoty, a może i niejasne uczucie dumy płynące z tego przymierza. Olbrzym był potężniejszy od wszystkich dotychczas napotkanych wojowników. Kobiety skupiły się koło Krępego. Aun śmiał się rozgłośnie i w śmiechu tym była radość hordy, tym miłsza po tylii dniach przeżytych z dała od Ulham-rów.

Koniec tomu pierwszego

Tom II

CZĘŚĆ PIERWSZA

Ludzie Ognia

Aun, Zur i ich sprzymierzeńcy dłuższy czas błądzili po puszczy. Pożywienie było obfite i zdobywało się łatwo. Lemuryjczycy bez trudu odnajdywali źródła, wyczuwali z daleka drapieżniki, wykopywali jadalne korzenie i wydobywali miąższ drzewny. Wiezorami, zebrani dookoła ogniska, zażywali radości bezpieczeństwa. Mała horda nie obawiała się napaści. Aun z Żurem obrobili maczugi i topory dla swych towarzyszy; ci po pewnym czasie posługiwali się nimi dość zręcznie. Pod wodzą Ulhamra gotowi byli porwać się na każdego drapieżnika. Tak jak małpy mieli dusze stworzone do życia gromadnego i zaufanie do przewodnika

mogło uczynić ich groźnymi. Aunowi wierzyli ślepo, miłowali go i podziwiali. Jego grzmiący głos wprawiał ich w radosny zachwyt. O zmroku, gdy miedziane blaski ognia pląsały po trawach lub rzucały snopy światła aż pod sklepienia drzew, zbierali się, szczęśliwi, wokół syna Tura. Wszystko, co ich przerażało w Ludziach Ognia, tu zamieniło się w poczucie bezpieczeństwa. Obecność Zura była im prawie równie miła. Poznali jego zmyślną! przebiegłość, wiedzieli, że olbrzym słuca jego rad,^v przy tym ro-i zumiał ich znaki i niewyraźne słowa. Mieli go poniekąd za równe-, go sobie i tak, jak swojego miłowali; natomiast w stosunku do Auna było coś w rodzaju czci...

W miarę posuwania się na południe Lernuryjczycy wykazy-! wali chwiejność, graniczącą nieraz z lękiem. Wao objaśniła, iż do-, chodzą do końca puszczy. Wędrowali po stokach, gorąco było coraz bardziej, palmy, liany, bananowce i bambusy stawały się liczniejsze.

Jednego popołudnia pochód ich został wstrzymany przez pio-j nowe niemal obsunięcie się ziemi. W rwącej dolinie szumiął wart-j ki potok. Po tamtej stronie brzeg znów się wznosił, był jednak niższy od tego, na którym zatrzymali się koczownicy. Dalej otwierała się sawanna poprzerzynana wysepkami drzew. Lernuryjczycy, długo przyczajeni wśród krzaków, badali przestrzeń drga*-; jącymi źrenicami. Zur, porozumiawszy się z Wao, rzekł do syna| Tura:

— Jest to kraina Ludzi Ognia!

Aun wpatrywał się z dziką ciekawością. Zur-
dodał:

— Gdy przybywają do puszczy zabijają Ludzi Włochatych A
pożerają tak, jak jelenia lub antylope!

W piersi Auna zawrzał gniew, przypomniał sobie Kzamów, tych Pożeraczy Ludzi, którym Naoh odebrał ogień.

Miejsce było dogodne na obozowisko. W skale znajdowała! się długa pieczara, łatwa do obronienia bądź to przed ludźmi, bądź to przed drapieźnikami; wychodziła na polankę, na której można było rozniecić ogień niewidoczny z oddalenia dzięki okalającej ją;

gęstwinie. Aun i Zur, wspomagani przez Lemuryjczyków, umocnili wejście do pieczary. Gdy nadszedł wieczór, była silnie zabezpieczona — mogła wytrzymać natarcie trzydziestu ludzi. ' Syn Tura rzekł:

— Aun, Zur i Ludzie Włochaci razem są silniejsi od Ludzi Ognia.

I zaśmiał się śmiechem niezwykłych — radość jego udzieliła się innym. Słońce, podwójne przez odbicie w rzece, płonęło, obłoki wypełniły się czarodziejską chwałą, stając się podobne do szkarłatnych skał północnej krainy Wahów, otwierały się na kwietne doliny i na siarczane otchłanie. W zapadającym mroku piękny również był ogień ogniska, świeży podmuch dopomagał mu pożerać korę i gałęzie; dla hordy piekł się cały jelen; Lemuryj-czycy, nauczeni przez Zura, prażyli korzenie, fasolę i grzyby.

Pod koniec posiłku Rah, siedzący w pobliżu zarośli, zerwał się na równe nogi wydając chaotyczne dźwięki. Ręką wskazywał przeciwległy brzeg.

Aun z Żurem weszli w gęstwinę i zadrżeli. Na lewo od ich obozowiska po tamtej stronie rzeki płonął ogień. Był jeszcze słaby, blask jego niepewnie sunął po konarach i gałęziach. Wreszcie ożywił się, buchnęły gwałtownie płomienie. Unosił się czerwony dym. Wzrastające płomienie walczyły z ciemnością, chciały ją pokonać, ich trzask rozchodził się po stepie. Przesuwały się jakieś postacie, to czarne, to miedziane, zależnie od tego, czy przecho-' dziły przed, czy poza ogniskiem.

Wszyscy Lemuryjczycy udali się za Aunem. Poprzez rozchylenia w gąszczu trwożnie przypatrywali się ruchom nieprzyjaciela, co chwila wstrząsał nimi dreszcz. W pamięci starszych odżyły popłochy ucieczek, rozplątane oszczepem lub toporem ciała towarzyszy.

Aun, pilnie śledząc, coraz lepiej dostrzegał, co się tam działo. Ludzie Ognia piekli duże kawały zwierzyny. Było ich siedmiu, samych mężczyzn; prawdopodobnie stanowili wywiadowczy oddział łowiecki. Ulhamrowie, Czerwone Karły, Kzamowie, a ongiś i Wahowie nieraz wysyłali podobne.

Jeden z mężczyzn hartował w płomieniu jakieś ostrze. Zdawali się nieświadomi, że drugie ognisko znajduje się w pobliżu. Obozowisko ich było położone niżej i zarośla tworzyły między nimi zasłonę prawie nieprzenikną. Lecz Aun wkrótce odgadł, iż coś ich zastanawiało, zwróceniu ku skalnej polanie uważnie patrzyli.

— Widzą łunę naszego ognia — powiedział Zur.

Ich spokój dziwił go. Może przypuszczali, że to drugie obozowisko było także zajęte przez ludzi z ich hordy. Zagadnął Wao Ta wskazała na rzekę, na jej bieg górny i dolny, i dała do zrozumienia, że przejście było gdzieś daleko. Prąd był tak wartki, że człowiek ani zwierzę nie mogli go przebyć wplaw. By dojść do wrogiego obozowiska, należałoby wędrować aż do rana. Jedną jak i druga strona miały na razie zapewniony spokój.

Aun długo jeszcze przyglądał się tym istotom, bardziej zbliżonym do jego rasy od Lemuryjczyków. Byli jednak podobniejsi do Kzamów niż do Ulhamrów. Z odległości dostrzegł krótkie nogi, piersi raczej głębokie niż szerokie, ich czaszki były węższe niż u Pożeraczy Ludzi, z ciężkimi paszczami i ogromnymi oczodołami.

— Ludzie Ognia nie napadną na nas tej nocy! — twierdził Aun. — Czy ośmielą się zaczepić nas jutro?

Jego mężne serce nie obawiało się walki, nosił w sobie wiarę w zwycięstwo. Lemuryjczycy, słabsi od wroga, przeważali liczebnością, poza tym Ulhamr polegał na własnej sile i przebiegłości Zura. Zapytał:

— Czy Ludzie Ognia mają włócznie i ości?

Wao po dość długim wysiłku zrozumiała pytanie zadane jej przez Zura, zwróciła się do najstarszego ze swych towarzyszy.

— Ciskają kamieniami! — odgadł odpowiedź z pomieszanych znaków zamienianych pomiędzy Lemuryjczykami.

— I nie umieją wydobyć ognia z kamieni! — radośnie podchwycił Aun.

Dostrzegł bowiem w pewnej odległości od ogniska dwa nikłe płomyki tłące się w klatkach kamiennych. Gdyby udało się zabić

ich ogień, jak to niegdyś wydarzyło się u Ulhamrów, zanim jeszcze Naoh przyniósł jego tajemnicę od Wahów, byłiby zmuszeni powrócić do hordy.

Noc przeszła spokojnie. Aun, sprawujący pierwsze czaty, mógł z łatwością mieć baczenie na wroga, gdyż księżyc zachodził później niż poprzedniej nocy, razem z nim czuwali dwaj Lemuryj-czycy. Nauczyli się być ostrożnymi i gdy czuli, że im coś zagraża, kolejno czatowali. Ze wszystkich niebezpieczeństw bliskość Ludzi Ognia podniecała ich najsilniej.

Gdy Auna zamienił Zur, księżyc już odszedł. Tam w dali ogień rzucał już tylko słabe blaski. Wojownicy spali z wyjątkiem jednego. Było widać, jak krążył w półmroku. Po jakimś czasie Zur przestał go odróżniać, ale oczy Raha przenikające ciemności śledziły go nadal. Ciągnęła się noc. Tysiące gwiazd zapadało na wschodzie, inne nadciągały w wędrówce ku szczytowi nieba. Jed-- na tylko czerwona gwiazda Małej Niedźwiedzicy trwała nieruchomo. Przed samym świtem opary rzeczne zaczęły spowijać przeciwny brzeg.

Obozowisko Ludzi Ognia przestało być widoczne.

Dzień rozpoczął się we mgłach. Poranny powiew czynił w nich wyrwy, wreszcie pochłonęło je słońce. Powoli okolica stawała się widoczna. Zarysowały się wierzchołki gór, a gdy poszarpane kłęby oparów rozwiały się całkowicie, ujrzano ich stoki pokryte bujną zielenią.

Z piersi Lemuryjczyków wydobył się krzyk, w którym brzmiała skarga. Ludzie Ognia zniknęli!

Popielisko i trochę poczerniałych głowni znaczyło miejsce ich postoju.

Niewidoczny wróg

Aun z towarzyszami spędzili większą część dnia na umacnianiu pieczary, chcieli ją uczynić niedostępną. Stosowane przez nich środki ostrożności, dostateczne, by chronić przed dzikimi zwierzętami, były niewystarczające, gdy chodziło o ludzi. Ulhamr i Wah wiedzieli, że Czerwone Karły i Kzamowie potrafią nieraz oblegać całymi tygodniami. Zamykanie się w pieczarze wobec liczego wroga równało się dobrowolnej śmierci; o ile jednak chodziło o jakiś dziesiątek przeciwników — naliczyli ich siedmiu — jaskinia mogła służyć jako zasadzka.

Po południu upolowali kilka antylop, których mięso miało

być suszone na słońcu i ogniu; Lemuryjczycy gromadzili zapasy roślinne.

Jednocześnie wszyscy zwracali baczną uwagę na otoczenie. Czynieo na polanę, zamknięty od południa rzeką i skałami, ze wschodu długą wydumą, a z zachodu trzęsawiskami, był ciężki. Pozostawała tylko droga przez bór położony za skałami, oddzielony jednak od nich pasmem ziemi łatwej do strzeżenia. Tak więc żaden niespodziewany napad nie był możliwy. By dotrzeć do schroniska drogą przez bór, musieliby Ludzie Ognia przebiec pięćset do dziewięciuset łokci pod sypiącymi się pociskami proc, włóczni i ości.

Do samego wieczora nic nie zdradzało, by wróg zbliżał się. O zmierzchu Lemuryjczycy rozbiegli się w promieniu trzech tysięcy kroków. Aun wspiął się na najwyższą skałę. Nie zauważono nic podejrzanego. Nieprzyjaciel, o ile nadszedł, nie podchodził blisko, Ulhamr uspokojony rzekł do Zura:

— Ludzi Ognia było tylko siedmiu. Odeszli!

Chciał przez to wyrazić, że widok dużego ognia musiał w nich wzbudzić przekonanie o liczniejszej obecności, a więc mogącej się obronić, gromady. Zur nie podzielał tej myśli. Bardziej przewidujący od Ulhamrów, a może nawet od wszystkich innych ludzi, zachował na skutek wytępienia Wahów przez Czerwonych Karłów niewygasającą nieufność. Odpowiedział:

— Nie przyszli, bo udali się do hordy po wojowników.

— Ich horda daleko! — utrzymywał beztroski Ulhamr. — Po co mieliby wracać?

— Zechcą przekonać się, co za nowi ludzie przebywają w puszczy, wszak wiedzą, że Ludzie Leśni nie umieją rozniecać ognia.

Odpowiedź ta zastanowiła Auna. Rozmieściwszy strażę tak, by uniknąć napaści zniemacka, objął jak zwykle pierwszą kolej czuwania. Jasny świetlany półksiężyc zachodził dopiero w połowie nocy. Okoliczność ta, sprzyjająca dla Auna, nie miała znaczenia dla Lemuryjczyków, którzy równie dobrze widzieli w nocy;

mrok dawał im nawet pewną przewagę. W ciszy nocnej dochodziły oddalone głosy żerujących drapieżników. Aun siedział u ogniska bez myśli i marzeń, czuwały jedynie jego zmysły. Trzej lemu-ryjscy czatownicy bardziej jeszcze od niego pogrążeni byli w o-drętwieniu, ale najłżejszy podejrzany wyziew byłby ich postawił na nogi. Ich słuch i nieomyłne, jak u rudych psów, powonienie zarzuciły na otaczającą przestrzeń swą czułą sieć.

Półksiężyc przebył już dwie trzecie swej drogi, gdy Aun uniósł głowę. Widząc, że ognisko zamieniło się w stos żarzących głowni, odruchowo dorzucił chrustu. Po czym, wietrząc dookoła, spojrzął na wartowników. Dwóch powstało, trzeci wkrótce uczynił to samo.

Od strony lasu dochodziły jakieś słabe wyziewy.

Były tak podobne do wyziewów Lemuryjczyków, że Aun począł przypuszczać bliskość łągów tego plemienia. Podszedł do Raha; ten stał drżący z nastawionymi uszami i szeroko rozwartymi nozdrzami. Gdy Aun znalazł się obok niego, wyciągnął rękę w kierunku puszczy i wybełkotał kilka niezrozumiałych dźwięków. Aun jednak zrozumiał. Chelejewie nadeszli!

Zaszyci w gąszczu widzieli ogień, widzieli Ulhamra, a sami pozostali niewidoczni.

Napaść zniemacka zdawała się niemożliwą. Dookoła jaskini ziemia była porośnięta trawą, gdzieniegdzie tylko jakieś samotne drzewo lub kępa krzaków przerywały jednostajność krajobrazu.

W srebrzystej, księżycowej poświacie ostry wzrok Auna chwycił wszystkie szczegóły otoczenia. Pierś jego wzbierała nieustraszonym męstwem, z trudem powstrzymywał wrywający się z gardła okrzyk bojowy. Zawrzała w nim nienawiść. Wszak Ludzie Ognia przeszli przez rzekę, otoczyli pustkowie po to, by napaść na obozowisko. Dawali tym dowód zawziętości, odwagi i wrogich zamierzeń.

Przed obudzeniem Zura obszedł polanę koło jaskini, usiłując dokładniej określić, skąd nadciągają wyziewy oraz liczebność przeciwnika. Trzymał w ręku procę, z ramienia zwieszały się dwie włócznie i ość. Pragnął wywabić Chelejów z głębi lasu,

rachując, że wobec przewagi miotanej broni zrani lub zabije wielu, mm zblizą się na tyle, by skutecznie móc ciskać kamie-; mami.

Lemuryjczycy, poczuwszy niezwykłą obecność, jęli wychodzić z pieczary jeden za drugim, towarzyszył im Zur. Dzięki Wao poznał od razu rodzaj niebezpieczeństwa.

Ró,śiy Ulhamr śledził to swoich sprzymierzeńców, to falujący gąszcz gałęzi. Ukrywający się tam mogli być w liczbie siedmiu..; Tu *iii* było ośmiu Lemuryjczyków mężczyzn, cztery kobiety, prawie równe im siłą, oraz Aun i Zur. O ile Lemuryjczycy okażą *ii* rwo — przewaga będzie po stronie sprzymierzonych. Ale było widbi *nc*, że większość jest tak przerażona, że nie wytrzyma silniejszego natarcia. Jedynie Krępy, Rah, Wao i jeden podrostek o żyv> yeti qczach wykazywali odwagę.

Czy wojownicy są równie liczni, jak wczoraj? — pytał ZIU".

■ Nie ma ich więcej! — odparł Aun. — Czy należy wydać: *akr:'*) *k* (sojowy?)

Zur przedkładał przymierze nad walkę. Odparł po chwili:

... Puszcza jest rozległa, żeru starczy dla wszystkich. Czy Zur może przemówić do Ludzi Ognia?

Pomimo podniecenia Aun ustąpił i Wah począł mówić miękko i śpiewnie: '

--- 'Syn Tura i syn Ziemi nigdy nie walczyli z Ludźmi Ognia. Nie są ich wrogami.

Bór stał cichy. Teraz przemówił Aun:

Syn Tura ubił Czerwone Zwierzę! Aun z Żurem pobili Tygrysa, posiadają maczugi, ości i włócznie. Jeżeli Ludzie Ognia chcą wojny, żaden z nich nie powróci do swej hordy!

Odezwał się tylko lekki podmuch wietrzyka. Koczownik po-' stąpił ku gęstwinie na sto kroków, głos jego zabrzmiał mocniej:

■•■-• Czy Ludzie Ognia nie chcą odpowiadać?

7J tej odległości lepiej wyczuwał wyziewy. I wiedząc, że jest śledzony, wpadał w coraz większy gniew. Bijąc się pięściami w piersi, wyl niczym wilk:

— Aun rozplata 'wasze piersi i brzuchy, rzuci wasze ciała hie nom na pożarcie...

Pod mrocznymi sklepieniami echo pochwyciło jakiś ryk. Ul hamr znów podszedł bliżej. Od pobrzeża boru dzieliła go przestrzeń zaledwie trzystu łokci. Zawołał na Zura, by nie szedł za nim, i groził:

— Syn Tura zgniecie wasze oblicza!

Miał nadzieję, że tamci, widząc go samotnym, ruszą do walki.

Wyziewy, przez chwilę jakby bliskie, oddaliły się. Wojownik postąpił jeszcze na sto pięćdziesiąt kroków i wyprostował swą wyniosłą postać; procą mógłby stąd miotać włócznie aż na skraj puszczy.

Wtedy odezwały się głośne nawoływania. Na lewo zza krzaka wysunęło się trzech ludzi. Ruszyli cwałem na ukos, by uniemożliwić Aunowi odwrót. Nie uszło to uwagi koczownika. Z drwiącym śmiechem cofał się powoli, gotując procę i włócznię. W tej samej chwili trzej inni przeciwnicy ukazali się z prawej strony. Serca Lemuryjczyków kurczyło przerażenie. Połowa gromady rozbiegła się, lecz Rah, Wao, podrostek o żywych oczach, Krępy i jeden ze starców trzymali się dzielnie i nawet Wao w pogoni za którąś z uciekających w przerażeniu kobiet porwała się w stronę puszczy.

Chelejowie usiłowali wspólnie zagrozić drogę Ulhamrowi. Lecz proca została puszczone w wir i włócznia wbiła się w ramię jednego z napastników. Zur z Rahem udali zamiar natarcia. Zdumieni odległością, z której miotał Ulhamr, zadziwieni widokiem Waha prowadzącego Lemuryjczyków, Ludzie Ognia, obawiając się zasadzek, odstępili.

Idącym z prawej strony udało się porwać Wao.

Pościg

Rah był załóżnie. Dla Auna myśl o uprowadzeniu Wao była nieznośna, równała się porażce. Nawet Zur zapomniał o zwykłej ostrożności. Rzucili się w pogoń.

Wiatr znosił wierzwy. W jakiś czas rozproszyły się zupełnie. Gdy je znowu zwietrzono, Ludzie Ognia oddalili się znacznie. Za śladem odnalezionym wśród gąszczy i trzęsawisk trudno było postępować, stał się wyraźny dopiero po licznych skrętach.

Wściekły zapal unosił Ulhamra. Ufny w swą zwinność, wy-

przedził znacznie towarzyszy. Zur i Rah z trudem podążali za nim. Krępy wykazywał dużo odporności i zawziętości.

Wreszcie wyziewy zaostrzyły się i ślad biegnący początkowo w głąb lasu skręcił ku rzece. Tu rozdzielili się i syn Tura, chwilę niepewny, wybrał ostatecznie kierunek, w którym wyziewy Wao mieszały się z wyziewami Chelejów. Las był teraz niniejsz, ukazała się polana porośnięta zeschłą trawą. Nagle błysnął płomień szybko biegnący po ziemi; Aun był zmuszony zawrócić do Zura. Usłyszeli ostry krzyk, pełen skargi. Ogień przeleciał, wybuchnął i zgasł.

Aun wraz z towarzyszami poszli na południe; ślad był zgubiony. Las przeszedł w ponure pustkowia. Wtem na wschodzie, w odległości dwóch tysięcy kroków, zamigotało słabe światło ogniska. Na kamieniu siedział, czuwając, wojownik. Zobaczywszy nadciągających porwał się z miejsca. Jednocześnie powstało sześciu innych, ciągnęli za sobą Wao. Jeden z nich siedł z trudem trzymając rękę na ramieniu.

Aun popędził ku nim, przebiegł około tysiąca pięciuset kroków i naraz z gniewnym okrzykiem stanął. Przed nim była otchłań, szerokie pęknięcie w ziemi, w którego głębi szumiały wody. Ludzie Ognia jęli wyć, natrzęsając się z niego.

Ognisko leżało- daleko, niemal czterokrotnie poza zasięgiem procy. Bezmierna rozpacz owładnęła koczownikami, okrzykiem nienawiści odpowiedział sztychującym wrogom.

Oni stali ufni w swe siły, liczniejsi i pełni pogardy dla sprzymierzeńców Auna. Lemuryjczyków uważali za mniej groźnych od wilków, Zur wyglądał nędznie ze swą budową i krótkimi rękami, jedynie rosły Ulhamr wprawiał ich w podziw. Lecz i oni, dotychczas niepokonani, czyż nie byli obdarzeni siłą Niedźwiedzia? Ich wódz, niższy od Auna, wyróżniał się szeroko rozwiniętą piersią i długimi rękoma zdolnymi zadusić Panterę. Zwrócił swą ogromną twarz ku synowi Tura, chichocząc złowieszczo.

Duże głazy, sterczące wokoło ogniska, znakomicie osłaniały stanowisko Chelejów. Mieli wszelkie warunki przewagi, brak im było jedynie broni miotanej. Aun, a bardziej jeszcze Zur doskona-

le zdawali sobie z tego sprawę, lecz obaj byli wzburzeni. Wah odczuwał pewną tkliwość w stosunku do Lemuryjki. Ulhamr nie mógł znieść doznanej porażki. Czekali na odpowiednią chwilę. Nadciągały ciemności. Czerwony miesiąc ginął w chmurach nagromadzonych na zachodzie, chwilami ciał ostry wiatr.

Syn Tura nagle coś postanowił, poszedł brzegiem przepaści i zagłębił się z powrotem w las. Tam stopniowo zwięzła się rozpadlina i w końcu nie pozostało z niej śladu.

— Pójdę naprzód — rzekł Aun do towarzysza — będziecie szli za mną, dopóki ogień będzie widoczny. Ludzie Ognia nie za skoczą Auna, ich bieg nie jest dość szybki.

Gdy znowu wyszedł na pustkowie, Chełejowie nie ruszyli się z miejsca. Trzech, stojąc pomiędzy głazami, uważnie badało okolicę, reszta pozostała przy ognisku. Wszyscy trzymali w pogotowiu oszczepy, topory i kamienie. Ujrawszy Auna zawyli jak rude psy, a wódz, wzniosłszy oszczep, uczynił ruch wyrażający gotowość do napaści. Ulhamr zwolnił kroku. Wiedział, że walka z tej odległości była niemożliwa, zawołał:

— Jeżeli oddacie nam Wao, pozwolimy wam wrócić na wasze obszary łowieckie!

Nie rozumieli jego słów, lecz znaki, jednakże u wszystkich prawie koczowników, jasno mówiły, iż żąda zwrotu porwanej. Odpowiedziały mu gburowate śmiechy. Wódz o głębokiej piersi chwycił Wao za włosy i uderzeniem pięści rozciągnął na ziemi. Po czym, wskazując na leżące ciało, ogień i własne szczęki, zaznaczył, że Chełejowie opieką i po*żrą kobietę.

Aun skoczył niby Lampart. Ludzie Ognia skryli się za głazami.

Tymczasem nadciągał Zur. Gdy towarzysze zbliżyli się na odległość rzutu procą, Wah powiedział:

— Niech Aun przesunie się bardziej na prawo, niektórzy z osłoniętych będą wtedy widoczni.

Ulhamr usłuchał rady. Dwaj Chełejowie, widząc, że zostali odkryci, chcieli się cofnąć. Świsnęła włócznia — głośna skarga przeleciała nad pustkowieciem.

Z kolei Wah puścił w ruch procę, drugi z Chelejów, ugodzony w udo, padł na ziemię.

— Ludzie Ognia mają już trzech rannych — donośnie głosił Ulhamr.

Czarną chmurą nadciągała burza; wiekuiste moce, zaklęte w ziemi i w niebiosach, otoczyły ludzi złowrogimi, nieuchwytnymi falami. Księżyc odszedł, pozostał jedynie zamierający płomień ogniska i oślepiające światło sinawych błyskawic. Chelejowie nie wychylali się spoza swych zasłon, obawiali się pocisków. Ulhamr, Wah i Lemuryjczycy rozumieli bezcelowość napaści na ukrytego za głazami wroga.

W tajemniczym poszumie burzy nastąpiła cisza. Wiatr nalegał na pustkowie, grzmotów nie było jeszcze słycać. Zwierzęta zaszyte w puszczy milczały. I nagle niby stado Żubrów ryknęły chmury, woda, pramatka życia, spłynęła ciężkimi kroplami. Chelejów ogarnął szal, zagaśnie ich ogień. Nie mogli czuwać nad klatkami, w których go przechowywali.

Wódz wydał rozkazy. Z głośnym okrzykiem Ludzie Ognia rzucili się naprzód. Czterech, z których dwóch było rannych, zwróciło się ku Żurowi i Lemuryjczykom. Barczysty wódz i najsilniejszy z wojowników skoczyli w stronę Auna. Dwie włócznie przeszły powietrze, potem jeszcze dwie, ale ciemności i bieg napastników sprawiły, że nie osiągnęły celu. Aby zyskać czas niezbędny dla miotania ością, Aun cofnął się ku rzece, Zur zaś i Lemuryjczycy — w kierunku puszczy.

Ości zadały tylko lekkie zadrażnienia, Chelejowie, wyjąć zwycięsko, przyśpieszyli biegu. Ulhamr jeszcze ustępował, Wah tymczasem zbliżał się do zarośli. Nagle puściły się z niebios strumienie wody niby tysiące wodospadów! Płomień ogniska począł drgać. W obozowisku jedynie wojownik ugodzony w udo pozostał dla ochrony klatki z ogniem.

Zur z towarzyszami został otoczony. Najmłodszy z Lemuryjczyków, przejęty trwogą, chciał ukryć się na drzewie — uderzenie oszczepem otworzyło mu brzuch, krzemień zmiażdżył skroń. Rah i Krępy bronili się maczugami zrobionymi dla nich przez Ulham-

ra. Zur toporem rozciągnął Chelejczyka ranionego poprzednio w ramię, lecz indy, zaszedłszy ukradkiem od tyłu, chwycił Waha za kark i cisnął o ziemię.

Skoro Aun spostrzegł, że od napastników dzieli go już tylko piętnaście, kroków, dał trzy susy w ich stronę stając do walki z maczugą.

Pierwszym uderzeniem strzaskał oszczep, drugim rozwalił jakąś czaszkę. Wódz Chelejów i Ulhamr znaleźli się oko w oko. Obaj byli potężnej budowy. Wódz przypominał Niedźwiedzia i zarazem dzika. Kędzierzawe kudły pokrywały jego tułów, okrągłe oczy ciskały płomień. Aun przewyższał go wzrostem i szerokością piersi, niepodobnej do żadnej piersi zwierzęcej, osadzony prosto 'na krągłych udach, trzymał oburącz maczugę. Oszczep przeciwnika obrobiony z hebanu, ciężki i ostry, z łatwością mógł rozplatać ciało i zmiażdżyć kości.

Chelej rozpoczął walkę, jego broń musnęła syna Tura. Zawirowała maczuga. Trafiała w pustkę, równocześnie z rozwartych ust Chelej a wydobył się pomruk, straszne oblicze wyrażało nienawiść, żądę mordu i wyzwanie.

Odskoczyli od siebie i przez chwilę śledzili wzajemnie. Otaczała ich mgła deszczu. Obaj w rozlegających się grzmotach i drganiach ziemi wyczuwali zbliżanie się śmierci.

Teraz natarł Aun. Maczuga puszczona w ruch, rozdarła płową pierś Cheleja, podczas gdy ostry koniec oszczepu rozorał ramię Ulhamra. Splątały się bronie. Oszczep dotknął piersi Auna w chwili, gdy ten cofał się. Krew broczyła z dwóch ran. Aun, wydając okrzyk bojowy, jedną ręką chwycił oszczep przeciwnika, drugą — zadał cios. Chelej ugodzony w czaszkę, znieruchomiał, drugie uderzenie złamało mu obojczyk, następne — zmiażdżyły żebra.

Ogień zagasł zupełnie, ciemności wypełniły przestrzeń, błyskawice coraz rzadsze i mniej jaskrawe z trudem przebijały opary. Aun na próżno szukał Zura i Lemuryjczyków, burza rozpraszała wszelkie wyziewy.

Zawołał:

— Gdzie ukrywa się Zur? Syn Tura pobił wrogów!

Z głębi puszczy odpowiedział mu oddalony pomruk, wcale niepodobny do głosu Człowieka Bez Ramion. Aun szedł po o-macku, pędził jedynie przy świetle błyskawic. Gdy znalazł się na pobrzeżu puszczy, wychyliła się postać Raha i wnet wsiąknęła w cień. Lemuryjczyk coś bełkotał — Aun pojął, że Wah znikł. Chwilami, gdy jaśniała błyskawica, spostrzegał jakiś znak, bardziej wymowny od słów. Potem przyłączył się do nich Krępy. Tłumaczenia jego były jeszcze mętniejsze od poprzednich.

Niepodobieństwem było cokolwiek przedsięwziąć. Nieprzebrane potoki deszczu otaczały ludzi, czuli się słabi jak owady przyczajone pod listowiem lub w popękanej korze drzew. Mocarny Ulhamr przeżywał chwile wielkiej boleści. Z piersi jego wyrywały się gromkie skargi i gwałtowne łkania. Łzy mieszały się z deszczem. Całą przeszłością był związany z Żurem. Kochał go od chwili, gdy-, ten wraz z Naohem przywędrował z krainy Czerwonych Karłów. A ponieważ Zur przedkładał go nade wszystko, więc i on wołał syna Ziemi od innych. Od czasu do czasu rozlegały się jego nawoływania, ramionami wstrząsał dreszcz nadziei. v

Mijały godziny, deszcz ustał, na wschodzie ukazało się blade światło. Można było odróżnić Człowieka Ognia, zabitego przez Zura i młodego Lemuryjczyka z wyprutymi jelitami. Znaleźli też ciała wodza i wojownika, których powalił Aun. Koło zgaszonego ogniska odnaleźli jęczącego młodego Cheleja z przebitym udem i Wao, skurczoną za głazem. Leżała tak długo nieprzytomna, że nie słyszała nawoływań Auna i Raha. Osłabiona i drżąca, ujrawszy swego towarzysza z Aunem, zaśmiała się chrapliwie.

Chelej padł na ziemię przed synem Tura, błagał o życie. Łagodność, którą Ulhamrowie zarzucali Aunowi, skłoniła go, by okazać łaskę. Lecz w tej chwili dwie maczugi Lemuryjczyków spadły na leżącego, zmiażdżyły mu kark i otworzyły czaszkę. Aun oburzył się — wiedział jednak, iż takie jest prawo wojny.

Wao lepiej od Raha przyswoiła sobie pewną ilość znaków, używanych przez Ulhamrów i pamiętała parę słów, zasłyszanych od Zura. Wysłuchawszy Lemuryjczyków dała do zrozumienia

Aunowi, że Chelejowie uprowadzili syna Ziemi w głąb puszczy. Z powodu deszczu nawet oni niewyraźnie i jeno przez chwilę widzieli uprowadzenie, przy tym Rah i na wpół omdlały od ran Krępy zabłądzili. Los Waha pozostawał niewyjaśniony, nadzieja i rozpacz na przemian ogarniały Auna. Cały ranek szukał śladów. Brak takowych na dalszej przestrzeni nie znaczył jeszcze, że go zabito.

Lemuryjczycy rozbiegli się na różne strony, powracali też ci, którzy wczoraj uciekli. Bezcenna była pomoc tych wnikliwych oczu i wrażliwych powonień. Utworzyli dwa oddziały, jedni udali się w górę, a drudzy — w dół rzeki, mieli-ją przejść w bród, syn Tura poszedł z pierwszymi. Wędrowali przez dwie trzecie dnia i przebyli rzekę. Nagle Wao radosnym piskiem oznajmiła, że ślad został odnaleziony. Na rozmazanych glinach widoczne były odbicia stóp, stwierdzono obecność Zura.

Radość zapanowała w sercu Ulhamra, szybko jednak rozwiała się. Trop nie był świeży. Chelejowie przeszli tędy wczesnym rankiem, dogonić ich nie można było przed następnym dniem. Chyba że Aun pośpieszyłby sam. Lemuryjczycy nie byli w stanie tak szybko podążać za nim. Sprawdził stan swych broni, miał trzy włócznie zabrane z pola walki, dwie oście, topór i maczugę. Nie zapomniał też o krzesiwie.

Stał chwilę z bijącym sercem, pełen niepojętej tkliwości dla tych słabych, źle uzbrojonych ludzi o ledwie kształtującej się mowie i pierwotnych znakach, którzy razem z nim polowali, żyli u jego ogniska, i z których wielu wykazało tyle odwagi w walce z napastnikiem. Przemówił łagodnie:

— Rah, Wao i Ohn są sprzymierzeńcami Ulhamrów, ale Ludzie Ognia wyprzedzili nas i biegną szybko. Jeden tylko Aun może ich dogonić.

Wao zrozumiała go i wyjaśniła innym. Ponury smutek zacią^v żył na Lemuryjczykach.

Gdy Aun zaczął wspinać się po zboczu, Wao rozplakała się, a Rah skarżył się głosem ranionego rudego psa. Podążali za nim aż na szczyt płaskowyżu. Ulhamr gnał jak wilk. Wołania Lemuryj-czyków biegły za nim. Zatrzymał się i rzucił na pocieszenie:

— Syn Tura zobaczy znowu Ludzi Włochatych!

I popędził dalej. Niekiedy ślad zacierał się, by za chwilę stać się znów wyraźniejszy. W miejscach, na których uciekająca przed nim banda przystawała, ziemia była silniej przesiąknięta jej wyziewami i Aun odróżnił garście traw, które Zur długo trzymał w ręku i rzucił potem na szlak. Ulhamr poznawał w tym przedziwną chytrą Waha. Dziwiło go, że Chelejowie pozostawili przy życiu Zura, który jako mniej chyży utrudniał im odwrót.

Biegł cały dzień prawie bez przerwy, dwa krótkie postoje stanowiły cały jego wypoczynek. Nawet wieczorem nie zaprzestał poszukiwań przy blasku księżyca i gwiazd. Ślady ukazywały się coraz świeższe. Jednak gdy znużony legł pośród skał, daleko był jeszcze od uciekających.

O świcie okrążył małe jezioro i wszedł w puszcę. Niejednokrotnie miał wątpliwości, kilka razy pobłądził, ale w połowie dnia, kiedy zamierzał wytchnąć, przejął go dreszcz. Ślad stał się zupełnie wyraźny, ale liczba Chelejów zdwoiła się, widocznie jakiś mały oddziałek będący na łowach przyłączył się do tych, którzy uprowadzili Zura. Aun mógł nawet określić drogę, którą nadeszli. Miał teraz sześciu przeciwników do pokonania, przy tym zbliżał się prawdopodobnie do ziem hordy.

Wszyscy Ulhamrowie, z wyjątkiem Auna i Naoha, zaprzestałyby pogoni. Uczucie przyjaźni, silniejsze od wszelkiej ostrożności, przeważało w nim — ufał też swej szybkości równej szybkości osłów stepowych. Chelejowie o krótkich nogach nie dogoniliby go nigdy!

Płynęły godziny. Wieczór zapadał, a wszystkie jego usiłowania pozostały daremne. Wtedy znużony, smutny, usiadł, nie chciało mu się nawet rozniecić ognia.

Po krótkim odpoczynku ruszył dalej. Okolica była nierówna, następowały po sobie polany i zarośla. Niespodziewanie doszły go wyziewy, które wzmacniał sprzyjający powiew. Poznawał, że pochodziły od Ludzi Ognia, lecz uderzyła go pewna ich odrębność. Nie zdradzały obecności Zura.

Przesuwał się ostrożnie między krzakami i bambusami, czół-

gał się wśród wysokich traw i znalazł się w pobliżu tych, których szukał. Niespodziewany groźny pomruk przyprawił go o wstrząs, dwie pionowe postacie, których obecności nie zdradził wiatr znośzący wyziewy, stanęły przed nim.

Odkryto go. Trzeba było przyjąć walkę. Księżyc będący w pełni doskonale oświetlał kształty ludzi. Aun poznał, że nie byli to mężczyźni, lecz kobiety. Krępe, o krótkich nogach, szerokich piersiach i mocnych szczękach Chelejów, trzymały w rękach długie, ciężkie oszczepy.

W hordzie Ulhamrów kobiety rzadko posługiwały się bronią. Widział Lemuryjki, równe prawie w walce z mężczyznami, jednak zadziwiła go groźna postawa tych kobiet. Widok ich nie obudził w nim gniewu, przemówił przyjaźnie:

— Aun nie przyszedł tu, by zabić kobiety...

Słuchały... Ich skurczone twarze wypogadzały się stopniowo. By uspokoić je jeszcze bardziej, syn Tura począł się śmiać. Podchodził wolno z opuszczoną maczugą. Jedna z kobiet cofnęła się i dała susa, wnet obie popędziły cwałem, »gnał je strach, a może pragnienie uprzedzenia swoich. Ale krótkie ich nogi nie mogły iść w zawody z nogami Ulhamra. Dopędził je i wyprzedził. Wówczas, stanąwszy ramię przy ramieniu z gotowymi oszczepami, czekały...

Potrząsnął niedbale maczugą i szeptał:

— Maczuga z łatwością strzaskałaby oszczepy.

-Ruchem wyrażającym raczej trwogę niż wrogie zamiary, jedna z kobiet nadstawiła broń. Aun wyrwał ją, połamał groty, lecz sam nie nacierał, ciągnął dalej:

— Czemu walczyacie przeciwko synowi Tura?

Pojęły, że nie będzie się mścił, patrzyły zdumione i coraz bardziej ufne. Ta z kobiet, która nie wszczyniała walki, opuściła pszczep i dała znak pojednania, wkrótce to samo uczyniła druga. Po chwili oddaliły się; Aun, wierząc w swą siłę i zręczność — poszedł za nimi. Tak, we troje, idąc pod wiatr, przeszli koło czterech tysięcy kroków. Dotarli do miejsca porośłego paprocią i tu w księżycowej poświacie Ulhamr ujrział więcej kobiet. Na widok

mężczyzny zerwały się wymachując rękami, podniósł się wrzask.

Aun zaniepokoił się możliwością zasadzki, zdołałby jeszcze uciec, lecz z głębi duszy wypłynęła obojętność, zrodzona z samotności, bezmiernego utrudzenia i bóleści. Gdy powrócił niepokój, stał już w obozowisku otoczony kobietami.

Było ich dwanaście razem z tymi, które przyprowadziły koczownika. Kilko dzieci kręciło się między nimi, dwoje czy troje; zupełnie drobnych, spało opodal. Kobiety, po większej części młode, posiadały silną budowę i potężne szczęki. Widok jednej z nich wstrząsnął Aunem, miała bowiem gibką postać cór Gamli, najpiękniejszych wśród Ulhamrów. Lśniaca grzywa spływała na jej ramiona, zęby miały połysk kości słoniowej. Serce wojownika przepeliła jakaś moc słodka a lękliwa; fala jaskrawych wspomnień zlała się ze świeżym obrazem tej obcej dziewczyny.

Kobiety zacieśniły swój krąg. Przed nim stanęła wojownica o muskularnych ramionach i szerokich barach. Stanowczość i siła były z jej oczu błyszczących i surowej twarzy. Pojął, iż pragnie zawrzeć z nim przymierze, a ponieważ nie znał plemion, w których kobiety i mężczyźni tworzyli oddzielne hordy, wzrokiem szukał samców. Nie dostrzegając ich, dał znak zgody. Wówczas zaśmiały się radośnie, czyniąc przyjazne ruchy rękami; rozumiał je lepiej niż Lemuryjczyków.

Nie przestawały okazywać zdumienia. Dotychczas nie spotkały wojownika o podobnej postawie i mowie, tak różnej od ich gwary. Znały jedynie trzy gatunki ludzkie: Chelejów, na których oddział łowiecki natknął się Aun, a którzy uprowadzili Zura, Lemuryjczyków, widywanych rzadko — i z którymi nie walczyły, wreszcie mężczyzn swego plemienia, żyjących oddzielnie. Zawieraniu związków między nimi towarzyszyły dzikie obrządki. Aun, nawet należąc do ich plemienia, nie byłby przyjęty do hordy bez srogich prób. Lecz w tym wypadku rozstrzygnęła osobliwość przygody i groza przeżywanego okresu. Połowa wojownic wyginęła skutkiem klęsk lub pod ciosami Chelejów, większość dzieci wymarła.

Poza tym utraciły ogień, błąkały się nędznie po świecie, przy-

gnębione poczuciem swego upadku i przepelnione nienawiścią dla swych wrogów.

Przymierze z tym roslým i silnym jak Tur obcoplemieńcem radoowało je niezmiernie. Zgromadzone koło niego długo usiłowały porozumieć się z nim i ostatecznie doszły, że szuka towarzysza, którego ślad zagubił. Chętnie wyobrażały sobie, że przeciwnikami Ulhamra byli ci sami, znieawidzeni przez nie ludzie.

Syn Tura, domyślając się, że zniszczono ich ogień, zaczął zbierać suche trawy. Przy pomocy wici i krzesiwa powołał do życia płomień. Najmłodsze kobiety z okrzykami zachwytu skakały dookoła, wymawiając słowa, które powtarzane chórem tworzyły rodzaj pieśni. Gdy czerwone życie objęło gałęzie, wpadły w szał. Jedynie dziewczyna o smagłych licach nie krzyczała, wpatrywała się w ogień i w koczownika, gdy mówiła, głos jej był cichy, jakby zalękniony i dziwnie pociągający.

Na przyłdku jeziora

Aun nie przestawał co rano poszukiwać śladów Zura. Kobiety, z każdym dniem ufniejsze, podążały za nim. Powtarzanie tych samych czynności i znaków doprowadziło je do jasnego zrozumienia usiłowań Ulhamra. On również oswajał się z ich sposobami porozumiewania się i z mową. Jego siła i zręczność zdumiewały je, podziwiała też broń, szczególnie ości i włócznie, które z oddali zabijały zwierzęta. Osłabione biedą i klęskami, pokornie gromadziły się koło tego nieznanego, słuchały go chętnie. Pomoc ich nie była do pogardzenia. Cztery z nich przewyższały Zura budową, zręcznością i szybkością, wszystkie wykazywały dużą odpór-

ność na zmęczenie. Matki bez trudu nosiły przez cały dzień swe dzieci. Podrostki i dziewczęta posiadały wytrzymałość szakali.

Słodycz wieczorów i poranków zamącała jedynie nieobecność Waha. Gdy Aun krzeszał ogień, kobiety zawsze jednakowo okazywały radość — i to szczęśliwe wzruszenie podobało się dużemu Ulham-rowi. Szczególnie lubił patrzeć na odbicie szkarłatnych płomieni w jasnych oczach długowłosej Dzei. Marzył, by wraz z nią powrócić do rodzinnej hordy.

Po kilku dniach wspólnej wędrówki okolica stała się jeszcze mniej zadrzewiona, ciągnął się step, gdzieniegdzie przerywany gęstymi krzakami, gajami i rozrzuconymi zaroślami. Zapuscili się weń, myśląc, że natrafią na wyniosłość, z której będą mogli zbadać okolicę. Ku środkowi dnia, w porze wypoczynku, jedna z kobiet idąca bardziej na wschód, zawołała na swe towarzyszek. Zbędnymi okazały się wszelkie tłumaczenia, poznali wszyscy zgliszczą ogniska.

— Ludzie Ognia! — rzekł Aun.,

Kobiety zdawały się być bardzo przejęte. Ukr, dowodząca nimi, zwróciła się do Auna, gniewnie poruszając rękami. Pojął, iż Chelejowie byli wrogami jego towarzyszek. Oni to zdziesiątkowali ich hordę i prawdopodobnie zabili sprzymierzonych z nimi mężczyzn, których od jesieni nie widzieli.

Ślad obozowiska był sprzed kilku dni, wszelkie wonie rozproszyły się. Po długich badaniach upewnili się, że oddział nie był liczny, nic nie wykazywało obecności Zura. Jednak dzięki pewnym drobnym wskazówkom Aun z towarzyszkami mogli zarządzić dalszy pościg. Trop stawał się wyraźniejszy, a postępować za nim było tym łatwiej, że Chelejowie kierowali się wprost na północ. Dwa razy jeszcze natrafili na spopieliałe zgliszczą, świadczące o niedawnym postoju.

Na trzeci dzień młoda kobieta, wyprzedzająca resztę hordy, zwróciła się do pozostałych, przywołując ich głośno. Zbliżywszy się, Aun ujrzał na miękkiej ziemi odbicie ludzkich stóp, było ich kilkanaście i między nimi z radosnym dreszczem rozpoznał ślad Zura. Dalsza pogoń nie przedstawiała trudności. Tego wieczoru

szli dalej pomimo mroku — księżyc jeszcze się nie ukazał — spomiędzy kobiet dwie widziały w ciemnościach, jednak nieco słabiej od Lemuryjczyków. Pasma wzgórz zagroziło im drogę. Pięli się na najwyższe z nich i w połowie drogi Aun w napotkanym wyłobieniu rozpałił ognisko.

Kobiety zabrały się do pieczenia poćwiartowanego jelenia, którego upolował Aun. Mała horda, czując się spokojna w tym schronisku, cieszyła się obfitością pożywienia i jaskrawym życiem płomieni.

Była to chwila szczęścia, jedna z tych, które pozwalają zapomnieć o srogich prawach walki i zasadzkach świata.

Ulhamr poddałby się chwilowemu urokowi wieczoru, gdyby miał przy sobie Zura. Dżeja o wielkich oczach siedziała obok niego. Miał nadzieję, że Ukr, kobieta-wódz, odda mu ją na własność. Surowa dusza Ulhamra pełna była wewnętrznej tliwości. Przy Dzei czuł jakiś nieokreślony lęk, który przyspieszał kołatanie jego serca. Pragnął być dla swej towarzyszki tak łagodny, jak Naoh dla Gamli.

Po skończonym posiłku, kiedy dzieci i najbardziej znużone z gromady zasnęły, Aun jął wdrapywać się na górę. Ukr poszła za nim, to samo uczyniła Dżeja i trzy inne wojownice. Zbocze nie było zbyt strome, wkrótce stanęły na wierzchołku. By widzieć przeciwległy stok góry, trzeba było przedrzeć się przez zarośla. Pod gwiazdnym niebem roztaczała się rozległa równina, a w dole, u ich stóp, lśniła migotliwa powierzchnia jeziora.

Na północnym brzegu płonęło ognisko, na nim skupiła się cała uwaga syna Tura. W prostej linii oddalone było o cztery do pięciu tysięcy kroków, ale by dostać się do niego, należało okrążyć jezioro, przebyć istniejące może przeszkody.

Wiatr wiał od południa, co pozwalało niepostrzeżenie podejść do samego prawie obozowiska. Trzeba było koniecznie uczynić to przed wschodem księżyca. Tak szybko mógł się tam dostać jedynie Aun.

Przypatrywał się ogniovi i krzątającym się wkoło niego postaciom, to purpurowym, to czarnym. Naliczył ich pięć. Ulhamr

odróżniał od pozostałych Waha siedzącego od strony jeziora i jeszcze jednego mężczyznę leżącego w pobliżu. Przemówił więc do Ukr:

— Aun podejdzie do Ludzi Ognia i zażąda oswobodzenia. Zura!

Ukr zrozumiała i odparła:

— Nie oddadzą go! Syn

Tura rzekł jeszcze:

— Zabrali go jako zakładnika z obawy przed Aunem.

— Gdy nie będą mieli zakładnika obawiać się będą jeszcze więcej.

Koczownik stał przez chwilę w niepewności. Rozwagał sposoby uwolnienia Zura. Mógł to uczynić przechytrzając przeciwnika, względnie gwałtem lub łagodnością. W każdym jednak razie trzeba było podejść do obozowiska Chelejów.

— Aun musi wydostać od nich swego towarzysza — rzekł ponuro. '

Ukr rozumiała to równie dobrze jak on. Nic nie odpowiedziała. Ulhamr dorzucił jeszcze:

— Aun musi zbliżyć się do ogniska!

— Ukr i Kobiety-Wilczyce pójdą za nim.

Aun przeciągłym spojrzeniem objąwszy równinę dał znak zgody i dorzucił:

— Syn Tura będzie tam oczekiwać przybycia kobiet. Pójdzie sam, ale Ludzie Ognia nie dorównają mu w biegu, on zaś może ich razić z odległości.

Ukr rozkazała najmłodszej z wojownic wezwać pomoc. Ulhamr schodził już na równinę. Pochyłość była łagodna, gładka, bez rozpadlin, porośnięta trawami. Gdy zstąpił na równinę, wiatr znosił jego wzywy ku północy, a falistość powierzchni sprzyjała jego zamierzeniom. W trwających jeszcze ciemnościach Aun szybko znalazł się na tym samym brzegu jeziora co Chelejowie o mniej niż tysiąc kroków od ich obozowiska. Kępy drzew, wysokie trawy i kilka pagórków pozwoliły mu postąpić jeszcze o czterysta kroków, dalej był już zupełnie odkryty step. Nic już nie mogło

ukryć jego ruchów przed wnikliwym wzrokiem wroga. Ogarnięty obawą o Zura, nie o siebie, znieruchomiał wśród otaczającej go roślinności. Co uczynią Chelejowie, gdy go dostrzegą? Zabiją Waha, czy też przeciwnie, oszczędzą go, by zapewnić sobie zmiłowanie? A jeżeli ofiaruje im przymierze, czy nie będą zeń szydzić?

Zastanawiał się długo. Tymczasem w głębi sawanny ukazał się zamglony czerwony księżyc. Pięciu Chelejów ułożyło się do snu, szósty czuwał, od czasu do czasu powstawał i z wytężonym słuchem, drgającymi nozdrzami i ruchliwymi źrenicami badał otoczenie. Po drugiej stronie ogniska, koło jeziora czuwał również Zur. Chelejowie nie zwracali uwagi na jeńca, był słaby, powolny, nie mógł myśleć o ucieczce.

W głowie Auna zrodził się pomysł dziwnie nęcący. Pamiętał, że Zur, mało szybki w biegu, był jak wszyscy zresztą Ludzie Bez Ramion doskonałym pływakiem. W rzece i na bagnisku prześcigał nazwinniejszych Ulhamrów, nurkował jak krokodyl i mógł długo pozostawać pod wodą. Tak więc dopadłszy jeziora mógłby z łatwością przepłynąć na tamten brzeg, niezbyt w tym miejscu oddalony. On zaś wciągnie napastników w bój. Trzeba tylko, by Wah go dostrzegł i zrozumiał dany znak, najmniejszy fałszywy krok uniemożliwiłby ratunek.

Otóż z powodu kierunku wiatru Chelej najczęściej zwracał się w stronę krzaka, za którym ukrywał się syn Tura. Nad sawanną płynął księżyc, coraz wyraźniejszy i bardziej świetlany. Szalone zniecierpliwienie rozsadzało pierś wojownika, ogarniała go już rozpacz, gdy wtem od południa grzmiący ryk przeszył ciszę. Na wzgórzu zarysowała się postać Lwa. Wartownik skoczył, porwali się inni Chelejowie i skupieni koło ogniska zwrócili twarze ku drapieżnikowi.

Zur prawie nieruchomy rzucał wzrokiem we wszystkich kierunkach.

Nagle ukazał się Aun, wyciągniętą ręką wskazywał jezioro. Chwila była sprzyjająca, odległość trzydziestu kroków dzieliła Waha od najbliższej stojącego Cheleja, wszyscy oni zajęci byli płowym zwierzem.

Jeziro znajdowało się o jakieś dwadzieścia kroków od Zura. Jeżeli w odpowiednim momencie zerwie się do biegu, dopadnie -wody prędeż od któregokolwiek ze swych wrogów.

Człowiek Bez Ramion ujrzał Auna. Niepewny, olśniony, chylkiem zamierzał ruszyć w stronę krzaka; Aun po raz drugi wskazał jeziro. Wah zrozumiał i zrazu jakby niedbale; potem dużymi susami rzucił się ku wodzie.

Gdy się w nią pogрузzył, obejrzał się jeden z Chelejów. Był bardziej zdziwiony niż zaniepokojony, zawiadomił towarzyszy dopiero wówczas, gdy ujrzał oddalającego się od brzegu Zura. Dwóch wojowników popędziło za nim. Jeden z nich daremnie usiłował doń podpłynąć, powrócił na brzeg i jął ciskać kamienie. Lecz Wah płynący pod wodą stał się niewidoczny.

Bliskość Lwa kępowała ruchy oddziału. Do pogoni wyznaczono tylko jednego wojownika, który miał okrążyć część jeziora i nieomylnie spotkać się z Żurem, słabym, bezbronny, powolnym, a więc łatwym do pojmania.

Na widok zbliżającego się wojownika Aun, sam niewidoczny, zaśmiał się cichym, szyderczym śmiechem. Tamten nadbiegał, znaleźli się oko w oko. Aun był gotowy do walki. Chelej należał do tych, którzy walczyli podczas nocnej burzy. Z przerażeniem poznał rosłego koczownika, który zabił ich wodza i z ostrzegawczym krzykiem pocwałował z powrotem do swoich.

Syn Tura, niespokojny o los towarzysza, nie pobiegł za wojownikiem. Zawrócił i ruszył do miejsca, gdzie zmierzał jego przyjaciel. Wah nie dopłynął jeszcze do brzegu, było widać, jak płynął węzowymi ruchami. Gdy wylądował, Ulhamr podniósł go pomrukując radośnie. Przez chwilę stali zapytrzeni jeden na drugiego, uniesieni dokonany czynem. Wreszcie Aun obwieścił zwycięstwo:

— Aun z Żurem drwią z Ludzi Ognia.

Lew oddalił się. Chelejowie spoglądali jeszcze jakiś czas na pagórek, po czym na znak wodza pośpieszyli na północ.

— Biegną prędeż od Zura — smutnie rzekł Wah — ich wódz siłą dorównuje Lampartowi!

— Aun nie lęka się ich... mamy sprzymierzeńców!
Pociągnął za sobą towarzysza, a kiedy ścigający dobiegli do zakrętu, na wzgórzu podniosła się wrzawa. Były tam Ukr i siedem Kobiet-Wilczyc. Chelejowie zniechęceni zaprzestali pogoni. Kobiety zeszły do Auna i Ukr przemówiła:

— Jeżeli nie pozabijamy Ludzi Rudych Psów, powrócą ze swą hordą.

Kilkakrotnie powtarzała słowa i znaki, wreszcie zrozumiał ją.

— Czy mówili o swojej hordzie? — spytał Waha.

— Jest oddalona o dwa dni pochodu.

A popatrzwszy na kobiety dodał:

— Jeżeli ich teraz napadniemy, zabiją w walce kilka kobiet, a niektórym z nich uda się wymknąć i sprowadzić hordę.

Ulhamr czuł wrzenie własnej krwi, lecz obawa ponownej utraty towarzysza wstrzymywała go od decyzji zaatakowania Chelejów. Był też skłonny do pobłażliwości — bo wszak Chelejowie nie zabili swego jeńca.

Ucieczka przed Chelejami

Aun, Zur i kobiety uciekali. Horda Chelejów już od tygodnia gnała za nimi. Pierwsza dojrzała ich jedna z kobiet i dała znak o tym. Aun ze szczytu skalnego naliczył trzydziestu ludzi. Z powodu Waha musieli biec wolniej, ale Ukr znała kręte ścieżyny poprzez puszcę i moczary, Zur zaś wynajdywał sposoby zmylenia pogoni. Ile razy przecinała im drogę płytka bieżąca woda, szli jej korytem w górę lub w dół. Kilkakrotnie Aun czy Ukr podpalali suche trawy na miejscach, przez które przechodzili. Toteż Chelejowie często tracili ich ślady; liczni i zawzięci rozszypywali się, by

je odnaleźć. Ósmego dnia oddział przeprowił się przez pocok, na którego brzegu Aun rozstał się z Lemuryjczykami. Ulhamr chciał skierować się w górę potoku, Ukr wskazała drogę pewniejszą. Zwrócili się więc ku południowej stronie płaskowyżu.

Nastał nów. Chelejowfe nie pokazywali się i postój był radosny. Znajdowali się w dżungli, uciekając bowiem kierowali się ku równinie, zbliżali się do rzeki. Wyniosłe bambusy okalały polanę, było jeszcze widno. Mężczyźni i kobiety przygotowywali stos oraz schronisko z cierni, lian i łądyg. Na niebie bursztyn jutrzeński ustąpił purpurze, łagodny i dobrotliwy podmuch wiatru ulatywał pod obłoki, szumiała niezliczona roślinność i dusza Auna pełna była niewysłowionego spokoju. Z jednego źródła wypływała jego łaskawość dla pokonanych i tkliwość dla Dzei o gibkich ramionach. Siła jego czuła się zalękniona wobec ciężkich splotów jej włosów i cudnego blasku jej źrenic — i lęk ten upajał go bardziej niż zwycięstwo. Sunęły pod powiekami lotne marzenia, których słowo nie wyrazi. Lecz na myśl o konieczności uzyskania przyzwolenia Ukr, popędliwość rozsadzała mu żebra i buntował się przeciw możliwości odmowy. Jednak poddał się zwyczajom tych kobiet, które dzieliły jego niebezpieczeństwa.

Gdy wśród bambusów ukazały się gwiazdy podszedł do kobiety-wodzina kończącej posiłek i spytał:

— Czy Ukr odda mi Dzeję na własność?

Ukr, zrozumiawszy, ociągała się z odpowiedzią. Prawa jej plemienia były przedawne, przez ciągłe powtarzanie nabrały mocy i wyrazistości. Kobiety należące do hordy nie mogły łączyć się ani z Lemuryjczykami, ani z Chelejami. Ale przeżyte klęski budziły poważne wątpliwości. Ukr nie wiedziała, czy mężczyźni jej plemienia pozostali jeszcze przy życiu, a wszak Aun był ich sprzymierzeńcem.

Wreszcie rzekła:

— Oto najpierw musimy się pozbyć wroga. Wówczas Ukr uderzy Dzeję w piersi i Dzeja zostanie kobietą Auna. .

Ulhamr zrozumiał jedynie część przemówienia, płomienna radość napełniła jego serce. Nie zauważył, że Ukr była smutna.

Nie pojmowała dlaczego przedkładał tę młodą, smukłą dziewczynę nad nią, kobietę-wodza, o muskularnych ramionach i potężnych szczękach.

Dwa dni nieprzerwanie trwała ucieczka, rzeka była już bliska. Ukazało się pasmo skał, podobne do tych, gdzie obrał sobie legowisko Kot Olbrzymi. Nic nie zdradzało obecności wrogów, nawet Ukr zaczynała wierzyć, że zaniechali pogoni. Chcąc się w tym upewnić, wspięła się z Żurem i Aunem na wyniosłą skałę, która górowała nad okolicą. Stanąwszy na szczycie ujrzeni rzekę wijącą się wśród stepów, a za nią, na pobrzeżu dżungli, idące ku nim pionowe postacie.

— Ludzie Rude Psy! — rzekła Ukr.

Aun widząc, że ich liczba nie zmniejszyła się, zauważył:

— Nie idą naszym tropem.

— Odnajdą go! — zapewniła Ukr. Zur, zamyślony, dorzucił:

— Powinniśmy przejść przez rzekę!

Było to przedsięwzięcie dla najteższych nawet pływaków prawie niewykonalne, poza tym w mule, na kępach i przyładkach roiło się od krokodyli. Lecz Wah znał sposób przepławiania się przez wody przy pomocy grubych gałęzi lub rozłupanych pni, powiązanych ze sobą lianami i łądogami. Poprowadził całą gromadę nad brzeg rzeki, gdzie rosły bujne, czarne topole. Dwa powalone pnie, leżące w zatoce, przyśpieszyły pracę. Do południa tratwa była ukończona. Lecz wróg znajdował się niedaleko. Na zakręcie o jakieś trzy do czterech tysięcy kroków ukazał się jego czołowy oddział.

Kiedy odbijali od brzegu, Chelejowie podnieśli gromką wrzawę. Aun odpowiedział okrzykiem bojowym, kobiety wyły niczym wilczyce. Płynęli skośnie pod prąd. W pewnej chwili zniosło ich w stronę przeciwnika i dwie hordy znalazły się naprzeciw siebie, dzieliło je zaledwie jakieś dwieście kroków. Chelejowie stali na przyładku, było ich dwudziestu dziewięciu, wszyscy krępi, o szczękach wilczych i muskularnych ramionach. Z okrągłych oczu patrzyło okrucieństwo, gwałt i nienawiść. Niektórzy chcieli

rzucić się w pław, wstrzymał ich pyton i parę -krokodyli, które się wyłoniły spośród lotosów.

Tymczasem Aun, Zur i kobiety grubymi gałęziami nadawali tratwie przeciwny kierunek. Przeszła między dwiema wysepkami, zakręciła na miejscu, podpłynęła do przylądka, gdzie stali Chelejowie, potem pomknęła na południo-zachód i wreszcie przybiła do przeciwległego brzegu; kobiety jeły uragać wrogowi.

Mała horda zagłębiła się w dżunglę. Szli wciąż naprzód, aż zatrzymała ich odnoga rzeki. Był to płytki strumień, którego korytem śmiało mogli postępować. Przedtem jednak Zur powykrawał kawałki jeleniej skóry i wytłumaczył, że zanim wyjdą z wody muszą owinać nimi stopy. Wylądowali na skalistym występie. Wszyscy mieli owinięte nogi, a miejsce, na którym się zatrzymali, obficie polali wodą.

— Zur jest najchytrzejszy z ludzi! — wykrzyknął Aun. — Ludzie Rude Psy pomyślą, że tędy przechodziło stado.

Ponieważ jednak Chelejowie nieraz już odnajdywali ich ślady, szli nie zatrzymując się aż do nocy.

CZĘŚĆ DRUGA

W wąwozie

Ziemia stawała się bagnista. Trzeba było przemykać się między trzęsawiskami lub wlec nad brzegiem rzeki. Przez dwa dni posuwali się naprzód z powolnością płazów. Dalej rzeka traciła na szerokości, koryto jej było ujęte w dwie strome ściany. Ogromna skała szyfrowa zagradzała drogę. Miała trzy tysiące stóp długości i sześćset wysokości. Jej krańce tonęły na zachodzie w głębi wód, a na wschodzie w niedostępnych mokradłach. Jedynym przejściem okazał się wąwóz na wysokości dwustu stóp, do którego dostęp był możliwy przez zbocza najeżone rudymi głazami. Gdy Aun idący na samym końcu dotarł do wylotu wąwozu, przysta-

nał, by zbadać okolicę, Ukr, która szła na czele, zawróciła mówiąc:

— Po tamtej stronie skał są moczary.

— Musimy z powrotem przepłynąć się przez rzekę — powiedział Zur idący z kobietą-wodzem. — Drzewa jest sporo, możemy przygotować tratwę.

Wtem Aun krzyknął, wskazując ręką. Tam, między bagnami, ukazali się ludzie. Naliczyli ich siedmiu. Osobliwy wygląd nie pozostawiał wątpliwości.

— Ludzie Rude Psy! — zawołała Ukr.

Przybywało ich coraz więcej. Serce Auna gwałtownie zabiło, silnie wdychał niezdrową woń tych błotnych wód, badał głębinę.

— Zanim tratwa będzie gotowa — wyszeptał — nieprzyjaciel nadciągnie!

Dookoła leżały ciężkie kamienie, zawalili nimi otwór wąwozu. Większe zataczał Aun; Ukr, Wah i kobiety znosili mniejsze. Ujrzeni Chelejów czołgających się pomiędzy szeroko rozlanymi kałużami. Z tymi złowrogimi istotami zbliżała się śmierć.

Aun rzekł:

— Syn Tura i trzy kobiety będą bronić wąwozu. Zur z pozostałymi zbudują tratwę.

Człowiek Bez Ramion zawahał się, spod drżących powiek patrzył na swego towarzysza. Tamten zdając sobie sprawę z jego obaw, dodał:

— Mamy cztery włócznie i dwie ości, nie licząc mej maczugi i oszczepów kobiet. Jeżeli nie będziemy mogli dać sobie rady, przywołam was na pomoc. Idź, jedynie tratwa może nas uratować.

Zur ustąpił. Ulhamrowi miała towarzyszyć Ukr i jedna z kobiet o silnej budowie. Gdy namyślał się, którą wybrać, zobaczył zbliżającą się Dzeję. Szła potrząsając bujną grzywą. Chciał ją usunąć, ale spotkał wzrok pełen tkliwego niepokoju. Zbudziła się w nim miłość, zrozumiał tajemną moc wyboru, którą spośród Ul-hamrów znał tylko jeden Naoh. Zatracił pojęcie czasu, zapomniał o niebezpieczeństwie i śmierci...

Ludzie Ognia nadchodzili. Utorowawszy sobie drogę przez bagna, rozsypali się po skalistym wybrzeżu. Jeden z nich, obrośnięty jak Niedźwiedź, o potężnych barach, bez trudu wywijał bronią cięższą od maczugi Auna. W miarę, jak się przybliżali do skał, zataczali coraz szerszy łuk, szukając przejść. Kilka ścieżyn ryło się w skałach, wszystkie jednak kończyły się u stromych ścian. Jediną drogą był wąwóz.

Aun, Ukr, Dżeja i trzecia kobieta kończyły go umacniać; gromadziły jednocześnie kamienie, by miażdżyć nimi napastników. Do wąwozu można było dotrzeć prosto korytem utworzonym przez wiosenne i jesienne wody lub skośnie poprzez nieprzeliczone zakręty skalne. W pierwszym przypadku walczący mogli wstępować trzema, ceterem rzędami; w drugim — tylko jeden przeciw jednemu, natomiast dawało im to możliwość rażenia z góry.

Chelejowie zatrzymali się o sto kroków od skał. Śledzili ruchy Auna i kobiet. Ich szerokie twarze wykrzywiały szyderczy śmiech, a przez rozchylone sinawe wargi połyskiwały spiczaste zę-biska. Nagle zawyli złowrogo, brzmiało to jak wycie wilków lub rudych psów. Aun, potrząsając maczugą i włócznią, zawołał:

— Ulhamrowie zabiorą Ludziom Ognia ich obszary łowieckie!

Ukr głosem chrapliwym dorzuciła:

— Ludzie Rude Psy wymordowali braci naszych i siostry. Nasi sprzymierzeńcy wybiją ich do nogi!

Nastała chwila milczenia. Od bagien szedł wilgotny, ciepły podmuch. Nad szczytami szybowały orły i sępy. Potworne jaszczury wylegiwały się na kępach, w bezkresnej dali rozlegał się odgłos wód, orzeźwiający, żywotny, nieprzebrany, jak za pierwszych dni świata.

Chelejowie rozdzielili się na dwie grupy. Pierwszą poprzez głązy i obłamy poprowadził wódz; druga usiłowała dostać się, idąc prosto w kierunku wąwozu, pod osłoną wyłobień i występów skalnych.

Aun płomiennym wzrokiem liczył wroga, uniósł procę z na-

łożoną włócznią. Ukr z towarzyszkami miały na dany znak zarzucić nadchodzących kamieniami. Lecz ci ukrywali się lub ukazywali ukradkiem pomiędzy rozsianymi przeszkodami tak, że nie można było ich osiągnąć. Gdy jeden z Chelejów odsłonił się niebacznie, wnet zawirowała proca i włócznia utkwiała między żebrami wojownika. Podniosły się ryki, ranny znikł. Ulhamr, skupiony, miał już drugi pocisk w pogotowiu.

Wkrótce napastnicy ruszyli naprzód. Najlicniejszy zastęp puścił się okrężną drogą, kilku dochodziło na wysokość wąwozu. By rozpocząć walkę z obleżonymi, musieli wydzwignąć się jeszcze wyżej i wspiąć się na wysoką krawędź, z której mogliby zeskakiwać pojedynczo.

W międzyczasie ożywił się również pochód idących prosto; zabrzmiał potężny głos i we wściekłym porywie pognało ku wąwozowi piętnastu ludzi. Świsnęła włócznia, potoczyły się głazy. Krzyki dzikie i żalosne odbijały się od skał. Chelejowie nie zwolnili biegu, mimo gęsto lecących kamieni i ości. przybliżyli się na osiem kroków od wylotu. Trzech potoczyło się z urwiska, dwóch było rannych. Aun widział już rozkołysaną falę ludzkich twarzy, gorejące źrenice, słyszał przyspieszone oddechy. Natężył swe mięśnie i zepchnął ogromny głaz, kobiety z rozpaczliwym wysiłkiem staczały mniejsze odłamy. Rozlegały się ponure wycia, nacierający skłębieni, cofnęli się nieco. Ulhamr przystępował do drugiego głazu, gdy wtem odłamek szyfrowy ugodził go w czaszkę.

Podniósł głowę i ponad sobą ujrzął złośliwie rozchichotaną rudą twarz, jeden po drugim zeskakiwało czterech napastników. Syn Tura cofnął się. Oburącz chwycił maczugę, Ukr i Dżeja nadstawiły oszczepy. Pomieścić się i walczyć mogło tu po trzech Wo- ■ jowników z każdej strony.

Zapanowało jakby zawieszenie broni. Lęk przed nieznanym powstrzymywał Ludzi Rudych Psów. Aun rozważał, czy przywołać innych na pomoc. Przed nim stał wraży wódz o potężnych ba-' rach. Jego oszczep był o parę stóp dłuższy od broni innych, cała postać tchnęła siłą i pewnością zwycięstwa.

Wódz uderzył pierwszy i wnet bok Ulhamra spłynął krwią.

Jednak Aun potężnym ciosem odbił wroga i zmiażdżył ramię przyskakującego doń wojownika.

Człowiek runął na ziemię, miejsce jego zajął drugi, za nim nadciągali inni napastnicy. Wówczas Ukr jęła wołać o pomoc, ten krzyk powtórzyły za nią Dzeja i towarzysząca im kobieta. Chele-jowie, warcząc jak wilki, wracali do natarcia. Syn Tura trzema uderzeniami odbił trzy oszczepy, u dwu potrzaskał groty. Ukr raniła w pierś jednego z Ludzi Rudych Psów, lecz walcząca razem z nią wojownica padła z rozplatanym brzuchem.

Przed olbrzymią maczugą pierzchali wszyscy. Skupili się u wejścia do wąwozu, wódz podniósłszy wytracony sobie oszczep, o pół kroku wyprzedził swych ludzi. Ci, których broń została uszkodzona usunęli się przepuszczając następnych.

Wódz Chelejów znów rzucił się w wir walki, śmiał się przy tym dziko i zgrzytał zębami, a bystry wzrok chwycił każdy ruch przeciwnika. Ulhamr odskoczył w bok, jednak oszczep rozdarł mu biodro, zachwiał się. Tamten już wydawał okrzyk zwycięstwa, gdy nagle spadła maczuga. Zatrzeszczała gruba czaszka, z chrapliwym jękiem wódz przechylił się w tył i legł pośród swoich.

Między Chelejami zapanowała chwila zamieszania, lecz coraz silniejsi liczbą parli naprzód. Groźna maczuga trzaskała oszczepy, miażdżyła piersi, Ukr i Dzeja raziły nieustannie. Jednak wobec ciągle przybywających napastników należało rozpocząć odwrót, tym bardziej, że dochodzili do miejsca, w którym wąwóz, rozszerzając się, ułatwiłby Chelejom dalszy bój.

Syn Tura bezmiernym wysiłkiem, łamiąc dookoła oszczepy, zdołał powstrzymać napór wroga. Wśród dzikiej wrzawy i wyzwisk na końcu wąwozu ukazały się Wilczyce. Proca Zura dwukrotnie wyrzuciła włócznie, które dziurawiły ramiona, a maczuga Auna raz po raz wznosiła się do nieomylnych, niszczących ciosów.

Popłoch ogarnął Chelejów, cofnęli się na całej linii, unosząc ze sobą rannych i zabitych. Roztrącali głowy, staczali się po zboczach, chronili w napotykanym wyłobieniach lub pod zręby

skalne. Na pobojowisku pozostawili jednego zabitego i rannego, który charczał przeraźliwie. Dobiły go kobiety.

Oblegani stali jakiś czas u wejścia do wąwozu. Chelejowie byli niewidoczni, wśród sterczących odłamów skał leżały trupy. Odniesione zwycięstwo podniecało kobiety. Nachylone nad głazami głosiły swą chwałę. Aun, choć ranny, odczuwał dumę i radość. Czyż nie on zmiotł ścianę oszczepów, powalił wroga i grozą przejął Ludzi Rudych Psów? Uratował też Dzeję, w której pierś godziła włócznia; wtedy oczy ich spotkały się i wobec czaru spojrzenia tych wielkich oczu, fala nowych wzruszeń napłynęła do jego serca.

Wah mówił:

— Zur i kobiety znaleźli dosyć drzewa. Tratwa jest prawie gotowa.

— Dobrze. Syn Tura z sześcioma Wilczycami zostanie dla obrony wąwozu. Zur i reszta kobiet niech kończą robotę.

Rozległ się żaloszny jęk — skarżyła się ranna wojownica, czując zbliżającą się śmierć. W twarzy, zwróconej ku niebiosom, rozszerzone źrenice widziały niby przez lekką mgłę duże sępy i białogłowe kruki polatujące nad martwymi ciałami. Jej prostą duszę wypełniło jedno bezmierne pragnienie. Sunęły przed oczami obrazy puszczy, rannej zorzy, dni tętniących życiem, wieczorów u ogniska, od którego rozchodziło się życiodajne ciepło. Była w niej pamięć trwania, której nie mają byki, psy ani Lwy, pamięć zrodzona z mowy, która wskrzesza dni minione. Potem przyszła krótka chwila gorzkiego żalu, gorączkowego zatopienia w przeszłość... i wreszcie mrok. Błyskawica oświetlająca oblicze śmierci zgasła, pozostało już tylko nędzne ciało, tonące w nieskończoności, twarz stała się martwą. Towarzyszki, zebrane koło niej, jęły zawodzić smutnymi monotonnymi głosami; było to jakieś nieokreślone pienie, w którym zarysowywał się rytm i śpiew człowieka.

Czas upływał. Zdawało się, że Chelejowie odeszli, lecz Aun usłyszał podejrzaną szmery domyślając się, że tam, po lewej stronie, torują sobie drogę, by przedostać się przez szczyty i zamknąć

wąwóz, uniemożliwiając broniącym się odwrót. Jeżeli dopną celu, nie minie ich zwycięstwo.

Pomimo poniesionych strat Chelejowie zachowali przewagę liczby, siły i szybkości. Potężniejszy od nich był jednak Aun i jedna tylko Ukr mogła się równać z ich wojownikami, lecz oboje byli osłabieni przez otrzymane rany. I syn Tura z wzrastającym niepokojem wsłuchiwał się w ruchy nieprzyjaciela.

Wreszcie ujrano kilku Chelejów. Dotarli na odległość pięciu kroków od jednego ze zrębów skalnych, wspinając się po ramionach towarzyszy lub ryjąc stopnie w kruchym łupku. By dostać się na występ, wystarczy im w gładkiej, lekko pochyłej powierzchni wykucć pięć, sześć takich stopni. Ulhamr, chcąc ich powstrzymać, miotnął ostatnią ością, lecz pocisk odbił się od skały, cisnął parę kamieni, oddalenie uczyniło je nieszkodliwymi.

Bezpośrednie starcie na razie jeszcze im nie groziło. Istotna walka toczyła się w tej chwili pomiędzy budującymi tratwę a ryjącymi skałę.

Wobec ciszy w wąwozie Aun posłał dwie kobiety Wahowi na pomoc.

Trzeci stopień, a za nim czwarty były już gotowe. Jeszcze jeden, a Ludzie Rude Psy dosięgną występu i zawładną szczytem. Ten ostatni stopień wydawał się być trudniejszy do wykucia od poprzednich, ale jeden z Chelejów, stojąc na ramionach towarzysza, kuł go z wściekłością.

Wtedy Aun rzekł do wojownic:

— Idźcie do Zura. Trzeba, by tratwa była ukończona. Aun będzie sam bronił wylotu.

Ukr, wzrokiem zbadawszy skały, zwołała swe towarzyszki. Dżeja odeszła z cichą skruchą. Aun, nachylony, poprzez szczybry w skałe próbował rzucać kamienie, lecz Chelejowie parli dalej; czołgał się nawet wódz, niedawno ogłuszony maczugą syna Tura. W kilku susach Aun dopadł wylotu wąwozu spuszczać się na dół, ku rzece. Równocześnie na szczycie ukazali się pierwsi Chelejowie.

— Tratwa nie skończona — rzekł Zur — ale doniesie nas na drugi brzeg.

Na skinienie Auna kobiety chwyciły bezkształtne wiązania z lian i gałęzi i spuściły je na wodę. Podniósł się przeciągły wrzask. Nadbiegali Chelejowie. Wojownice bezładnie rzuciły się ku tratwie. Gdy Aun z Żurem podążyli za nimi, wróg był oddalony od nich już tylko o pięćdziesiąt kroków.

— Zanim upłynie osiem poranków, wytępiimy Ludzi Rudych Psów! — ryknął syn Tura.

Woda unosiła wątłą tratwę.

Powrót do jaskini

Tratwa nie płynęła równo, porywały ją wiry lub unosił z niepokojącą szybkością wartki prąd. Kilkakrotnie Wilczyce, chcąc ulżyć ciężarowi, rzuciły się do wody. Wiązana w pośpiechu tratwa mogła się łatwo rozpaść.

Jednak powoli zbliżali się do brzegu. Tam w dali dostrzegano postacie nieprzyjaciół. Jeżeli będą chcieli wznowić pogoń muszą przepłynąć przez rzekę, a uczynić to mogą jedynie, idąc za przykładem uciekających.

Aun rzekł do Zura:

— Będziemy szli bez zatrzymania aż do wieczora. Przed końcem czwartego dnia dojdziemy do jaskini.

Spojrzeli na siebie. Ta sama myśl zrodziła się w ich czaszkach.

— Aun i Ukr są ranni — zauważył smutnie Wah.

Ulhamr odrzekł:

— Jeżeli ich nie wyprzedzimy, Ludzie Rude Psy wytepią nas!

Ukr pogardliwie wzruszyła ramionami, jej rana nie była głęboka. Zerwała trochę traw i zatamowała nimi krew, Zur opatrywał rany towarzysza. Po czym, obrawszy kierunek, ruszyli w drogę.

Pochód przez moczary był uciążliwy, ale ku wieczorowi Aun z Żurem już rozpoznawali okolicę. Połowę drogi odbyli spokojnie. Od pasma gór bazaltowych dzieliły małą hordę jeszcze dwa dni. Zur mnożył wybiegi i pomysły, by mylić ślady.

Nad ranem piątego dnia ujrzeli upragnione skały. Ze szczytu pagórka u skrzyżowania rzeki widniał podłużny cypel ich przełęczy. Aun, którego trawiła gorączka, zwrócił swój rozpalony wzrok ku ponurym skałom zagradzającym widnokrąg i chwycił Waha za ramię, szepcząc:

— Zobaczmy znowu Tygrysa Kzamów!

Gardłowy niski śmiech rozchyłał jego wargi. Schronisko, gdzie przeżyli tyle bezpiecznych dni, ogromny, przyjazny dla nich ' zwierz, jasne poranki i wieczory oświetlone purpurą ogniska płonącego u wejścia jaskini, wszystko to powracało w obrazach bezładnych, lecz radosnych. Więc nachylając ku Dzei twarz zbieleła od utraty krwi, ciągnął dalej:

— W pieczarze będziemy mogli stawić czoła i stu Chelejom!

W tej chwili Ukr wydała przytłumiony okrzyk. Ramię jej było wyciągnięte w kierunku ujścia rzeki. Wszyscy wyraźnie ujrzeli nadciągających Chelejów. Rzucono się do ucieczki. Jeżeli nie będą pierwsi u pasma skał bazaltowych, ratunek będzie niemożliwy. A mieli do przebycia koło dwudziestu tysięcy łokci.

Gdy połowę tej odległości mieli już poza sobą, Chelejowie znacznie się zbliżyli, biegli jak szakale. Ten, którego obawiali się

więcej od wszystkich innych razem wziętych, był osłabiony, ranny, widzieli, że szedł na końcu hordy mocno utykając, więc w zwycięskim podnieceniu rzucali swe okrzyki bojowe.

Ścigani przystanęli na krótką chwilę. Źrenice Auna, płonące gorączką i niepokojem, znów szukały oczu Waha; pociągnął go za ramię... Wycia były coraz bliższe, Aun spojrzał na Dżeję, wskazał na swe krwawiące biodro, na odległość dzielącą ich od Ludzi Rudych Psów. Westchnął głęboko i puścił rękę towarzysza, ten zaś cwałem popędził w stronę legowiska Kota Olbrzymiego.

Ulhamr, kobiety i dzieci dochodzili do jaskini.

Kot Olbrzymi

Gdy Aun i wojownice stanęli pod jaskinią, wyprzedzali Che-lejów zaledwie o dwa tysiące kroków. Ulhamr i Ukr pierwsi wspięli się na płaski występ, by innym ułatwić wchodzenie. Wciągnięto najpierw dzieci, następnie kobiety. Gdy trzy ostatnie znajdowały się w połowie wysokości, Ludzie Rude Psy jęli obrzucać je ostrymi kamieniami, które odskakiwały od skał. Aun miotnął ostatnią włócznią, Ukr z towarzyszkami ciskała odłamkami bazaltu. Chelejowie, zbyt jeszcze nieliczni, by rozpocząć natarcie,

cofnęli się poza linię zasięgu pocisków. Gdy przyłączyła się reszta hordy, Wilczyce zajęły już jaskinię.

Była nie do zdobycia. Dostać się na krawędź można było tylko pojedynczo, aby Stamtąd wznieść się na płaski występ, trzeba było wchodzić na ramiona stojącego towarzysza. Tak więc proste uderzenie oszczepem mogło udaremnić wszelką próbę dostania się do schroniska. Rozumieli to Chelejowie. Badali pasmo bazaltowe w nadziei odkrycia innej równoległej drogi, lecz wokół jaskini wznosiły się niedostępne ściany.

Ludzie Rude Psy wobec tego postanowili czekać. Głód i pragnienie wydadzą im obłączonych. Tam w wąwozie mogli uciekać i przeprowić się przez rzekę. Tu dzień, w którym zejda na równinę, będzie dniem ich śmierci. Czyż dwanaście kobiet i dwóch wojowników mężczyzn może sprostać dwudziestu wojownikom w pełni sił?

Gdy wszystkie kobiety znalazły się w schronisku, Aun dwie z nich postawił na czatach. Po czym zapalił łuczywo i zszedł w głąb jaskini, zabroniwszy komukolwiek iść za sobą. Targał nim niepokój. Zdawało mu się niemożliwe, by Kot Olbrzymi nie poznał Zura, a jednak chwilami powątpiewał.

Ryk zwierza przyspieszył jego bieg. Stanął przed szczeliną, za którą tak często śledził potwora. I nagle odetchnął z ulgą: drapieznik i Zur byli razem. Urywane sapanie drapieznika witało Człowieka Bez Ramion.

— Lew Skalny jest zawsze sprzymierzeńcem syna Tura i .syna Ziemi — rzekł Wah.

Była to chwila niemej radości.

— Czy Ludzie Rude Psy nie poszli po tropie Zura?

— Nie widzieli, gdy Zur się odłączył. Zur ukrył się pomiędzy głazami.

Zwierz pilnie obwąchiwał Auna przez szczelinę w skałach, wreszcie legł sennie. Aun przemówił:

— Zur wyjdzie, gdy nastanie noc i to razem z Tygrysem Kzamów. Zostawi Ludzi Rudych Psów w spokoju, dopóki Aun nie powróci do sił.

— W ciągu dnia Zur nie odejdzie poza moczary, moczary są blisko. Aun i kobiety będą potrzebowali wody.

Ulhamr westchnął. Widział moczary, rzekę, źródła. Pragnienie podniecone gorączką paliło go. Jakby mimo woli rzekł:

— Pragnienie pali Auna, ale on poczeka do wieczora.

— Woda jest w pobliżu — powtórzył Zur. — By wyzdrowieć i walczyć Aun musi pić. Pójdę po nią.

Skierował się do wyjścia. Drapieżnik leniwie uniół powieki, nie wyczuwał nic podejrzanego. Wah przemknął się do moczaru. Faliste położenie czyniło go niewidocznym z daleka. Ugasił własne pragnienie, po czym zanurzył w wodę miech sporządzony ze skóry kozła spiętej kolcami. Zawartość jego wystarczała, by napoić kilku ludzi. Zur napełnił go i wrócił do jaskini. Aun pił wolno długimi łykami odżywczą wodę, która przywracała moc, świeżość i otuchę.

— Ukr jest też ranna — rzekł. — Inne będą piły w nocy.

Zabrał miech i udał się do górnej jaskini. Gdy Ukr zaspokoila pragnienie, resztę wody oddał Dżei.

Spał do wieczora i podczas tego snu odbywała się tajemnicza praca młodych sił. Gorączka spadła, tkanki spragnione wypoczynku zasklepiały brzegi ran. Gdy nad dżunglą konał zmierzch, Ulhamr powstał, by śledzić wrogów. Chelejowie rozpalili duże ognisko. Ich z gruba ciosane twarze zwracały się ku skałom, wyczuwało się, że noszą wyraz niezłomnej woli, by pokonać i zniszczyć.

Trwożliwy nastrój ogarniał kobiety. Znużone długą ucieczką zasnęły. Obudziło je pragnienie silniejsze od głodu. Oczami pełnymi rozpaczy patrzyły na Auna, myślały o wodzie, którą przyniósł w skórze kozła, a którą piły jedynie Ukr i Dżeja. Ufność, którą budzi silny w istotach słabych, raz po raz ustępowała lękowi.

Ukr spytała:

— Gdzie poszedł Zur? Syn

Tura odrzekł:

— Zur da nam mięsa i wody przed końcem nocy.

— Czemu nie jest z nami?

— Ukr dowie się później.

A widząc, że kobieta-wódz kierowała się w stronę mroku, dodał:

— Aun sam zejdzie w głąb jaskini! Inaczej będziemy głodni i spragnieni.

Tajemnica podnieciła te ciemne umysły, poddały się jednak woli Auna, pokrzepione nadzieją. Wilczyce znały czasy głodu i posuchy. Wszystkie, nawet dzieci, przetrwały już nieraz dotkliwe braki i okrutne wyczekiwania.

Gwiazdy pogrążyły się w bezmiar, Ludzie Rude Psy spali. Większość kobiet zasnęła z powrotem. Aun również wypoczywał.

W połowie nocy w głębi jaskini wzniósł się zew, który zbudził Ulhamra. Zapalił łuczywo i szedł na dół. Kot Olbrzymi i Wah powrócili z łowów. Cielsko ogromnego jelenia leżało w pieczarze. Człowiek Bez Ramion zdążył już odrąbać jedno udo, które wsunął przez szczelinę. Następnie pobiegł po wodę.

Kiedy Aun powrócił z mięsem i wodą, wszystkie wojownice przejął dreszcz, zrodziło się w nich coś w rodzaju bałwochwalczej czci. W jaskini znajdowało się jeszcze nieco suchych gałęzi, pozostawionych przez koczowników przed ich długą wędrówką. Aun raz jeszcze przyniósł wody, po czym rozpałił ognisko i rozkazał piec mięso. Było to wyzwaniem i zarazem nieostrożnością. Che-lejscy czatownicy zawiadomili wodza, który zerwawszy się, patrzył na to ze zdumieniem. Całe wydarzenie nie przedstawiało się prosto. Wódz odgadł, że drzewo znajdowało się w jaskini; co do mięsa — wierzył, że pochodziło ze zwierzyny, ubitej podczas ucieczki. Gdyby istniało jeszcze inne przejście, byłiby się nim wymknęli. Niemniej posłał kilku wojowników na drugą stronę pasma bazaltowego.

Obeszli je od południa, starali się przy świetle księżyca rozróżnić wszystkie rozpadliny i pieczary. Nie dostrzegli nic prócz wąskich szczelin, załamań i wgłębień pod urwiskami. Przesmyk, którym Zur ongiś zbiegł przed Lwem, zatrzymał ich na chwilę; gdy go mijali, ukazała się im czarna jama. Powietrze nocne przenikała silna woń. Wojownicy, czując bliskość jakiegoś drapieżni-

ka, przystanęli, Lecz z kolei wyziewy ludzi dotarły do legowiska. Wysunęły się jakieś potworne kształty, ryk wstrząsnął powietrzem, przerażeni rzucili się do bezładnej ucieczki. Poznali bowiem najgroźniejszego z mięsożerców.

Wódz nabrał pewności, że do obłązonych prowadzi jedynie droga strzeżona przez jego ludzi. Codzienne pojawianie się Auna i kobiet na płaskim występie rozwiało ostatnie wątpliwości, ucieczka była niemożliwa. Wystarczało zatem czekać i czuwać. Czas pogromu niechybnie nastąpi.

Ulhamr szybko powrócił do zdrowia. Młoda krew goiła ranę, gorączka przygasła tak dalece, że uczył nadal kobiety doskonalszego obrabiania kamieni służących za pociski. W dolnej pieczarze Zur w dalszym ciągu zaopatrywał obłązonych w mięso i wodę. Kot Olbrzymi przyzwyczał się chodzić z nim, na wpół świadomy wybiegów człowieka, chętnie poddawał się temu kierownictwu. Zur przewidywał jego odruchy, odgadywał zachowanie się zależnie od wydarzeń, wyczuwał odcienie nastroju i stosował się do nich tak zręcznie, że w drapieżniku budzić się zaczęło przywiązanie dla człowieka o wiele trwalsze niż dla zwierzęcia jego gatunku.

Na ósmą noc Aun, zabierając zapasy, rzekł:

— Rana się zamknęła. Syn Tura może już walczyć z Chelejami. Jutrzejszej nocy Zur poprowadzi Tygrysa Kzamów na drugą stronę skał.

Wah milczał chwilę, po czym rzekł:

— Oto Zur dziś rano zauważył, że w szczelinie chwieje się jeden kamień. Jeżeli będziemy mogli go oderwać, to przejście będzie dostatecznie szerokie, by przepuścić człowieka, a za wąskie dla Lwa Skalnego.

Położył rękę na głazie wystającym u dołu szczeliny i z początku ledwie dostrzegalnie, potem coraz wyraźniej chwiał nim.

Aun, zachwycony, złączył się z Wahem we wspólnym wysiłku, jego muskularne ramie podważyło kamień. Wówczas pociągnął go z całej mocy, podczas gdy Zur pchał oburącz. Oberwał się jeden odłam, potem dwa inne. Ulhamr odrzucił je poza siebie i

rozplaszczony na ziemi wsunął się do pieczary. Kot Olbrzymi, podrażniony tymi poczynaniami, przestał pożerać swą zdobycz i skoczył niemal groźnie. Łagodna pieszczoła Zura uspokoiła go, przyjaźnie ob wachał Auna.

— Będziemy mogli zniecka podejść Ludzi Rudych Psów!

— zawołał Ulhamr.

Wah wskazał na leżący u wejścia dziesiątek włóczni, które przygotował w ciągu długich samotnych dni.

— Będziemy mogli utrzymać Chelejów na odległość rzutu.

W ciągu następnych dni obaj wojownicy przygotowali jeszcze kilka włóczni. O zmierzchu Ulhamr zawiadomił Ukr i towarzyszki:

— Aun z Żurem będą tej nocy walczyli z Ludźmi Ognia. Niechaj Wilczyce będą w pogotowiu!

Ukr słuchała go z zadziwieniem.

— W jaki sposób Aun połączy się z Żurem?

Począł się śmiać.

— Rozszerzyliśmy przejście pomiędzy jaskinią a pieczarą. Przejdziemy na drugą stronę skał i razem ze sprzymierzeńcem napadniemy na Ludzi Rudych Psów.

— Czy Aun i Zur mają sprzymierzeńca?

— Tak, jest nim Tygrys Kzamów.

Ukr osłupiała. Lecz w prostocie swej duszy nie zastanawiała się nad tym długo. Ufność, jaką w niej wzbudził rosty Ulhamr, była silniejsza nad wszelkie zdumienie.

Wojownik mówił dalej: ■

— Kobiety nie powinny zejść na równinę, dopóki Aun nie zawoła! Tygrys Kzamów poszarpałby je!

Dżeja, zachwycona bardziej od innych kobiet, spojrzała na Auna oczami iskrzącymi się od ciekawości.

— Czy Tygrys nie może przejść z jednej jaskini do drugiej?

— zapytała.

— Otwór jest dla niego za mały.

Mrok, twórca złudzeń, błął między obłokami, drżącym, migotliwym światłem jaśniała gwiazda. Aun zszedł do pieczary.

Ognisko Chelejów rzucało słabe tylko blaski. Trzech ludzi jeszcze czuwało, reszta spała w kotlinie otoczonej głazami, co dawało im pewność, że unikną niespodziewanej napaści. Dwóch wartowników drzemało, trzeci stosownie do rozkazu wodza chodził dookoła ogniska, często spoglądając ku jaskini.

Właśnie pochylony dorzucał drewno do ognia, gdy się wyprostował, ujrzał na skalnej krawędzi postać kobiecą, śledziła go uważnie. Wojownik pogroził jej oszczepem, śmiejąc się z cicha. Urwał nagle. U stóp pasma bazaltowego ukazała się druga postać. Tego wyniosłego wzrostu i szerokiej piersi trudno było nie poznać. Człowiek Rudy Pies przyglądał się jej przez chwilę zdumiony, pytając w duchu, jak tamtem mógł i ważył się zejść na równinę. Przywołał wartowników i wszyscy trzej, wywijając bronią, krzyknęli na trwogę.

Tymczasem Aun odchodził od skał i śmiało zbliżał się do ogniska. Gdy znalazł się na odległość rzutu, cisnął ostrym kamieniem. Ugodził jednego z nich w głowę, lekko raniąc, było bowiem jeszcze zbyt daleko. Drugi kamień zdarł innemu skórę z ramienia. Podniosła się wrzawa i ze wszystkich stron kamiennego koliska zaczęły ukazywać się Chelejowie. Wówczas Aun, śmigły, potężny, odpowiedział okrzykiem bojowym.

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której Ludzie Ognia przyglądali się na przemian to Ulhamrowi, to otoczeniu. Tam w górze do pierwszej kobiety przyłączyły się jeszcze dwie inne. Na równinie widoczny był jedynie Aun uzbrojony w maczugę i parę kamieni. Wraży wódz, przerażony, starał się zrozumieć położenie. Nieokreślone podejrzania mieszały się z przeświadczeniem, że Ul-hamr jest sam. Przemogła w nim żądza walki, gardłowy głos rzucił rozkaz natarcia — skoczyli tłumnie. Dwadzieścia zwinnych ciał biegło półkolem na syna Tura, chcąc go otoczyć.

Posłał im ostatni kamień i zaczął uciekać. Szybkość jego zdawała się zmniejszać. Paru napastników, bardziej chyżych, wysunęło się naprzód, pędzili zaciekle, podnieceni pewnością zwycięstwa. Chwilami Ulbamr jak gdyby się potykał, to znów szalonym wysiłkiem słabnących sił odsądzał się od ścigających, by wkrótce

znowu stracić zyskaną odległość. Między wodzem a uciekającym pozostało zaledwie trzydzieści kroków, zbliżali się do pasma bazaltowych skał, zakończonego ostrym cyplem. Chelejowie wyciem witali swe zwycięstwo.

Aun z trwożnym okrzykiem skręcił w bok i skrył się wśród głazów. Tworzyły one szereg przejść, które w kierunku południowym zbiegały się w jeden szeroki wąwóz.

Wódz przystanął, byстрыm wzrokiem obrzucił otoczenie i wysłał kilku wojowników dla obsadzenia wylotu, ośmiu innym rozkazał gonić dalej.

Wtem rozległ się dziki śmiech, a po nim straszliwy ryk. Ujrzano potworne cielsko spadające pomiędzy głazy.

— Ludzie Rude Psy zginą!

Kot Olbrzymi natarł już na Chelejów. Trzech ludzi potoczyło się na ziemię z rozprutymi brzuchami, czwarty padł z przegryzionym gardłem. Aumz Żurem wydzwignęli się na płaską skałę. Zawirowały proce, włócznie wbijały się w piersi, przeszywały ramiona i uda, a drapieźnik wynurzając się z przesmyków miażdżył i rwał...

Ludzie Rude Psy pędzili w popłochu. W ich ciemnych mózgach niepojęta tajemnica łączyła się z ohydą śmierci. Sam wódz uciekał. Ulhamr odzyskał właściwą sobie szybkość, w lamparcich susach dopadł tyłowego oddziału i maczuga znów zadudniła na twardych czaszkach.

Kiedy Chelejowie dobiegli do kamienistej kotliny, było ich już tylko ośmiu, zabici i niezdolni do walki zostali na pobojuwisku.

— Niech Zur zatrzyma Tygrysa! — zawołał Aun.

Zwycięzeni, ukryci w swym umocnieniu, mogli stać się niebezpieczni. Owładnęła nimi rozpacz, ich oszczepy miotane zza głazów mogły poranić drapieżcę. ^x

Zwierz dał się zatrzymać bez trudu. Dookoła widział porozrzucaną zdobycz. Uspokojony, chwycił w paszczę jedno z leżących ciał i poniósł do swej pieczary.

Przez chwilę syn Tura stał wahając się, po czym rzekł:

— Zur pójdzie wraz z Tygrysem Kzamów. Powróci przez górną jaskinię i powie kobietom, by były w pogotowiu.

Wah z Kotem Olbrzymim zniknęli za skałami. Aun zajął się zbieraniem włóczni z pola walki, niektóre wyciągać musiał z ran, następnie zwrócił się ku Ghelejom. Widział ich w przerwach między kamieniami, w niektórych mógł nawet mierzyć, ale posiadał duszę Naoha, przepojoną nieświadomym uczuciem litości.

— Czemu Ludzie Rude Psy napadli Ludzi Włochatych? Cze mu chcieli zabić Auna i Kobiety-Wilczyce?

W głosie jego brzmiał smutek. Chelejowie słuchali w milczeniu. Ulhamr rozpoznał wodza o głębokiej piersi, znakami wypowiedział pragnienie walki. Aun, wznosząc procę, mówił dalej:

— Aun jest silniejszy i bardziej szybki od wodza Chelejów i może go zabić nie zbliżając się.

Tam w górze, na skale, kobiety radowały się porażką wroga. Śledziły przebieg walki, pojawienie się potwornego zwierza i o-garnęło ich dusze nadzmysłowe uczucie ufności.

Dżeja zesła pierwsza, potem Ukr, wreszcie inne z wyjątkiem tej, która miała pilnować jaskini.

Zebrane koło Auna, spoglądały na kotlinę z ponurą zawziętością i pomne swych cierpień, obrzucały Chelejów obelgami. Tamci milczeli, srodzy, zawzięci, trzymali w pogotowiu swe długie oszczepy. W ukryciu głązów bronić się mogli z łatwością i gdyby nie obecność Auna, przewaga byłaby po ich stronie. Prócz Ukr żadna z kobiet nie wytrzymałaby boju z nimi. Wiedziały o tym, więc pomimo nienawiści zachowywały ostrożność.

Znajdujące się w pobliżu ogniska bawiły się podsycaniem go trawami i chrustem. Ogień odżył i oświecił sawannę wspaniałym płomieniem. Kobiety ze wszystkich stron znosiły drwa, niektóre wołały:

— Ludzie Rude Psy nie mają odwagi walczyć. Zginą z głodu i pragnienia.

W miarę zwracania się gwiazd ku północy lub ukazywania się ich na wschodzie rosły obawa i zniecierpliwienie. Oblężeni wydawali się znów groźni, lękano się zasadzek, kobiety obawiały

się zasnąć. Aun i Zur rozumieli konieczność walki. Wah rzekł:

— Trzeba zmusić Chelejów do opuszczenia schroniska.

Gdy tak rozważał, przyszła mu nagle myśl.

— Wyjdą w obawie przed ogniem. Aun, Zur i kobiety zaczynają w nich ciskać zapalonymi głowniami! — zawołał.

Ulhamr wydał radosny okrzyk. Obaj zabrali się do nacinania wici, których końce zapalali. Przywołano kobiety i gdy zrozumiały podstęp Waha, rzuciły się wszystkie z gorejącymi łuczywami ku kotlinie.

Deszcz ognia spadł na Chelejów. Z początku nie reagowali, ale w końcu strach i wściekłość zatrzęsły nimi. Dym zapierał oddechy, oparzelizny doprowadzały do szału, żadne niebezpieczeństwo nie wydawało się im tak straszne, jak to obecne, grożące śmiercią bez walki.

Krępe cielsko wodza wspięło się na głaz, zawył chrapliwie i rzucił się w bój, siedmiu wojowników skoczyło za nim. Na rozkaz Auna kobiety cofnęły się. Dwa razy zawirowała proca *j* dwóch Ludzi Rudych Psów runęło na ziemię; z sześciu pozostałych pięciu napadło na Waha i kobiety, szósty zwrócił się ku Aunowi stojącemu na uboczu. Syn Tura miotnął włócznią, godząc go w ramię, po czym prostując swą wyniosłą *po*'stać, oczekiwał. Mógł uciekać, zmęczyć wroga, lecz wolał przyjąć ostateczną rozprawę. Nadbiegającym był wódz o szerokich barach i czaszce z granitu, dzierżył nadstawiony oszczep niby potężny róg. Broń spotkała maczugę, zachwiała się, cofnęła i wróciła piorunem. Pierś Auna spłynęła krwią, lecz w tej samej chwili w odwet spadła maczuga, miażdżąc kości wodza. Padł na kolana wypuszczając broń z ręki, poddawał się jak pokonany drapieżnik, świadomy, że nadszedł koniec. Aun podniósł maczugę, lecz nie uderzył więcej. Dziwny kurcz ścisnął mu piersi, była to litość — jemu i Naohowi wspólna była ta słabość.

Tam na sawannie leży dwie wojownice, lecz włócznie Zura i oszczepy również niosły zniszczenie. Trzech Chelejów, którym Wilczyce wypruły wnętrzności, wyło przeraźliwie. Czwarty, najmłodszy, oszalały z przerażenia, biegł ku Aunowi. Kiedy znalazł

się pod groźną maczugą, siły opuściły go, przypadł twarzą do ziemi. Kobiety już nadbiegały, by go zamordować... Syn. Tura wyciągnąwszy rękę zawołał:

— Jego życie należy do Auna!

Wojownice zatrzymały się, nienawiść wykrzywiła ich twarze, lecz jęki ranionych w pierwszej ułtarzce rozległy się po równinie. Aun słuchał, w duszy czuł radość, że Dzei nie było między nimi.

Horda

Aun, Zur i Kobiety-Wilczyce przez trzydzieści dni pozostawali wśród pasma skał bazaltowych. Z kobiet zmarła tylko jedna, cztery były ranne. Zdraśnięcia Auna nie były groźne. Pozbywszy się Chelejów, zawładnęli dżunglą, sawanna i rzeką. Obecność Kota Olbrzymiego trzymała w odległości wielkie drapieżniki.

Zycie ich było bujne i łatwe. Aun z Żurem w całej pełni zażywali wypoczynku po ciężkich trudach. Zur lubił ciche chwile

powtórnego wewnętrznego przeżywania wspomnień i obrazów przeszłości. Jego* dusza знаła urok skupienia się w sobie, była to cecha gatunku powoli gasnącego, przekazywana od całego szeregu pokoleń. Budził się z tych półśnów jedynie, by przygotowywać nowe zasadzki lub zbierać jadalne korzenie.

Aun zaś nawet w dni spokojne żył w ciągłym zmaganiu się bujnych zmysłów i nieuchwytnych pragnień. Wprawiały go w zachwycone zdumienie lekkie kształty młodego ciała, falowanie spadających włosów, mieniący się blask źrenic Dzei. Wszystko w niej było świeże jak poranek nad rzeką, jak kwiaty na sawannie. Niekiedy znów przychodziła chwila buntu, stawał się wtedy podobny do innych, pogardzał słabością, a tkliwość jego zamieniała się w wojowniczą srogość. Wówczas zwracał się do Ukr, gotów żądać, by odprawiła istniejący Wśród jej plemienia obrządek: chwyciła Dzeję za włosy, zraniła jej piersi kamieniem i cisnęła mu ją do nóg.

Kobiety myślały jedynie o sytym, bezpiecznym życiu. Zatraciły zupełnie poczucie samodzielności, losy swe złożyły w ręce Ulhamra. Myśl o przyszłości nie mieściła się w obrębie ich ograniczonej wyobraźni. Przetrawszy ciężką niedolę, nie miały innego pragnienia nad tę spokojną, co dnia powtarzającą się obfitość. Zgodziły się nawet na wypuszczenie obu jeńców. Aun odprowadził ich aż po rozwidlenie rzeki.

Nadchodziła pora deszczów. Aun coraz częściej myślał o hordzie, Naohu — pogromcy Kzamów, Czerwonych Karłów i Ag-hoo Włochatego, o wieczornych ogniskach i surowych towarzyszach, których okrucieństwa nie lubił.

Jednego rana rcekl do Ukr:

— Aun i Zur wkrótce połączą się ze swą hordą, niech Wilczyce wybiorą dla siebie jaskinię w pobliżu gór. Gdy miną chłody, przywędrują Ulhamrowie, zostaną sprzymierzeńcami Wilczyc.

Ukr i jej wojownice poczuły groźny ciężar świata. Znajdowali się na równinie w pobliżu rzeki. Gromadą otoczyły syna Tura, najmłodsze głośno zawodziły. Dzeja porwała się drżąca, z

oczami pełnymi łez. Aun odurzony patrzył na nią przez chwilę i rzekł:

— Ukr przyrzekła, iż Dżeja zostanie kobietą Auna. Dżeja musi być posłuszną.

Zwróciwszy się do Ukr, wyszeptał z lekkim drżeniem w głosie:

— Daj mi Dżeję za towarzyszkę!

Ukr rzuciła na niego spojrzenie, w którym przebijał bezmierny smutek, po czym chwyciła Dżeję za kark i cisnęła o ziemię, ostrym kamieniem przecięła jej skórę przez całą szerokość piersi. Trysnęła krew. Aun umoczył w niej usta, a kobieta-wódz wymawiała rytualne słowa, które wymawiali jeszcze jej przodkowie, gdy oddawali kobietę mężczyźnie na własność.

Nazajutrz mały oddział wyruszył w drogę. Aun i Zur niechętnie rozstawali się z Kotem Olbrzymim. Wah, nie mając w sercu miłości do kobiety, bardziej od towarzysza był zasmucony, gorzko żałował jaskini i dokonanego przymierza z drapieżcą. Był ostatnim ze swego gatunku i nie łączyło go z hordą, młodzi Ulhamrowie pogardzali nim.

Powracali przez miejsca, gdzie żółte Lwy umknęły przed Pra-słoniami, minęli cypel granitowy, na którym Macherodus pożarł Nosorożca i gdzie sam został ubity przez Auna, następnie dotarli do stromego pasma skalnego wrzynającego się w ziemię Chele-jów.

Z jednego z tych szczytów odkryli wtedy rzekę i niesamowite czerwone zwierzę, które istniało już w zamierzchłych czasach, kiedy nie było jeszcze Lwa i Tygrysa.

Tu Wilczyce wybrały sobie obszerną jaskinię, by przeczekać porę deszczów, po czym pomogły Aunowi i Żurowi odszukać szlak między górami.

Rozstanie było bolesne. Wilczyce traciły siłę, która wybawiła je od Chelejów. Odtąd żyć będą smutne, w świecie pełnym zasadzek. Żegnały oddalających się głośnym zawodzeniem. Aun pocieszał je:

— Powrócimy na brzeg wielkiej rzeki!

I on czuł ciężar na sercu. Opuszczał ziemie, na których pokonał liczne niebezpieczeństwa i przeszkody, gdzie ludzie i zwierzęta uległy jego mocy, gdzie zdobył Dżeję.

Zur marzył o powrocie do skał bazaltowych.

Mijały poranki i wieczory. Aun, Zur i Dżeja wspinali się *po* stromych, górskich ścieżkach, synowi Tura spieszo było ujrzeć hordeę. Każdy dzień, zbliżający go do niej, napełniał jego młodą duszę niewysłowioną radością.

Przyszła chwila, kiedy znaleźli się przed wąskim wąwozem, ciągnącym się na końcu pasma górskiego i przed szczeliną. Była obecnie szersza i przebyli ją znacznie łatwiej. Powrócili do jaskiń i wód podziemnych. W jednej z nich spędzili noc.

Minęły dalsze dwa dni zanim odnaleźli hordeę.

Było to przed zmierzchem, u stóp pagórka, w cieniu wysokiej skały z porfiru. Kobiety gromadziły chrust i układały stos, Naoh miał go rozpalić. Dał się słyszeć głos wartowników. Przed synem Lamparta stanął Aun. Zaległo milczenie. Kobiety nieżyczliwymi spojrzzeniami obrzuciły Dżeję.

Naoh przemówił surowo:

— Od chwili kiedy wyruszyliście minęła jedna pora.

— Przebyliśmy pasmo gór i odkryliśmy obszerne ziemie łowieckie —

■ odpowiedział Aun.

Oblicze Naoha rozjaśniło się. Wspomnił te srogie czasy, kiedy z Namem i Gawem udali się na poszukiwanie i zdobycie ognia. Przeżywał powtórnie walkę z Szarym Niedźwiedziem i Tygrysią, pogoń Pożeraczy Ludzi, przymierze z Mamutami, zdradliwość Czerwonych Karłów i łagodność Wahów, puszcę Ludzi o Błękitnej Sierści, niespodziewane spotkanie z Niedźwiedziem Jaskiniowym i okrutną utarczkę z Aghoo Włochatym. Przyniósł wtedy ogień, a także tajemnicę dobywania go z kamieni, którą odkryli mu Ludzie Bez Ramion.

Rzekł więc:

— Mów. Naoh słucha syna Tura!

Zapalił stos i słuchał opowiadań syna. Zbudziła się w nim dusza żądna przygód. Czerwony zwierz zadziwił go, lecz oburzył

się, gdy Aun oświadczył, że Prasłonie były większe od Mamutów.

— Nie ma zwierząt większych od Mamutów, z którymi Naoh przebywał w krainie Kzamów!

Potwór, który obrał sobie legowisko wśród gór bazaltowych, był mu znany, zwrócił się do Nama:

— Zabija on Tygrysa równie łatwo, jak Lew zabija panterę!

Przymierze z Kotem Olbrzymim wywołało w nim zachwyt. Spojrzał łaskawie na Zura.

— Wahowie byli najbardziej przebiegłymi spośród ludzi. Oni to znaleźli ogień w kamieniach. Przeprowadzili się przez wody na powiązanych ze sobą gałęziach i znali wody płynące pod ziemią.

Walka z Chelejami poruszyła go silnie, rozpałała płomień żreńca, wyciągniętą rękę położył na ramieniu młodego wojownika i rzekł:

— Aun posiada serce i siłę wodza!

Zebrani koło nich Ulhamrowie słuchali nieufnie. Uważali, że Naoh owego czasu dokonał bohaterskich czynów, zdobył ogień i uratował horde ginącą wśród chłodnych skał. Aun zaś powracał jedynie z tą obcą dziewczyną i nędznym towarzyszem, którego nikt nie lubił.

Kuam, syn Jelenia Jaskiniowego, zawołał:

— Aun powiedział, że tamte ziemie są cieplejsze od naszych. Ulhamrowie nie mogliby żyć na nich. Podczas naszego pochodu poprzez spopielala równinę wojownicy i kobiety ginęli jak owady w porze deszczów.

Niechętnie głosy potakiwały. Aun pojął, że horda bardziej jeszcze niż przed wyruszeniem na wędrówkę jest mu nieżyczliwa.

Aun przez osiem dni zażywał rozkoszy obcowania z ludźmi swego plemienia. Chodził z innymi na łowy lub pozostawał z Dżeją, do której kobiety hordy nie zwracały się wcale. Powoli ogarniał go smutek. Czuł, że dokonał rzeczy równie doniosłych jak Naoh. Nie zdobył ognia, lecz przyniósł wieść o rozległej, przebogatej krainie leżącej po tamtej stronie gór. Był świadomy

swej przewagi nad młodzieżą i siły stawiającej go na równi z wodzem. Ulhamrowie nie mieli dlań uznania, nie podziwiali go, wszyscy woleli Kuama, którego maczuga i włócznia nie mogły się równać z broniami Auna. W razie, śmierci syna Lamparta Kuam zostanie wodzem, Kuama trzeba słuchać; a będą to rozkazy twarde dla Auna i będzie podsycał przeciw Żurowi i Dzei tłumioną obecnie nienawiść hordy.

Od dawna zarzucano mu przyjaźń z Wahem, teraz przez połączenie się z tą obcą dziewczyną sam stał się prawie obcy. Szczególnie nienawidziły go kobiety. Od Dzei uparcie stroniły, a gdy przechodziła koło nich, głośnymi pomrukami wyrażały swą niechęć, unikały jej nawet siostry Auna.

O zmierzchu odosobniony z Wahem i Dzeją czuł się upokorzony.

Po kilku dniach zrodził się w nim gniew. Nie starał się już więcej o zbliżenie z innymi, zawziął się w odosobnieniu z Żurem i Dzeją. Podczas łowów, o ile rozkazy Naoha nie zatrzymywały go przy hordzie, usuwał się na stronę. Przepędzał całe dni nad rze*-ką, a często gnany jakąś niewytłumaczalną siłą stawał przed szczeliną, która otwierała się na krainę przygód.

Jednego ranka udał się na poszukiwanie Lamparta. Obfitowały w nie lasy ciągnące się w pobliżu. Rosły, przebiegłe i śmiałe, żarłoczne i zwinne, trzebiły jelenie, antylopy, osły stepowe, a nawet młode Żubry. Naoh nie polował na nie, były one dlań nietykalne wskutek wierzeń wspólnoty pochodzenia, wyrażonej imieniem. Wielu Ulhamrów obawiało się ich, gdyż ranione broniły się z zaciekłością. Mało kto, polując w pojedynkę, ośmielał się je zaczepić.

Aun długo krążył po lesie, nie mógł natrafić na ślad zwierza. Strumyk sączył się leniwie w krzemienym łożysku. Koczownik poczuł woń lamparcią, zapadł wśród paproci i znieruchomiał.

Nad górnym biegiem strumienia wznosiło się urwisko skalne, tworząc jakby pieczarę. Drzemał w niej jakiś zwierz z łbem wsuniętym pod łapy, czuł się zupełnie bezpiecznie. Aun pomimo znacznej odległości i słabego oświetlenia poznał w nim Lamparta.

Dzieliło go od niego około tysiąca dwustu kroków. Wojownik podszedł na osiemset kroków, zwierz nie poruszył się. Kiedy zanurzył się w gąszczu wysokich traw, podniósł się okrągły łeb, wśród skalnych pomruków zapaliły się dwa płomienie z bursztynu i szmaragdu.

Aun przypadł do ziemi, drapieźnik jął wietrzyć. Przez chwilę błyszczące ślepią badały przestrzeń, po czym paszcza pochyliła się, czarno i żółtawo cętkowane cielsko zastygło w bezruchu. Aun przeczekał dobrą chwilę, zanim zaczął posuwać się dalej. Musiał przejść jeszcze około dwustu kroków, by móc miotnąć włócznią. Z tej odległości pocisk nawet celny nie mógł ranić śmiertelnie, ale Aun spodziewał się, iż rozwścieczony zwierz przyjmie walkę.

Powiał lekki wietrzyk, unosząc woń łowcy. Skorzystał z tego czym prędzej i posunąwszy się o sto pięćdziesiąt kroków naprzód, ukrył się za drzewem.

Lampart znowu podniósł łeb, nasłuchiwał, wreszcie wyszedł z legowiska, by lepiej zwietryć podejrzaną wyziwę.

Nagle rozległ się bek. Spośród drzew wyskoczyła sarna. Lampart w susach puścił się za nią. Bezbronne stworzenie skoczyło w stronę drzewa, za którym ukrywał się Aun. Wojownik powstał i wprawił procę w ruch. Lampart ugddzony w kark zamiau-czał przeraźliwie. Zaskoczony znieacka, zawahał się. Przez chwilę śledził przeciwnika, po czym wśliznął się pomiędzy paprocie.

By uniknąć niespodziewanego napadu, Aun stanął na odkrytym miejscu, trzymając w jednej ręce maczugę, w drugiej włócznię. Zwierz nie ważył się jakoś zaczepić człowieka. Poprzez roślinność widział go doskonale, szukał sposobu, by niepostrzeżenie podejść i spaść mu na grzbiet.

Szał jego minął, nie czuł prawie rany. Dotychczas udawało mu się uniknąć zasadzek Ulhamrów. Tym razem przeczuwał groźnego wroga. Próbował obejść stanowisko, ale gdziekolwiek się obrócił, wszędzie na odległość kilku susów widział człowieka. Alin, spostrzegłszy nakrapiane futro, cisnął włócznią. Zboczyła w paprociach, Lampart cofnął się w głąb puszczy.

Po lesie od jakiegoś czasu prócz Auna krążyły inne istoty; ło-

wca poczuł, iż zbliżał się oddział ludzi. Wydał porozumiewawczy okrzyk i pobiegł śladem zwierza. Tu i tam ukazały się głowy, posypały włócznie, ale bez skutku. Nagle wyłoniła się muskularna postać Kuama, który wypuścił ość z procy. Lampart trafiony w bok podskoczył, zawrócił na miejscu i stanął, gotów do walki. Kuam znikł, wszystkie głowy pochowały się, jedynie Aun był widoczny."

Lampart przestał się wahać, w trzech susach znalazł się przy synu Tura i natarł. Maczuga zatrzymała go i powaliła na ziemię druzgocząc czaszkę, zwierz potoczył się, wydając chrapliwy dźwięk skonał!

Wówczas podbiegli Kuam z towarzyszami. Aun, wsparty na maczudze, sądząc, iż będą podziwiali jego siłę, patrzył na nich z łagodną życzliwością, odczuwał urok wspólnego pochodzenia. Lecz otaczały go twarze surowe. Jeden z towarzyszy Kuama, oddany mu tak, jak Zur oddany był Aunowi, zawołał:

— Kuam powalił Lamparta!

Potakiwał mu głośny pomruk. Kuam stanął nad martwym cielskiem, wskazując na grot tkwiący głęboko między żebrami. Aun oburzył się.

— Kuam nie zabił Lamparta!

Ulhamrowie zawyli szyderczo, pokazując na grot. Mężczyzna, który poprzednio ogłosił zwycięstwo swego przyjaciela, rzekł:

— To właśnie Kuam! Aun tylko dobił Lamparta!

Syn Tura podniósł do góry maczugę, gniew zawrzał w jego piersi, zawołał z pogardą:

— Co znaczy jeden Lampart! Aun pokonał czerwonego zwierza, Tygrysicę i Ludzi Rudych Psów. Jeden tylko Naoh równy mu jest siłą.

Kuam nie ustępował. Czuł dokoła siebie piersi i ramiona oddanych mu towarzyszy.

— Kuam nie lęka się ani Lwa, ani Tygrysa.

Smutne rozczarowanie zaciążyło na sercu Auna. Był obcy wśród ludzi własnego plemienia. Chwyciwszy ubitego zwierza cisnął go im pod nogi!

— Bierście! Syn Tura nie będzie walczył z Ulhamrami, podarowuje im Lamparta.

Nie szczyli więcej, ich okrutne oczy wpatrywały się nieruchomo w wyniosłą postać i groźną maczugę. Skrycie uznawali tę siłę, równą sile wielkich drapieżników. Ale nienawidzili jej i gardzili zawartą w niej łagodnością.

Aun, rozdrażniony i pełen zniechęcenia, powrócił do obozu wiska. Pod osłoną wysokiej skały porfirowej zastał samotnie siedzącą przygnębioną Dżeję. Ujrawszy go, powstała z cichą skargą. Policzek jej broczył krwią. .\

— Czy Dżeja skaleczyła się? — zapytał, obejmując ją ramieniem.

Odpowiedziała szeptem: v

— Kobiety obrzuciły Dżeję kamieniami.

— Obrzuciły Dżeję kamieniami?

Skinęła głowę, dreszcz przebiegł koczownika, a nie widząc nikogo w obozowisku, spytał:

— Dokąd poszły?

— Nie wiem.

Opuścił głowę nasrożony. Nurtujący go ból stawał się nieznośny. W ciszy, która nastąpiła, pojął, iż dalsze przebywanie w hordzie było dlań niemożliwe.

— Czy Dżeja wolałaby powrócić do Wilczyc z Aunem i Żurem?

Spojrzała na Auna, oblicze jej wyraziło radość, była istotą potulną i bojaźliwą. Cierpiała wśród Ulhamrów, znosiła nienawiść, pogardę i szyderstwa kobiet, przygnębianie jej zwiększało się przez nierozumienie mowy hordy. Nie śmiała się skarżyć i byłaby zamilczała o skaleczeniu, gdyby nie pytanie Auna. Krzyknęła:

— Dżeja pójdzie, dokąd pójdzie Aun!

— A czyż nie woli ona żyć pośród swej hordy?

— Tak — wyszeptała.

— Powrócimy więc na brzeg wielkiej rzeki.

Westchnęła z ulgą i przycisnęła głowę do ramienia mężczyzny.

Kiedy znaleźli się we troje z Wahern, który przyszedł z wycieczki do podziemnej krainy, syn Tura odciągnął go na stronę od obozowiska, nadeszli bowiem myśliwi i kobiety.

— Otóż — rzekł stanowczym głosem — Aun pragnąłby zno wu zobaczyć Wilczyce, Tygrysa Kzamów i wysoką jaskinię.

Zur podniósł swój błędny wzrok, uśmiech rozchylił jego usta. Wiedział, iż towarzysz przeżywał smutne dni wśród hordy, jemu również ciężko było na sercu.

— Zur będzie szczęśliwy w wysokiej jaskini!

Te słowa rozproszyły ostatnie wątpliwości koczownika. Udał się więc do Naoha wypoczywającego na ustroniu pod porfirowym urwiskiem i oświadczył:

— Wojownicy nie lubią syna Tura. Chce on powrócić na drugą stronę gór. Będzie żył z Kobietami-Wilczycami i pozostanie sprzymierzeńcem Ulhamrów.

Naoh słuchał z powagą. Miał do młodzieńca słabość, ale wiedział o wstręcie, jaki żywiła doń horda, przewidywał ciężkie walki.

— Tak, horda jest niezadowolona, iż Aun przebywa jedynie z obcymi — zgodził się z nim. — Nie wybaczy mu, jeżeli zostanie tutaj. Ale Ulhamrowie szanują sprzymierzeńców. Walczyli obok Ludzi Bez Ramion. Będą woleli Auna, gdy ich opuści. Otóż na wiosnę Naoh poprowadzi swoich na drugą stronę góry, zajmie płaskowyż, podczas gdy Wilczyce pozostaną na równinie. Jeżeli z nastaniem chłódów zajdzie w dolinę, nie będzie polował na jednym brzegu z Aunem. W taki sposób przymierze zostanie zapewnione!

Położył rękę na ramieniu młodzieńca i dodał:

— Syn Tura mógł być wielkim wodzem wśród Ulhamrów, gdyby nie przedkładał Waha nad innych, ludzi, a obcą dziewczynę — nad kobiety swego plemienia.

Aun pojął całą głębię tych słów. Ale niczego nie żałował, Zur i Dżeja drożsi mu byli ponad wszystko. Bolesny tylko będzie brak Naoha.

— Aun przyniesie kły i błyszczące kamienie dla syna Lam parta!

Zmierzch zapadał. Cichy smutek spłynął na obu mężczyzn. Dusze ich były jednakie, lecz jakże odmienne przeznaczenie! Obaj poświęcili swe siły i odwagę na odkrywanie ziem dalekich i wysiłki równej niemal miary uczyniły ojca — wodzem, syna — wy-gnańcem.

Zakończenie

Od wczorajszego rana para Macherodusów osiedliła się pośród skał, oddalonych o trzysta kroków od pieczary Wilczyc. Zręczność, siła, przebiegłość i odwaga tych pozeraczy gruboskórych zwierząt była im znana. Żadna nie ośmieliła się wyjść z jaskini. Poprzedniej nocy czerwony zwierz długo krążył wokół schroniska. Od czasu do czasu zbliżał się, słychać było miauczenie i chrapliwy oddech. Wówczas wszystkie kobiety poczynały wyc ciskając ostrymi kamieniami. Głazy, ciernie i gałęzie nagromadzone dla obrony, przeszkadzały w miotaniu, pociski chybiały. Na szczęście zwierza nęciła inna zdobycz, lecz w dzień bądź samiec, bądź sami-

ca pomiędzy jednym a drugim snem powracały, by śledzić te tajemnicze istoty.

Nadchodziła pora deszczów.

Kobiety ukryte za umocnieniem, w cieniu skał porfirowych, rozmyślały o koczowniku, który pokonał Ludzi Rudych Psów. To wspomnienie wzmagало ich troskę. Swoimi włóczniami i maczugą byłby pozabijał czerwone potwory.

Wczorajsze łowy Macherodusów musiały być liche, bowiem przed zmierzchem przyszły podpatrywać jaskinię. Ciemne obłoki zasnuły niebiosa, dzień był pochmurny, przejmujący wiatr dał od równiny, wyjąc wśród skał. Dzieci płakały. Wilczyce stłoczone u wyjścia spoglądały ponuro na świat. Ukr zaczęła już przypuszczać, że drapieżniki nie opuszczą tak prędko swego legowiska w skałach.

Wiatr szalał coraz silniej. Oba Macherodusy pojawiły się przed schroniskiem, złowrogo porykując. Ukr z rozpaczą w sercu wystąpiła naprzód, by zarządzić przygotowania do obrony.

Nagle podłużny pocisk przeszył powietrze. Jedno ze zwierząt, samiec, ugodzony w kark, gwałtownym susem rzucił się ku Wilczycom. Przez otwory wysunęły się oszczepy. Drugi pocisk wbił się w czerwone cielsko, przejmujący ryk zagłuszył łoskot wiatru, skoczyła jakaś ogromna masa, zawirowała straszliwa maczuga.

Kobiety bezładnie rzuciły się, by usuwać głązy, zagrządzające wejście do schroniska. Macherodus leżał martwy, jego samica, przerażona krzykiem śmierci i ukazaniem się tylu istot, uciekła ku rzece.

Wilczyce, radując się głośno, otoczyły wybawcę. Ich ogromne twarze promieniały, szeroko rozwarte oczy wpatrywały się w Auna z zabobonnym zachwytem. Wraz z nim wracało bezpieczeństwo, pewność zwalczania żywiołów, zwierząt i ludzi. I syn Tura czuł, że nigdy już nie rozpocznie życia z Ulhamrami.

— Aun i Zur powrócili do Wilczyc. Nie opuszczą ich więcej. Będą żyć razem w wielkiej jaskini, w pobliżu której pokonali Ludzi Rudych Psów.

W miarę, jak mówił, ogarniał je szal radości. Wilczyce po-

chyliły się przed nim na znak posłuszeństwa i miłowania. Serce tłukło mu w piersi, zapomniał o goryczy powrotu do ludzi swego plemienia, marzył o nowej hordzie, która się rozrośnie pod jego przewodnictwem.

— Ukr i Wilczyce będą twymi wojownicami — rzekła ko-bieta-wódz. — Gdzie ty żyć będziesz, tam i one żyć będą! Będą wypełniać twoją wolę i stosować się do twych zwyczajów.

— Zostaną groźnymi — zapewnił Aun. — Nauczą się władać i przygotowywać ości, włócznie, topory i proce. Nie będą się obawiały Ludzi Rudych Psów, ani czerwonego zwierza!

Kobiety nazbierały gałęzi, wspaniały ogień przemówił w ciemnościach, trwoga przed zasadzkami nocy odeszła. Te młode istoty przepelniła szczęśliwość rozlewna, bezkresna.

Jeden tylko Zur zachował pewien smutek. Radość ogarnie go, gdy ujrzy pasmo skał bazaltowych i Kota Olbrzymiego.

Poprzez zawieruchę na dwunasty dzień mała horda dotarła do jaskini. Nietoperze, które szukały tu schronienia, pierzchły, ze świstem wleciał jastrząb. Aun, stojąc na szerokiej, płaskiej krawędzi, wyciągnął rękę w kierunku sawanny i dżungli. Wszędzie roiło się od zwierząt, wody dostarczały pożywienia niezliczonym rzeszom sumów, żółwi, krokodyli, hipopotamów, pytonów, purpurowych czapli, żółtogłowych żurawi, czarnych bocianów, ibi-sów, kormoranów i kaczek. Sawanna, dżungla i puszcza były krainą łosi, jeleni, antylop, danieli, osłów, koni, mułów, byków, bizonów. Papugi, gołębie, ptactwo przelotne, bażanty obsiadały gałęzie. Mnoga, różnorodna roślinność przynosiła w darze swe korzenie, lodygi i owoce. Aun czuł, iż potęgą przewyższa największe z drapieżców i że jest obdarzony bujnymi sokami zdobywczej rasy.

Wah powoli szedł do dolnej pieczary. Stał koło szczeliny i zajrzał w głąb — była pusta. Drżący, wyczołgał się przez otwór i jał rozglądać się w mrokach. Świeże jeszcze szczątki leżały obok starych kości, wyziewy Kota Olbrzymiego trwały w ciemnościach. Syn Ziemi opuścił jaskinię i rozpoczął poszukiwania z niepokojem w sercu, myśląc o drapieżnikach, które mogły się kryć

wśród zarośli. Ale już na pobrzeżu puszczy oblicze jego zajaśniało radością.

— Skalny Lew!

Tam, pomiędzy bambusami, na cielsku muflona siedział ogromny zwierz. Na głos człowieka podniósł swój potworny łeb, zamruczał z cicha i pognął ku niemu.

Zur był szczęśliwy. I kiedy Tygrys Kzamów znalazł się przy nim, Wah obie ręce zanurzył w gęstej grzywie.

Duma, nie mniejsza od dumy Auna, rozsadzała jego wątłą pierś.

Koniec